teksty DRUGIE

OD MANIPULACJI DO REANIMACJI

z treści:

Miron Białoszewski
Listy do Eumenid

Jan Józef Lipski
Miron widziany przeze mnie

Michał Głowiński
Poezja i rytuał:
wiersze na urodziny Bieruta

Stefan Chwin
„Wallenrodowie" w Sierpniu

Maria Prussak
Świat pod kontrolą
Polemiki wokół Mackiewicza i Białoszewskiego

6

(12) 1991

Redaguje Kolegium:
Edward Balcerzan, Tomasz Burek,
Jerzy Jarzebski, Zdzisław Łapiński,
Anna Nasiłowska (zastępca redaktora naczelnego),
Ryszard Nycz (redaktor naczelny)

Sekretariat redakcji:
Marek Drahikowski, Jacek Kopciński,
Joanna Łuczyńska (sekretarz redakcji)

Stale współpracują:
Stanisław Barańczak, Jan Błoński,
Michał Głowiński, Czesław Hernas,
Janusz Sławiński

Adres redakcji:
00-330 Warszawa, Nowy Świat 72,
Pałac Staszica, pokój 128,
tel. 26 52 31, w. 101

Wszystkim Przyjaciołom naszego pisma, którzy w pierwszym okresie finansowo wspomogli jego skromny budżet, a zwłaszcza Rolfowi Fieguthowi, bardzo dziękujemy

Redakcja

teksty DRUGIE 6 1991

Dwumiesięcznik Instytutu Badań Literackich PAN

TEORIA LITERATURY KRYTYKA INTERPRETACJA

Pole (do)wolności

Po co właściwie czerni się papier? Niektórzy w swych głębinowych i ufilozoficznionych analizach skłonni są sugerować, że pisarz czyni tak dlatego, aby dać świadectwo swojej egzystencji. Mamy nadzieję, że racje istnienia naszego pisma są znacznie mniej fundamentalne i może banalniejsze niż misja zaświadczania egzystencji. Nowa sytuacja i konstelacja wartości domagają się intelektualnego porządku, który połączyłby sfery dotąd izolowane, a to, co stare i zużyte, odesłałby do lamusa.

Nasza rola od początku polegać miała na wnoszeniu nutki przekory, widzeniu nawet trochę na opak, aby za to ciekawiej. Ba, ale to właśnie okazuje się najtrudniejsze. Trudno uchodzić za kontestatora w społeczeństwie nie mającym wyrazistej struktury, trudno silić się na przewrotność, gdy wszelkie stałe punkty odniesienia są słabe. System nie istnieje. Solennej krytyki akademickiej szukać by trzeba w dziewiętnastym wieku, i to też chyba jednak nie w Polsce. Strukturalizm padł i pastwienie się nad nim doprawdy nie ma sensu, a na horyzoncie nie widać ani akademii, ani salonu!

Pozostaje trochę inna sztuka: próby ostrego zderzania ze sobą różnych metod i stanowisk, wystawianie ich na próbę przez kontrastowość. Był już numer zatytułowany „Gdzie Rzym, gdzie Krym". Ileż aktualnego sensu w tym przysłowiu! I możliwości interpretacji... Bo co jest tym dzisiejszym Rzymem, a co Krymem (nie mówiąc już o Okopach Świętej Trójcy), biegunami, które nie dają się pogodzić? Fenomenologia i językoznawstwo? Historycyzm i krytyka usiłująca przedstawiać aktualne postulaty? A może

tradycyjnie: Zachód i Wschód? I to przestało być pewne, zwłaszcza ostatnio. Teraz jest z kolei „manipulacja" i „reanimacja". Cóż by to jednak miało znaczyć poza tym, że się rymuje i rzeczywiście — nie bardzo daje się połączyć?

A jednak. „Reanimacja" to Białoszewski, który w listach do romantycznych pań profesor nazwał się „poetą z reanimacji". A ten drugi biegun — to literatura polityczna w ten lub w inny sposób usiłująca demaskować manipulacje i uczestnicząca w nich, poddająca się presjom i sama usiłująca wytwarzać ideologie, niszczona przez cenzurę i przystająca z ochotą na samookaleczenia. Bo przesadą jest przypisywanie literaturze wyłącznie roli niewinnej ofiary podejmowanych z zewnątrz niszczących zabiegów. Ależ to ogromny worek, dosłownie wór problemowy! I jemu sprostać miałby Białoszewski? Niezwykłą siłą rozporządzać by musiał — niby słabeusz, chorowity, poddający się szpitalnym rygorom pacjent. Jak właściwie ująć tę opozycję, już nie jako okazjonalny koncept, a propozycję terminologiczną do zaakceptowania?

Niewykluczone też, że przesadzamy troszeczkę usiłując poszukiwać jakichś tajemnych nici, które łączą w literaturze polskiej wszystko ze wszystkim: literaturę starającą się manipulować rzeczywistością, narzucając jej życzeniowe schematy, i literaturę obnażającą i demaskującą ideologie i polityczne zniewolenie — z właściwie apolitycznymi zachowaniami pacjenta, który porusza się jakby na innym poziomie rzeczywistości. Był kiedyś taki bon-mot: „Ja właściwie zupełnie nie interesuję się polityką, to ona bez przerwy interesuje się mną". Takie mówienie należało do fasonu przystojącego zwłaszcza wszelkiego rodzaju opozycjonistom. W. systemie totalitarnym nie można stać z boku i wszystko jest polityczne — tak brzmiała stojąca za tym pozornie niewinnym dowcipem teza. Pamiętam takie zażarte dyskusje z początku stanu wojennego, które kończyły się rozpaczliwym i histerycznym: „Jeśli wszystko tu jest komunistyczne, a my mamy być naprawdę alternatywni, to wyłącz prąd i gaz, bo one też są od komuny!" To nie był dowcip, to, niestety, było poważnie.

Był gdzieś punkt, w którym zaczynał się pewien rodzaj głębokiego obłędu, obłędu polityczności. To narzucało pewien skrajny i często uproszczony punkt widzenia, zgodnie z którym wszystko, co nie odnosiło się wprost do owego konfliktu postaw „za czy przeciw?", w najlepszym wypadku pozostawało z boku, trudniejsze do pojęciowego określenia i opisania. Dlaczego Białoszewski „wielkim pisarzem był", skoro jest nim, czytany z zapałem przez młodzież, Mackiewicz (Józef zresztą, nie Stanisław Cat), pisarz

w gruncie rzeczy bardzo tradycyjny, w technice powieściowej — wręcz dziewiętnastowieczny, kultywujący szacowną tradycję „pięknych opisów przyrody" (które oczywiście nadzwyczaj kochają uczniowie), za to szczerze i do głębi antykomunistyczny? Mackiewicz — Mickiewicz, wieszcz nieomal!

Pozostałości zdezaktualizowanych już pojęć ciągle dają o sobie znać, nikt już od dawna nie mówi o literaturze zaangażowanej (przeciwstawiając ją tej niezaangażowanej i przez to mniej godnej szacunku), to słowa całkowicie zużyte, z zamierzchłej epoki, należące do repertuaru terminologicznego marksizmu i egzystencjalizmu z czasów, gdy jeszcze wypadało znać Sartre'a, zanim nie wyparł go całkowicie Heidegger, ale opozycja żyje dłużej nie nazwana, za to silnie odczuwana i dająca o sobie znać wieloma uproszczeniami i wulgaryzacjami. Eksperymentator, awangarda — te określenia budziły ostatnio pewien odruch podejrzliwości i niechęci.

Pole, które rozpościera się między polityką a prywatnością, między rzeczywistością doraźnych manipulacji a skokiem w wielką uniwersalizację i ponadczasowość, między wolnością człowieka a swobodą artysty, było obszarem niezwykłe silnych napięć od czasów romantyzmu, a więc chodzi o konflikt głęboko zapisany w świadomości. W jakiś sposób oczywiście wierzono, że literatura zdolna jest zmieniać rzeczywistość, może nie jako siła sprawcza, ale jedna z wypadkowych stanu świadomości. Angażowanie się w Wielką Przemianę było jej rolą i misją społeczną, obywatelską i narodową. Najbardziej wierzyli w to cenzorzy i zapewne ideowi socrealiści, choć to brzmi jak paradoks, a może nawet zniewaga dla szlachetnej tradycji i całkiem jeszcze niedawnego etosu obywatelskiego nieposłuszeństwa. Przeorywanie świadomości, rozdrapywanie ran, poszukiwanie źródeł zła i demaskowanie go — oto sens literatury, racja jej istnienia.

Prywatny ogródek wolności wydawał się niemożliwy i niebezpieczny, pozbawiony moralnych uzasadnień. Wewnętrzna wolność — owoc dwuznaczny, a nawet — zdecydowanie podejrzany. Żeby choć kosztowany był w imię czystej metafizyki! A jednak, jak udowodniła grudniowa sesja poświęcona twórczości Białoszewskiego, zgodny chór obwieszcza jego spoza grobu zwycięstwo. Jego — uległego pacjenta, mieszkańca blokowiska, patrzącego na świat bez pasji demaskatorskiej, z dużej wysokości swojego piętra w mrówkowcu.

Zmienia się układ wartości i sposób mówienia o nich. Powstaje zupełnie nowe pole problemowe. Literatura pozbywa się bezpośrednich uwikłań politycznych — właśnie dlatego możliwa staje się analiza ich wieloletniego

związku, spojrzenie na historię już nie dla aktualnego manifestu niezgody i wypełniania „białych plam". I jednocześnie — dystans wobec kompleksów, jakie rodziła tamta sytuacja silnej presji i obrony, zmuszająca do dramatycznych wyborów i skrajnych przeciwstawień. Zamiast opozycji pojawia się otwarta przestrzeń do wypełnienia. Od — do, zamiast: albo — albo.

Od dwóch lat „Teksty Drugie" usiłują określić nową sytuację: „Jakoś inaczej" — pisał Ryszard Nycz w pierwszym numerze, „Zmiana stanu" — twierdził Balcerzan w drugim, a Jarzębski w trzecim ogłaszał „Apetyt na Przemianę", pisaną dużą literą, bo — fundamentalną. Jesteśmy trochę dalej. Chęci są, choć nie ma entuzjazmu i panuje duża ostrożność. Czy rzeczywiście są już powody by sądzić, że to nie tylko „apetyt"? Czy rzeczywiście niegdysiejszy duch–opozycjonista nieodwołalnie przeistoczył się w tego, co to „wieje, kędy chce"? I czy możemy spodziewać się, że w najbliższym czasie badacze wallenrodyzmu zajmą się kolejną przemianą swojego bohatera. W co? Powiedzmy, że w świętego Mikołaja z długą brodą, który anarchizuje rzeczywistość, bo łamie srogie prawa monetaryzmu i gospodarki rynkowej, rozdając wszystkim wszystko za darmo. I ogłosić, że upiory przeszłości zostały oswojone i wkrótce udowodnią swoją nieszkodliwość i pragnienie poddania się procedurom badawczym.

Anna Nasiłowska

Szkice

Michał Głowiński

Poezja i rytuał
Wiersze na sześćdziesiąte urodziny Bolesława Bieruta

W teorii socrealizmu podział na gatunki literackie nie odgrywał większej roli, jednakże oczekiwania oficjalne wobec piśmiennictwa musiały respektować choćby elementarne właściwości genologiczne wypowiedzi. Inaczej dawała się wykorzystywać powieść czy sztuka dramatyczna, której nawet przy najlepszych chęciach nie można było napisać z dnia na dzień, inaczej — poezja. Utwory fabularne miały ilustrować takie czy inne tezy partyjnej propagandy, agitować za przyjęciem takich czy innych postaw, narzucać wizję świata uznaną za jedynie słuszną, a więc wskazywać kierunek dziejów, kreować bohaterów pracy socjalistycznej, przekazywać nauki „moralne" w rodzaju „czujnym bądź". Ale mogły to robić zawsze z pewną zwłoką; ostatecznie głośna powieść o obrzydliwości odchylenia prawicowo-nacjonalistycznego powstała parę lat po tym, jak zdrowe siły w szeregach polskich komunistów, wspomagane przez braterską pomoc ze strony radzieckich przyjaciół, zdemaskowały je i obaliły.

Utwory poetyckie miały dane, by spełniać tylko niektóre z tych zadań, mogły przekazywać choćby owe nauki, na których rozpowszechnieniu dyspozytorom propagandy zależało („czujnym bądź!"), trudno im

wszakże było realizować inne postulaty nakazowej estetyki. Dysponowały jednak walorami, które czyniły je jakby lekką kawalerią socrealistycznego piśmiennictwa, mogły bezpośrednio reagować na wydarzenia, opiewać je lub — zależnie od potrzeby — dawać odpór wrogim siłom; dystans czasowy, nieodzowny z powodów ściśle technicznych w utworach fabularnych, nie był poezji znany. I to niezależnie od tego, czy wierszopis zapragnął wystąpić w roli panegirysty, opiewającego wodza czy paszkwilanta, pokazującego jak ohydny jest prezydent Truman, kanclerz Adenauer czy ten lub ów z wrogów rodzimych: Anders, Mikołajczyk, reakcyjny kler. Poezja była więc usługowa w sposób bardziej doraźny, mogła włączać się w akcję natychmiast, w sensie całkiem dosłownym — na zawołanie, istniała bowiem wówczas praktyka, którą można określić jako zawołanie telefoniczne: dzwoniono do poetów nie tylko z redakcji, ale także z partyjnych urzędów i zamawiano wiersz w danej sprawie lub na daną okoliczność. Kiedy w znanej (i trafnej) satyrze Przyboś pisał o telefonicznym poemacie, to miał na myśli tę właśnie osobliwą praktykę.[1] W okresie stalinowskim rozmowy były „nie na telefon", ale wiersze n a t e l e f o n były. Poezja miała prawo być tylko okolicznościowa — i to w nader restryktywnym znaczeniu tego przymiotnika.

Wiersz Przybosia, w którym pojawiła się cytowana formuła (będący dalszym ciągiem czy uzupełnieniem zasadniczej polemiki poetyckiej z socrealizmem zatytułowanej *Głos o poezji*[2]), już w samym tytule chwyta jedną z istotnych właściwości poezji socrealistycznej. W terminarzu tym notowano nie tylko bieżące wydarzenia polityczne, mieściły się w nim również święte daty komunizmu, rocznice rewolucji i oficjalne święta, a więc 1 maja, 22 lipca, 7 listopada, dni urodzin Lenina i Stalina itp., itd. W okresie socrealizmu sensem istnienia poezji stało się jej podporządkowanie komunistycznemu kalendarzowi liturgicznemu. Kalendarzowi, w którym były elementy stałe, ale były też święta ruchome i wypadające co kilka lat (jak okrągłe rocznice przywódców). I ta właś-

---

[1] J. Przyboś *Do poety z terminarzem*; pierwodruk ukazał się w „Nowej Kulturze" 1954 nr 18, utwór potem przedrukował poeta m. in. w tomie *Najmniej słów*, Kraków 1955. Tutaj odwołuję się do: J. Przyboś *Pisma zebrane*, oprac. R. Skręt, Kraków 1984, s. 340–341.

[2] Wiersz z roku 1953, mający dość skomplikowane losy wydawnicze. Opisał je szczegółowo i wnikliwie R. Skręt w komentarzu filologicznym, publikowanym we wzmiankowanym wyżej wydaniu, s. 640–643.

nie podległość obowiązującej i ściśle skodyfikowanej liturgii kłamstwa i fałszu jest czynnikiem decydującym dla charakterystyki ówczesnych produkcji wierszowanych. To ona określa sposób ich funkcjonowania, ale też wyznacza rolę i — mniej lub bardziej bezpośrednio — właściwości. Podporządkowanie komunistycznemu kalendarzowi przesądziło o rytualizacji tej poezji. Rocznice i święta były elementem obrzędu, którego reguły obserwowano konsekwentnie, w sposób wykluczający jakąkolwiek swobodę, wszystko przeto, co wchodziło z nim w kontakt, miało być stosowne. A więc nie mogło wykraczać poza obowiązujące *decorum*, zharmonizowane z tym, co uznano za czynnik najważniejszy w danym przypadku. Rytuał ów wykluczał także to, co traktowane było niemal od zawsze, a z pełną świadomością od epoki romantyzmu, jako wyróżnik poezji — osobiste zaangażowanie poety, odciskanie się jego osobowości niezależnie od tego, w jakich okolicznościach wiersz powstał, czego dotyczy, jaki ma charakter itp. Wszystko to, co łączyło się z osobowością poety, traciło znaczenie, bo z punktu widzenia rytuału było nieważne, a w pewnych wypadkach nawet szkodliwe czy wręcz niebezpieczne, zakłócać bowiem mogło jego reguły, zaciemniać je i umniejszać. I to zarówno wówczas, gdy rytuał miał wymiar pozytywny, sprowadzał się do czczenia przywódcy czy wysławiania rocznicy wydarzenia uznanego w mitologicznej historii komunizmu za doniosłe, jak i w tych przypadkach, gdy miał on wymiar negatywny, a więc ograniczał się np. do poddanych ścisłym regulacjom inwektyw kierowanych do wroga. Poeta jako osobowość, jako jednostka, która z tej racji właśnie, że jest poetą, przemawiać ma od siebie, ze swojego punktu widzenia, stał się kimś zbytecznym, a w lepszych przypadkach — najwyżej epifenomenem. W istocie miał się on ujawniać wyłącznie jako ten, który wypełnia zamówienie, a więc opiewa Stalina, Bieruta czy Dzierżyńskiego, to zaś, czy zaznaczy swój osobisty stosunek do tematu czy też tego nie uczyni, jest sprawą w swej istocie nieważną. Rola poety, odpowiadającego na telefoniczne wezwana, niczym się nie różniła od pozycji wynajętego poety dworskiego — i to takiego, któremu mecenas nie pozostawiał żadnego niemal marginesu swobody. Znana teza Andrieja Siniawskiego głosząca, że socrealizm wyrasta z tradycji dworskiego klasycyzmu, sprawdza się w przypadku poezji doskonale.[3]

---

[3] A. Terc [A. Siniawski] *Sąd idzie* oraz Anonim *Co to jest realizm socjalistyczny?*, tłum. J. Łobodowski, Paryż 1959.

Podporządkowanie jej rytuałowi to nie tylko eliminacja wszystkiego, co podmiotowe, to także krańcowa konwencjonalizacja wszelkich środków poetyckich. Zakrzepła, ściśle uregulowana konwencja stała się literackim odpowiednikiem rytuału lub wręcz jednym z jego wcieleń. To przecież rytuał reguluje, co jest dozwolone; to on określa zjawiska poza sferę *decorum* wykraczające.[4] Nie wypada — jak w całej socrealistycznej produkcji — nawiązywać do tych stylów i do tych kierunków, które uznane zostały za niewłaściwe. Poeta, godząc się na wystąpienie w roli, jakiej zażądała od niego komunistyczna władza, musiał niejako z góry podporządkować się pewnym wymaganiom także w sferze poetyki, a więc zrezygnować z posługiwania się własnym głosem. Napisanie pochwały w stylu ciemnej poetyki refleksyjnej lat trzydziestych, czy poetyki awangardowej w takiej lub innej postaci, uznane by niewątpliwie zostało za sprzeniewierzenie się obowiązującym regułom lub wręcz za nietakt. Poeci w jakiś sposób zabiegali o to, by nie całkiem zatracić własną osobowość, stosowali różnego rodzaju wykręty i procedury, by pozostawić jakiś ślad indywidualny w swym tekście, wówczas jednak, gdy godzili się na wystąpienie w roli poety spełniającego wymagania rytuału, pewnych granic przekroczyć nie mogli. Świetnie uchwycił rzecz Przyboś w swym poetyckim pamflecie:

A skądże was aż tylu Redaktor przynęcił
jak pracowitych mrówek:

---

[4] Warto odwołać się do teorii rytuału sformułowanej przez J. Cazaneuve'a w książce *Sociologie du rite (Tabou, magie, sacré)*, Paris 1971. Utrzymuje autor, że rytuał jest swoistym działaniem symbolicznym. „Jest to akt, który może być jednostkowy lub zbiorowy, ale który zawsze, nawet gdy jest dostatecznie elastyczny, by zawierać margines improwizacji, pozostaje wierny pewnym regułom, jakie właśnie składają się na to, co jest w nim rytualnością" (s. 12). Rytuały różnią się od innych obyczajów nie tylko tym, że ma je wyróżniać założona z góry skuteczność, ale również za sprawą tego, jak wielką rolę grają w nim powtórzenia — i nie jest to sprawa praktyki, ale samej istoty rytuałów. Ulegają one przekształceniom bardzo powolnym, wszelka nagła i doniosła zmiana powoduje, że tracą swe walory i w ogólności rację bytu (por. s. 13). Nie chodzi oczywiście o to, by przykładać teorię rytuału do konkretnego i to niedawnego przypadku, nie można jednak nie zauważyć, że ów przypadek doskonale wciela niektóre z tych właściwości, które francuski antropolog uważa za konstytutywne dla całego zjawiska. A więc owe rytuały respektowane przez poezję socrealistyczną były formą działania kultowego, a powtórzenia odgrywały w niej rolę ogromną (można by sporządzić katalog powtarzanych motywów), odwilż zaś, która w tej perspektywie była ową radykalną zmianą, odebrała rytualnej poezji panegirycznej rację bytu.

1) uczniowie księdza Baki stłoczeni we zwrotkach,
2) arkadyjscy rapsodzi w działkowych ogródkach,
3) homerzy epopei rycerskich na dudkach,
4) mydlarze wydalani w cenzury wychodkach
5) wrzeszcz–wieszcze w orderowe niebo (z gwiazdą) wzięci,
na koniec — gromowładni, gromcy i zacięci
TYRTEJE!... pełzający po wielbionych schodkach...
Mdli wasz bęben, mdli wasza katarynka słodka,
pilni, przymilnie butni,
koncypienci wierszówek,
absolwenci pustki („lutni")...[5]

Dobrze oddają sytuację zwłaszcza oksymorony, którymi Przyboś się posłużył, mówiąc o przymilnie butnych i o Tyrtejach pełzających przed władzą. Właśnie one, gdyż jedną z właściwości poezji wprzęgniętej w stalinowskie rytuały stanowiło to, że odwoływała się ona do tradycji twórczości rewolucyjnej — i powtarzała obowiązujące w niej schematy, postawy, wartości. Ale właśnie twórczość w tych rejonach szukająca swoich punktów wyjścia i wzorów była przejawem nie buntu, lecz służalstwa; nie negowała ona oficjalnych mniemań i przyzwyczajeń, przeciwnie, służyła ich utwierdzaniu, nie kwestionowała poczynań i postaci władców, ale właśnie ich osoby i czyny sławiła. Oglądany z tego punktu widzenia rytuał stalinowskiej poezji okolicznościowej wydać się może paradoksalny, jej sprzeczności wewnętrzne nie są jednak sprzecznościami w zwykłym sensie, gdy się weźmie pod uwagę fakt, że stalinizm rozkładał wszelkie style komunikacji społecznej — i mógł z nimi robić, co chciał, a więc w sposób dowolny je wykorzystywać. Konwencje poezji rewolucyjnej, odpowiadające szeroko rozumianej retoryce obowiązującej w wysłowieniu komunistycznym tamtych czasów, wprowadzone w obręb poezji panegirycznej, to może najbardziej wyrazisty przykład tego zjawiska o wielkim zasięgu.

Kalendarz komunistyczny lat stalinowskich, wymagający rytualnego udziału poezji, był niezmiernie bogaty, rymopis z terminarzem miał więc ręce pełne roboty. Przy tym rytuał wciągający w swe tryby poezję obowiązywał nie tylko poetów, obowiązywał także redaktorów czasopism, którzy uczcić musieli stosownym wierszykiem rocznicę rewolucji, ogłosić parę strofek sławiących manifest lipcowy czy poemacik na rocznicę urodzin wodza od dawna już nieżyjącego (w grę wchodzili

[5] J. Przyboś *Głos o poezji*, w: *Pisma zebrane*, s. 336.

przede wszystkim Lenin[6] i Dzierżyński) lub będącego u władzy. Zdarzały się też wypadki niespodziewane, na które trzeba było publikowaniem utworów wierszowanych reagować, śmierć Stalina jest tu przykładem szczególnie wymownym (przez PRL przeszły dwie fale poezji o Stalinie: urodzinowa w roku 1949 i funeralna w roku 1953). Gdyby wiersza w czasopiśmie zabrakło, redaktor byłby krytykowany za ideologiczne zaniedbania. Nieważny w większości wypadków był poziom utworu, zadowolić wymagania mogła żałosna rymowanka, ważne było to przede wszystkim, by się on w odpowiednim miejscu i w odpowiedniej porze pojawił. Jego brak naruszałby rytuał, kwestionował obowiązujący porządek polityczno-literacki, uszczuplał wymiar obrzędowy świata, w którym ideologiczna nierzeczywistość górowała nad realnością.

Poeta z terminarzem miał ponadto inne jeszcze obowiązki, komunistyczna agenda bowiem to nie tylko święta i rocznice, to także akcje propagandowe związane z bieżącymi wydarzeniami krajowymi i zagranicznymi. Poezji przyznano w nich całkiem widoczne miejsce, niezależnie od tego, czy był to wybuch wojny w Korei w roku 1950, czy wyrok śmierci na greckiego komunistę Belojannisa w roku 1952. I w konsekwencji powstawały setki wierszy na zamówienie, z zasady tak ujednoliconych, jakby były odbite z jednej sztancy. Nawet protesty przeciw wyrokom śmierci — jak w przypadku Belojannisa, któremu poświęcono dziesiątki pochwał i lamentów — mogły być tylko zadekretowane. Czuli i wstrząśnięci poeci wyrażali gorący protest przeciw zamordowaniu człowieka, o którym jeszcze na dwa dni przed ułożeniem wiersza z pewnością nie słyszeli — i pisali w ten sposób, jakby nie wiedzieli, że w Polsce dokonuje się zbrodni. Poetą był ten, kto przyjmował zamówienie — i składał wiersze tak, jak od niego żądają. Entuzjazm dla wodza mógł być w tej samej cenie co oburzenie spowodowane wyrokiem śmierci wydanym gdzieś daleko. Zwykle akcje propagandowe zakrojone bywały szeroko. Z pewnością poezja nie grała w nich głównej roli, była jednak rytualnie potrzebna, niejako uwznioślała proceder propagandowy.

[6] Osobnych wierszy o Leninie powstało zresztą wówczas stosunkowo niewiele, co się tłumaczy tym zapewne, że na lata 1949–1953 nie przypadła żadna jego okrągła rocznica. O ile wiem, nie ukazała się osobna antologia z wierszami ku jego czci. Opublikowano tylko tom *O Leninie. W trzydziestą rocznicę śmierci* (Warszawa 1954), w którym obok różnego rodzaju materiałów wyodrębniony został dział utworów literackich, składających hołd wodzowi.

I czyniła to skutecznie przede wszystkim wówczas, gdy do dzieła włączał się poeta o znanym nazwisku, popularny, lubiany.
Poezja socrealistyczna stanowiła produkcję okolicznościową, to pewne, ale okolicznościową w inny sposób niż to się zwykle w twórczości lirycznej dzieje. Tutaj bowiem nie poeta decydował o tym, jakie okoliczności zasługują na jego zainteresowanie. Okoliczność wyznaczał zamawiający, czyli — w ostatniej instancji — partyjny urzędnik. A ją z kolei określały nie tylko bezpośrednie akcje propagandowe, choć do nich wszystko się sprowadzało, ale wymagania rytuału. Ten rytuał w jakimś sensie obyć się bez wierszy nie mógł. I to on właśnie decydował o ich schematyczności i zaawansowanej konwencjonalizacji.
Stosunek do komunistycznego rytuału jest kwestią podstawową dla socrealistycznej poezji; w sumie — jak się zdaje — jedynie niewielka jej część była od tej zależności wolna (przynajmniej w tym sensie, że nie stanowiła odpowiedzi na bezpośrednie zamówienie). W szkicu tym nie będę jednak opisywał całości zjawiska, zajmę się tylko jednym wyraźnie wydzielonym przykładem. Jego analiza — mam nadzieję — rzuci światło właśnie na tę całość. Poezja socrealistyczna jest niezwykle ujednolicona. Wojciech Tomasik zwrócił uwagę, że opisując poezję programową czasów stalinowskich w istocie ujawnia się podstawowe właściwości całej ówczesnej produkcji wierszowanej.[7] Sądzę, że dotyczy to nie tylko utworów wyrażających socrealistyczne credo, dotyczy wszystkich odmian poezji, także takiej czy innej wersji poezji okolicznościowej. Mamy tu do czynienia z wytwarzaniem tak zdezindywidualizowanym, w tak wysokim stopniu podlegającym ostrym i arbitralnym uregulowaniom, że w istocie analiza tego, co stanowi jedynie cząstkę, pozwala interpretować całość.
Zajmę się w tym szkicu stosunkowo skromnym wycinkiem: wierszami napisanymi dla uczczenia sześćdziesiątych urodzin Bolesława Bieruta. I to też nie wszystkimi, ale tymi jedynie, które znalazły się w antologii *Wiersze o Bolesławie Bierucie*.[8] Tego rodzaju okolicznościowych anto-

---

[7] W. Tomasik *Poezja twardych rąk. Socrealizmu wiersze programowe*, „Arka" 1991 nr 5 (35).

[8] *Wiersze o Bolesławie Bierucie*, Warszawa 1952. Antologia ukazała się nakładem „Czytelnika"; nie podano, niestety, kto ją ułożył. Wiersze o Bierucie omawia Zdzisław Łapiński: „Następną [po Dzierżyńskim — M. G.] postacią, która pozwalała czy wręcz nakazywała skupić wokół siebie podstawowe dla tamtej poetyki motywy i wątki, był Bolesław Bierut. Pewna enigmatyczność tej postaci, brak dramatycznych faktów z życia (przynajmniej jeśli chodzi o fakty ujawnione) — stanowiły poważną przeszkodę w poetyc-

logii ogłoszono w okresie stalinowskim wiele, co oczywiście też było następstwem rytualizacji poezji i instrumentalno-tematycznego do niej podejścia. Pewna ich część obejmowała wiersze o komunistycznych bohaterach — Stalinie[9], Dzierżyńskim, Świerczewskim[10] i właśnie — Bierucie. Służyły one uczczeniu herosa, to oczywiste, ale miały też przeznaczenie praktyczne — dostarczały wierszy na akademie, wieczornice, różnego rodzaju galówki w szkołach, fabrykach, świetlicach, domach kultury. Tomik poświęcony Bierutowi jest stosunkowo skromny, zawiera tylko czternaście utworów, ale wśród autorów znajdują się luminarze polskiej liryki.[11] Wymieniam nazwiska poetów w kolejności, w jakiej opubli-

---

kim wykorzystaniu tematu. Chodziło też o to, żeby przesadnym hołdem nie urazić żyjącej jeszcze osoby. Na sześćdziesięciolecie urodzin prezydenta ukazała się antologia *Wierszy o Bolesławie Bierucie*" (Z. Łapiński *Jak współżyć z socrealizmem*, w: *Jak współżyć z socrealizmem. Szkice nie na temat*, Londyn 1988, s. 90).

[9] *Strofy o Stalinie. Wiersze poetów polskich*, Warszawa 1949 (jako wydawca figuruje Związek Literatów Polskich). Także i tutaj nie podano, kto antologię zestawił. W tymże roku 1949 opublikowana została nakładem „Czytelnika" inna jeszcze antologia: *Wiersze o Stalinie. Wybór wierszy poetów radzieckich*, ułożył i opracował S. Pollak. Ogromnej liczby wierszy żałobnych w osobnym tomie nie zebrano.

[10] Utworów o Świerczewskim powstało sporo, a pieśń masowa ze słowami Roberta Stillera zdobyła pewną popularność. Łapiński pisze ironicznie w związku z tomem *Poematy o generale Świerczewskim*: „Dzierżyński i Bierut stwarzali pewien literacki problem do przezwyciężenia. Inaczej gen. Świerczewski. Jego żołnierska śmierć i wzorowy życiorys rewolucjonisty układały się od razu w formy wypowiedzi dobrze znane polskiej literaturze. Tutaj triumfy święcił Broniewski, laureat nagrody Domu WP i ZZLP, zdobywca pierwszej nagrody. Tradycyjny temat kusił też nowatorów, być może chodziło o to, żeby pokazać, iż środki artystyczne służące uprzednio celom oderwanym od potrzeb chwili, mogą się okazać użyteczne dla odświeżenia utartej liryki patriotycznej. Stąd pewnie późniejszy akces Tadeusza Różewicza" (s. 91).

[11] Dzięki nieocenionej Polskiej Bibliografii Literackiej można się dowiedzieć, jacy jeszcze poeci uczcili wierszem urodziny Bolesława Bieruta w roku 1952: Władysław Broniewski, Tadeusz Fangrat, Wanda Grodzieńska (w „Świerszczyku"!), Jerzy Jurandot, Leopold Lewin, Jerzy Miller, Wacław Mrozowski, Zdzisław Polsakiewicz, Seweryn Skulski, Anatol Stern, Grzegorz Timofiejew, Jan Zalewski. Jak widać, jest to drużyna zdecydowanie słabsza. W jubileuszowy biznes włączył się także jeden literat obcy, a mianowicie uczcił Bieruta osobnym wierszem poeta ukraiński Ljubomyr Dmiterko (polski przekład G. Timofiejewa). Biznes ów nie ograniczał się zresztą do poezji, czczono Bieruta słuchowiskami, opowiadaniami dla dzieci (Halina Rudnicka opublikowała w roku 1952 osobną książkę *Prezydent Bolesław Bierut — wielki przyjaciel młodzieży*), a także licznymi wypowiedziami okolicznościowymi. Ich autorami byli m. in. Jarosław Iwaszkiewicz, Lucjan Rudnicki, Julian Tuwim. Wypada wyjaśnić, dlaczego w pierwszej lidze panegirystów nie znalazł się Broniewski, tak wówczas wielbiony, oficjalnie promowany na poetę największego. Wszystko wskazuje na

kowano ich wiersze: Adam Ważyk, Wiktor Woroszylski, Tadeusz Kubiak, Jarosław Iwaszkiewicz, Antoni Słonimski, Artur Międzyrzecki, Anna Kamieńska, Henryk Gaworski, Stanisław Piętak, Włodzimierz Słobodnik, Jan Koprowski, Teofil Kowalczyk, Stanisław Wygodzki, Jerzy Ficowski. Na liście owej pojawia się jedno tylko nazwisko literata całkiem nieznanego (Kowalczyk[12]) i dwóch autorów, którzy oddali swoje pióra na usługi komunistyczne w ciągu dziesięcioleci (Gaworski, Koprowski). Reszta to pisarze znani, w kilku przypadkach wybitni,

---

to, że poeta po prostu się spóźnił, napisał swój wiersz w ostatniej chwili lub nawet po niej. Nosi on tytuł *Bolesławowi Bierutowi*; ukazał się w „Trybunie Ludu" z 22 lipca 1952 (nr 203), a więc w jej wydaniu świątecznym. Przedrukowało go wówczas kilka czasopism, ale — o ile wiem — nie trafił on do żadnego tomu poety — i został zapomniany. Cytuję go w całości:

Przekroczyliśmy Bug, a wtedy Polska! —
towarzyszu Bolesławie.
Idą groźne, waleczne wojska
ku Warszawie, ku sławie.

My budujemy, my orzemy,
wgryzamy się w ziemię czerstwą,
my chcemy, my możemy,
nasze zwycięstwo!

Robotnik — to już więcej
niż para rąk,
nie będzie pracy zwierzęcej,
dosyć mąk!

Rolnik? — to traktor, spółdzielnia,
Rzecz Pospolita.
Pracować razem, rzetelnie,
Niech rozkwita Rzecz Pospolita!

A trzeba było tyle lat więzienia,
tyle myśli nierozumianych,
żeby być Gospodarzem tej ziemi
za wszystkich, za nas.

Któż jak Wy, towarzyszu Bolesławie,
ma prawa więcej
sztandar, który nas krwawi i sławi,
ująć w ręce?

Można stwierdzić, że poeta w niczym tutaj nie wyszedł poza obowiązującą wówczas średnią panegiryczną.

[12] T. Kowalczyk ma zresztą swoje hasło w *Słowniku współczesnych pisarzy polskich*, seria II, pod red. J. Czachowskiej, Warszawa 1977, s. 511–512.

a do tego niektórzy z nich w latach późniejszych wielce zasłużeni w walce z totalizmem. Fakt, że na antologię składają się utwory nie tylko wyrobników pióra, poetów z terminarzem, o których pisał Przyboś, czyni sprawę jeszcze ciekawszą. I to bynajmniej nie dlatego, że można zadać pytanie: jak to się stało, że wybitni pisarze odpowiedzieli wierszem na zamówienie, a więc zechcieli wziąć udział w rocznicowym rytuale? Pytanie zasadne tym bardziej, że wśród tych czternastu autorów nie dominują bynajmniej partyjni działacze, więcej jest poputczików. Nas wszakże interesuje kwestia inna: jak się ci poeci usytuowali wobec wynikających z rytuału konwencji i zobowiązań, czy dążyli do takiego czy innego ich złagodzenia lub nawet obejścia?
Rzucającą się w oczy cechą tych wierszy jest ich bezosobowy charakter. W zasadzie trudno się temu dziwić, skoro chodzi o utwory pisane na zamówienie; przynajmniej dla pewnej liczby autorów były one — być może — czymś w rodzaju wypracowania, które z tych czy innych względów wypadało napisać, ale nie należało traktować poważnie. Przyczyny takiej oczywiście nie sposób wykluczyć, wydaje się jednak, że chodzi o co innego. To bowiem, że wiersze o Bierucie — z jednym wyjątkiem, o którym osobno będzie mowa — są tak bezosobiste (i że są pod tym względem reprezentatywne dla całej tej produkcji jubileuszowo-rocznicowej, niezależnie od tego, kto w danym przypadku jest jej obiektem), nie wynika z pobudek psychologicznych, a w każdym razie nie wynika z nich przede wszystkim. Rzecz wzięła się przeto nie stąd, że poeta — bez względu na to, czy chodziło o znakomitego autora o wieloletnim doświadczeniu, czy początkującego pisarczyka — nie był w stanie nadać swej wypowiedzi osobistego piętna; był w stanie — nawet gdyby do tego, co pisze, czuł z trudem dające się opanować obrzydzenie, piętno osobowe bowiem nie jest tylko, a w każdym razie być nie musi, kwestią szczerości czy rzeczywistego zaangażowania (emocjonalnego, intelektualnego, jakiego bądź), stanowi również element konwencji literackiej. Z odwołania się do niej rezygnowano (z nielicznymi tylko wyjątkami). I z pewnością nie jest to przypadek. Jak się zdaje, piętna osobowego, a więc wprowadzenia w ruch tej konwencji, od poetów nie oczekiwano, zamawiającym zależało na czymś innym.
Oczywiście, to również było ważne, iż pod wierszem wychwalającym Stalina, Bieruta czy Dzierżyńskiego znalazło się nazwisko poety znanego i uznanego, to bowiem, bez względu na rzeczywistą wartość utworu, podnosiło jego propagandową wymowę i propagandową użyteczność.

Ale mniej już było ważne (bądź w ogóle ważne nie było) zaznaczanie, że oto ja, poeta — Słonimski, Iwaszkiewicz, Gałczyński, Dobrowolski czy ktokolwiek inny — wychwalam genialnego wodza rewolucji czy przywódcę całej postępowej ludzkości, że to właśnie ja śpiewam jego glorię. I chodziło tu o coś więcej niż o założenie, że poeta nie może być traktowany jako partner wychwalanego, jego towarzysz czy rozmówca; takie założenie jest właściwe wszelkiej poezji panegirycznej i rozumie się samo przez się. W panegiryzmie socrealistycznym rzecz posunięto dalej. W istocie bowiem nie jest ważne, że towarzysza Stalina czy Bieruta chwali konkretna osoba, choćby był nią znany poeta, ważne jest to, że opiewa go postępowa ludzkość, klasa robotnicza, lud pracujący miast i wsi. Nie znaczyło to oczywiście, że wiersze twórczość taką reprezentujące to liryka chóralna. Nie, powołanie podmiotu zbiorowego nie stanowiło konieczności i nie było na ogół praktykowane. Nieujawnianie czy dezindywidualizacja „ja" mówiącego wystarczyły.

Zjawisko to ma szersze odniesienia, łączy się bowiem z charakterystycznym dla socrealizmu (tak zresztą jak dla stalinowskiej wersji marksizmu w ogólności) ustanawianiem kategorii ogólnych tam, gdzie normalnie występuje to, co indywidualne. W tym przypadku owa ogólność wyraziła się w wielu elementach wiersza, w istocie przedmiotem jednostkowym pozostał tylko wychwalany bohater. I to ona właśnie decydowała o elementarnych właściwościach wiersza. Do strukturalnego wyposażenia utworów lirycznych w najróżniejszych ich odmianach należy to, że wyrazistość podmiotu mówiącego powoduje wyrazistość sytuacji mówienia. Na ogół możemy zrekonstruować kto mówi, w jakich okolicznościach; w przypadkach wierszy realizujących reguły komunistycznego rytuału niewątpliwe jest tylko to, do kogo się mówi lub o kim (zależnie od tego, czy wiersz zbliża się do *Du-Lyrik*, czy też ma kształty narracyjne). Sytuacja, w jakiej znalazł się podmiot, traktowana jest tak, jakby była nieważna. Stąd między innymi nienaturalność w samym sposobie mówienia znajdującym się u podstaw tych wierszy, jak i niewyrazistość ich retoryki. Ta ostatnia właściwość wydawać się może nieco dziwna, skoro zgodnie z tradycją w wierszach pochwalnych struktura retoryczna narzucała się z dużą siłą; ale też dawniej utwory panegiryczne odpowiadały innym rytuałom i nie musiały spełniać warunków dodatkowych, o których była mowa. Z zatarciem sytuacji retorycznej mamy do czynienia nawet wówczas, gdy podstawowym czynnikiem kompozycyjnym jest zwrot do adresata:

Zabłocone przedmieścia Lublina
ryły znak w twej pamięci boleśniej,
lecz może i tę ziemię wspominasz,
którą musiałeś porzucić wcześnie.
[S. Piętak *Pozdrowienie znad Sanu*]

Niekiedy, mimo konkretnego adresu wiersza i konkretnego przeznaczenia, ogólność staje się czynnikiem głównym:

Kto znalazł siebie w walce, temu w klęsce na dnie
— choćby ręce grabiały — serce nie ostygnie,
kto widział, że cień kraty go nie obezwładni,
że lud jutro powstanie, by wyłamać rygle,
kto wolnym był w niewoli sanacyjnych lochów,
kto wschód wznieca Hut Nowych i Nowych Częstochów —
ten spośród nas najpierwszy. Niech z nim wespół walczy
pieśń wznosząca człowieka, śpiew niebałwochwalczy.
[J. Ficowski, inc. *Kto znalazł siebie...*]

Zacytowałem to ośmiowersowe wypracowanie w całości, bo też ono demonstruje omawiane zjawisko z wyjątkową przejrzystością. Osoba mówiąca została usunięta w cień, a zdania są tak formułowane, jakby przekazywały prawdy wieczne, niekwestionowane, bezdyskusyjne, choć są one tylko pochwałą konkretnej osoby, napisaną w określonych okolicznościach i to na zamówienie.
Depersonalizacja szeroko rozumiana i pociągająca konsekwencje o fundamentalnym znaczeniu jest podstawową właściwością rytualnej poezji socrealistycznej, a z jeszcze większą dobitnością niż w wierszach o Bierucie ujawnia się w utworach poświęconych Stalinowi. Trzeba więc ze szczególną uwagą odnotować wyjątki od tej reguły. W bloku wierszy czczących urodziny Bieruta odstępuje od niej *List do Prezydenta* Iwaszkiewicza. Utwór ten, jak pozostałe z tego zespołu, budzi dzisiaj abominację, nie można jednak nie przyznać, że różni się na tle tej całości i w istocie jest jedynym, który można traktować poważnie. Właśnie poważnie podszedł do niego Tomasz Burek, poświęcając mu ciekawą analizę. Krytyk przyznaje, że utwór ten spełnia liczne dezyderaty poetyki socrealistycznej:

Autor cytowanego wiersza — pisarz o ustalonym już wtenczas autorytecie i nader poważnym dorobku, lecz pomimo to strofowany za estetyzujące kontemplatorstwo — zdaje się tu godzić i wewnętrznie identyfikować z narzuconym sobie a niezbyt pochlebnym wizerunkiem, szablonem zgoła. Szablonem grzesznego egotysty i pięk-

noducha, odwracającego wzrok od eposu dziejów zbiorowych ku zawieszonym w przestworzach siedmiobarwnym tęczom. Posuwa zaś gorliwą i przesadną autokrytykę swojej międzywojennej przeszłości tak daleko, że zapomina — bądź skutecznie udaje, że zapomina: by się tym surowiej oskarżyć i głębiej ukorzyć przed zwycięsko sprawującym wysokie urzędy Prostym Człowiekiem — zapomina więc o tym, iż zawsze jako pisarz wikłał się w spory z cudzymi mądrościami.[13]

Dalej Burek pokazuje, jak w tym wierszu słychać pogłosy międzywojennej poezji Iwaszkiewicza i jak odżywają w nim problemy, które w różnych postaciach i przy różnych okazjach powracały w jego twórczości. Mamy tu do czynienia z wierszem hołdowniczym, który jednak pozostał wypowiedzią spersonalizowaną. Ten właśnie fakt decyduje o osobliwej pozycji *Listu*: powstał on niewątpliwie po to, by spełniać nakazy i warunki socrealistycznego rytuału, ale jednocześnie je naruszył w jednym z najbardziej zasadniczych dla niego punktów. W konsekwencji stanowi spełnienie i przekroczenie równocześnie. Warto się temu nietypowemu zjawisku przyjrzeć dokładniej.

Przede wszystkim przekroczenie rytuału jeśli nie narzucała, to przynajmniej podpowiadała forma *êpitre*. List poetycki bowiem, gdy brany serio, a Iwaszkiewicz tak właśnie go potraktował, zakłada wyrazistość sytuacji nadawania i konkretność podmiotu, który w taki czy inny sposób zwraca się do adresata, a więc z nim się komunikuje. I czyni to w zasadzie na równej stopie — nawet gdy przekazuje dostojnej osobie wyrazy czci, a siebie przedstawia samokrytycznie. *List do Prezydenta* niewątpliwie spełnia podstawowe wymagania gatunku, rzeczywiście jest listem poetyckim, mieszczącym się w tradycji tej bardzo już sędziwej formy poetyckiej. Ujawnia się to ze szczególną wyrazistością, gdy się go porówna z innym utworem przesyłającym wyrazy hołdu Bierutowi — *Listem kwietniowym* Gaworskiego. Nie warto tu wspominać o różnicach kultury literackiej i poetyckiego kunsztu, te bowiem są oczywiste. Podmiot w wierszu Gaworskiego składa na ręce adresata różnego rodzaju przyrzeczenia i zobowiązania, nie wyraża jednak i nie rozgrywa żadnej swojej sprawy — nawet wówczas, gdy udaje, że to robi. Utwór ten trudno określić jako *êpitre* w klasycznym tego słowa znaczeniu. A w jakimś sensie jest on czymś w rodzaju niezamierzonej karykatury wiersza Iwaszkiewicza:

[13] T. Burek *Mądrość daremna*, w: *O twórczości Jarosława Iwaszkiewicza* pod red. A. Brodzkiej, Kraków 1983, s. 37–38. W związku z tym wierszem Iwaszkiewicza Balcerzan pisze o „depatetyzacji gatunku", przy czym chodzi tu nie o *êpitre*, lecz o panegiryk (por. E. Balcerzan *Poezja polska w latach 1939–1965*, część I, Warszawa 1982, s. 152).

Każdy wie, Towarzyszu, że w Warszawie mieszkasz,
lecz ja poza Warszawą często Ciebie widzę
na zapadłych drożynach, zapomnianych ścieżkach,
gdy w jasnym płaszczu z twarzą od trosk ciemną idziesz.
[.....]
Moja pieśń jeszcze często nieporadna,
jak robotnica bez kwalifikacji.
Lecz, Towarzyszu, więcej o nią zadbam,
nakarmię sercem, uszlachetnię w pracy,
słowa, jak okna otworzę na oścież,
dla ludzkiej walki, troski i miłości.
[H. Gaworski *List kwietniowy*]

Można by powiedzieć: tak się w owych latach listy poetyckie pisywało — i sprawę zamknąć. Forma ta nie może jednak istnieć bez wyraźnie wskazanego adresata, naprowadza więc nas na następny problem o podstawowej doniosłości. A więc jak owego adresata w rytualnej poezji hołdowniczej (bo już nie tylko w *êpitre*) przedstawiano, w jakie cechy go wyposażano, jak się do niego zwracano, na jakich pozycjach umieszczano? Sprawa wymaga szczegółowej analizy, już teraz jednak można stwierdzić, że ujawnia się tutaj ten sam problem, który wypłynął przy konstruowaniu podmiotu — problem relacji między ogólnym a szczegółowym, między tym, co podlega generalizacji, a tym, co pozostaje niekwestionowanie jednostkowe. Rozwiązywany jest on jednak inaczej niż w przypadku poety. Poeta może o sobie nie mówić, może niejako siebie przemilczeć, usunąć w cień, maksymalnie ograniczyć lub niemal skazać na niebyt. Niczego takiego nie można uczynić z adresatem, jeśli pisze się utwór na jego chwałę. Stalin musi zostać Stalinem, Bierut — Bierutem, Dzierżyński — Dzierżyńskim, nawet skromniejszy Świerczewski nikim zastąpić się nie da, ani też w nikogo się nie przemieni. A to oczywiście musiało rzutować na właściwości tej produkcji wierszowanej. I tutaj właśnie zaznacza się kwestia: jak pogodzić hołdy składane wodzom, będące częścią fenomenu, który w okresie odwilży nazwany został eufemistycznie kultem jednostki, z niezmiennie obowiązującym w obrębie marksizmu–leninizmu kolektywizmem?
I tu właśnie wypływa kwestia tego, co nazwałem kodem personalnym komunizmu.[14] Jego ubóstwo i schematyczność dają o sobie znać także w tekstach panegirycznych i we wszelkiego rodzaju hołdach składanych

[14] Zob. *Wielka przebieranka*, w: *Nowomowa po polsku*, Warszawa 1990, s. 139.

wodzom. Jest to uniwersalna właściwość dyskursu komunistycznego, podporządkowująca sobie niemal w tym samym stopniu utwory poetyckie, co relacje pseudohistoryczne. Nawet mówienie o dyktatorze (i to w tak szczególnych momentach, jak rocznice przemienione w państwowe święta) nie ma prawa wykroczyć poza to, co wyznaczone zostało przez ideologię i zrodzony z niej rytuał. W konsekwencji wódz, któremu składa się hołdy, nie przestaje być figurą zdepersonalizowaną — i to niezależnie od tego, czy będzie to Bierut, Stalin (tak w poezji PRL-owskiej, jak w sowieckiej), czy ktokolwiek inny. Poeci nie idą oczywiście tak daleko, by traktować osobę wodza jako figurę na swój sposób wymienną czy przykładową, jako rolę, którą niejako przez przypadek odgrywa dana osoba. Gdyby tak się działo, socrealistyczny panegiryzm traciłby wszelki sens. Mamy tu do czynienia z procesem bardziej skomplikowanym.

Opiewany wódz przedstawiany jest jako ten, w kogo wciela się komunistyczny ideał człowieka, jako ten, którego biografia odpowiada wszelkim warunkom, jaki winien spełniać działacz komunistyczny, staje się przeto kimś w rodzaju tworu modelowego. Stały wątek we wszystkich przypadkach, w których było to możliwe, stanowiło podkreślanie proletariackiego pochodzenia bohatera; rozwodzono się nad tym, jak ciężkie życie, bieda, a wreszcie instynkt klasowy, wspomagany przez partię i nauki marksizmu–leninizmu, czynią go tym, kim się stał — przywódcą i bohaterem. Gdy było to niemożliwe, bo jednak nie wchodzono na ogół w konflikt tak jaskrawy z realiami biograficznymi, tworzono różnego rodzaju wątki zastępcze. Tak właśnie się działo w utworach poświęconych Dzierżyńskiemu, który — jak wiadomo — wywodził się ze środowiska, jakie w propagandzie bolszewickiej określano mianem polskich panów. Na przykład Leopold Lewin w obszernym poemacie o twórcy Czeka jako czynniki decydujące o wyborach życiowych bohatera wymienia czułość serca oraz pragnienie kontynuowania dzieła polskich bojowników o wolność (pojawiają się odwołania powstańcze).[15] Piewcy

[15] L. Lewin *Poemat o Dzierżyńskim*, Warszawa 1951. Ten obszerny utwór jest interesującym kuriozum nawet na tle poezji socrealistycznej, napisany bowiem został w nieposzlakowanym stylu powieści poetyckiej z lat wczesnego romantyzmu. Lewin zaprezentował niezły warsztat literacki pięciorzędnego poety z ubiegłego wieku (nie stosował nawet asonansów!). W pierwszej połowie lat pięćdziesiątych był on autorem płodnym, obsługującym sprawnie i terminowo wszelkie partyjne święta i wydarzenia polityczne (nie opuścił i tej rocznicy: napisał *Kantatę o Bierucie*), wydawałoby się więc, że powinien być

Bieruta, który nie wywodził się ze środowiska ziemiańskiego, tego rodzaju trudności nie mieli. Toteż wątek proletariacki podkreślano konsekwentnie, czynił to m. in. Ważyk w swym zakrojonym po epicku wierszu pochwalnym, pisanym heksametrem:

Tak się zaczyna młodość ucznia, murarza, zecera.
Za wózkiem wapna, za kasztą, nie dośpi, nie dojada,
krąży w kółkach młodzieży szturmującej do nieba,
krząta się, wiąże kółka. Świat mu się w oczach otwiera,
ogromna masa ludzka w klasę i naród się zbiega.
Armie stają w okopach. Zanim zecer z Lublina
zdoła przez wrzawę wojenną usłyszeć słowa Lenina,
jak leninowiec układa na własną rękę ulotki
mówiące prawdę o wojnie. Tak się zaczyna wiek męski,
tropiony przez cztery policje, długo włóczony po celach,
ale nigdy samotny. Partia wie i pamięta.
[A. Ważyk *Droga pokoleń*]

Opiewany przywódca staje się bohaterem przykładowym, a jego biografia — wzorem życiorysu działacza partyjnego. Świadczy o tym nie tylko ten wątek biograficzny, który tu uwydatniłem, ale sposób traktowania wszelkich elementów życia bohatera. Jego pochwały są równocześnie pochwałami partii komunistycznej (z tej racji, że takiego wodza wydała, ale też z tego powodu, że to on właśnie — wspaniały i niezrównany — stoi na jej czele). Bohater działa w sposób wzorowy, bo zrozumiał rządzące historią a wskazane przez partię prawa, ale też — na nie wpływa; jest wytworem historii, ale również — jej twórcą. Nad obrazem biografii bohatera ciążą ogólne założenia materializmu dialektycznego i historycznego, natrafiamy zresztą na nieustanne odwołania bezpośrednie do jego tez i zaleceń. Mamy tu więc do czynienia z tym samym problemem, który dał o sobie znać wówczas, gdy rzecz rozpatrywaliśmy od strony nadawcy. Także tutaj ujawniają się napięcia między tym, co ogólne, a tym, co szczegółowe. W wierszach poświęconych Bierutowi obserwujemy inwazję zdań ogólnych; nie jest to jednak właściwość tylko tego bloku utworów,

czołowym socrealistycznym wierszopisem, wychwalanym i nagradzanym. Stało się jednak inaczej, Lewin nawet wówczas laurów nie zebrał — i pozostał jedynie wierszy wyrobnikiem. Przypadek ten wydaje mi się ciekawy, gdyż pokazuje, że pewien typ epigonizmu, choć z ideologicznego punktu widzenia bez zarzutu i do usług wszelakich zawsze gotowy, nie spotkał się jednak wśród socrealistycznych prawodawców z aprobatą. O wierszach o Dzierżyńskim, zamieszczonych w antologii *Wieczny płomień* (opr. W. Woroszylski, Warszawa 1951) pisze Z. Łapiński w wielokrotnie już przywoływanym szkicu (s. 85–90).

podobną tendencję do generalizacji zauważamy w całej poezji socrealistycznej, w tym także w utworach poświęconych innym herosom. Zdania ogólne to z jednej strony prawdy wynikające z biografii bohatera, z drugiej zaś — jego nauki, przekazywane wyznawcom, ludowi, klasie robotniczej etc. W wierszu Ważyka pojawiają się aforyzmy tego typu:

Kto patrzy oczami Partii, odsieje ziarno od plewy,
błąd naprostuje, sprawców odetnie, nazwie ich po imieniu.

Inni autorzy idą w tej tendencji jeszcze dalej, obdarzają czytelnika całymi wiązkami prawd ogólnych:

Niezwyciężony, kto zrósł się
z tym, co szlachetne, co ludzkie.

Ten wejdzie słońcem w świat ruin,
plebejskie szczęście zbuduje.

Wrogom ojczyzny przed światem
wyznaczy ludzką zapłatę.

Dłonią upartą i męską
ludziom przychyli zwycięstwo.
[T. Kubiak *18 kwietnia 1892–1952*]

Pierwszy z cytowanych dystychów odgrywa w wierszu Kubiaka rolę szczególną — jest jego incipitem i pointą, tworzy więc ramy, w które wprowadzona została pochwała Bolesława Bieruta. Tego rodzaju komunistycznych ogólników jest w tych wierszach co niemiara.
Ogólność nie zawsze jednak sprowadza się do tego rodzaju zdań generalizujących. Czasem ma nieco inną postać. W takich przypadkach uwaga panegirysty nie koncentruje się na osobie wychwalanej jako na indywidualności, skupia się na partii. Wiersz Woroszylskiego jest jej namiętną pochwałą. Z różnych powodów, także dlatego, że przekazywała tego typu nauki:

Kto w ojczyźnie, jak nie jej wola,
dał początek nowemu życiu?
Ona była głosem, co wołał:
„Czujny, czujny bądź, towarzyszu!"
[W. Woroszylski *Sierpień*]

Utwór Woroszylskiego dotyczy walki z imperializmem, titoizmem, odchyleniem prawicowo-nacjonalistycznym. I ta właśnie walka jest okazją do pochwały przywódcy partii, która w boju prym wiedzie:

To w jej bitwach, zmaganiach, trudach
rosła kadra — mądra i mężna,
Ona
    powołała
        Bieruta,
by pod Jego wodzą zwyciężać.[16]

Już cytowane przykłady pozwalają zwrócić uwagę na fakt następujący: mimo krańcowej schematyczności w kształtowaniu nadawcy i adresata nie ma jednego obowiązującego wzoru wiersza panegirycznego. A więc, poeto, chwalić komunistycznego przywódcę możesz wprawdzie nie całkiem jak chcesz, ale mimo wszystko na różne sposoby. Czasem nawet pochwała może być ukryta, nie musi wyrażać się w bezpośredniej i jawnej konstrukcji retorycznej, właściwej panegirykowi. Wiersze Ważyka i Kubiaka bliskie są wywodowi biograficznemu, przedstawiają w poetyckim skrócie wzorcowy życiorys Prezydenta. Już inny charakter ma cytowany utwór Woroszylskiego. Wychodzi on jakby z jednego elementu życiorysu, ze szczegółu — i nadaje mu sens ogólny. W pewnych przypadkach pojawia się przed wierszem wyjaśnienie, jakiego wydarzenia on dotyczy. Tak właśnie stało się w *Nocy noworocznej* Międzyrzeckiego: „W noc sylwestrową 1943–1944 odbyło się w Warszawie pierwsze zebranie Krajowej Rady Narodowej. Historycznemu zebraniu przewodniczył Bolesław Bierut". Utwór ten jest czymś w rodzaju ballady na temat tego właśnie wydarzenia, już przedwstępnie charakteryzowanego jako historyczne, ballady odwołującej się do tradycji romantycznej (m. in. aluzje do Słowackiego). I tutaj także znajdzie się miejsce na pochwałę przywódcy:

Wolna Warszawo, przodownico śpieszna,
Oni wieścili cię w czynach i pieśniach!

Nie szli do ciebie z romantycznej chmury,
Lecz z głodnych przedmieść, z ubogiego pola,
A na ich czele syn tej ziemi, który
Przez dym i ogień do ludu zawołał,
A lud przyłączył ramiona swe mocne
I słuchał głosów nocy noworocznej.
[A. Międzyrzecki *Noc noworoczna*]

W konwencji bliskiej balladzie pokazywany ewenement nie jest jednak

[16] Charakterystyczne, że motyw kadr pojawił się nie tylko w tym wierszu. U Ważyka czytamy: „Niegdyś w murach Rawicza myślał, jak kadry ocalić".

szczegółem, choćby jednym z wielu doniosłych wypadków w biografii herosa. Poeta nadaje wszystkiemu, co się w wierszu pojawia, wymiar symboliczny. Symboliczne jest miejsce — Warszawa[17] — ale przede wszystkim symboliczny jest czas. Noc noworoczna nie jest zwykłą nocą, zapowiada przyjście nowego czasu, nowej epoki. Wiersz o konkretnym wydarzeniu powinien zakładać — wydawałoby się — krótką perspektywę czasową, tutaj jednak dzieje się inaczej. Skoro opiewany fakt ma doniosłość historyczną, wprowadzenie rozległej perspektywy narzuca się samo. Tym bardziej że należy do socrealistycznych specjalności. Wiersz Międzyrzeckiego stanowi przejście do tej grupy utworów, w których perspektywa historyczna jest czynnikiem dominującym. Składają się na nią zamieszczone w zbiorze utwory Słonimskiego, Kamieńskiej i w jakiejś mierze Słobodnika. Chodzi w nich o pokazanie czczonego działacza, ale też o wskazanie na „przyszłości zarys marmurowy" (formuła z wiersza Kamieńskiej). Poetycka pochwała może być zakotwiczona w jakimś konkretnym przedmiocie, w takich przypadkach jednak dyskurs panegiryczny przekształca się w dyskurs historiozoficzny: autor rymuje nauki głoszone przez materializm historyczny. Zła przeszłość odchodzi, nadciąga świetlana przyszłość. Chwała więc maszynistom, którzy prowadzą parowóz dziejów (by nawiązać do sławetnej formuły Broniewskiego ze *Słowa o Stalinie*), a wśród nich także temu, którego dobre oczy patrzą z portretu wiszącego w klasie szkolnej:

Oto w ludu niepamięć, w mroki historii odchodzi
Orszak książąt i królów, panów wielmożnych i krwawych.
W szkole, z ramy portretu, oczy łagodne i czyste
Patrzą na młodość twoją. Oddać jej nie chcą zniszczeniu.
Wieków dawnych nie żałuj, lepszych masz dziś gospodarzy!
Twoja to Polska wyrasta w dźwięcznym przyśpiewie kilofów.
[A. Słonimski *Portret Prezydenta*]

W wierszu Słonimskiego owo nadchodzenie świetlanej przyszłości pokazane zostało w serii wyświechtanych archetypicznych obrazów, zdumiewających niezależnie od wszystkiego u poety o dużym doświadczeniu i niewątpliwej sprawności warsztatowej:

---

[17] Rolę miejsca symbolicznego gra Warszawa nie tylko w tym wierszu, jest to w socrealizmie zjawisko o zasięgu szerokim, oczywiście nie tylko w utworach poświęconych Bierutowi. Warszawa staje się przestrzenią sakralną, w której zwycięża nowe. Z cyklu bierutowskiego charakterystyczny jest pod tym względem wiersz Kamieńskiej *Warszawa*.

Dzisiaj, patrz! Chociaż droga trudna i mgłami zasnuta,
Ale już pachnie wiosną, ciepły wiatr wschodu ją przywiał.
Jeszcze błota i śniegi, ale już mrozy nie wrócą.
Sercu lżej, kiedy pierwszy podmuch przedwiośnia nadleci!
Łatwiej oczom i dłoniom, swobodniej oddychać płucom,
Słuchaj, słuchaj, jak szumi wiatr nadchodzących stuleci!

Podobnie dzieje się w opisowym wierszu Kamieńskiej. Deskrypcja pokazuje świat, w którym nadchodzi dobra przyszłość, a ten, kto stanowi przedmiot pochwały, pokazany jest w zakończeniu jako mityczny twórca nowych czasów:

Ten kto popiołom Warszawy rzekł: Wstaniesz!
I narodowi: Buduj swą stolicę!
Wyrzeźbił imię swe w jej żywym planie,
Gdzie krok młodości tętni przez ulice.
[A. Kamieńska *Warszawa*]

Historycystyczny dyskurs podporządkowuje sobie opis — i staje się składnikiem panegirycznej całości, a aluzje do *Uspokojenia* Słowackiego osadzają ją w tradycji. W wierszu Słobodnika wymiar historiozoficzny wiąże się ze swoistym konceptyzmem:

W Łazienkach patrzą pustookie
Posągi na historię nową,
Co robotniczo-chłopskim krokiem
Idzie i śpiewa pieśń ludową.

Złożywszy serce swe w ofierze
Polsce od młota i od pługa,
Syn ludu zasiadł w Belwederze —
Gospodarz Polski i Jej sługa.
[W. Słobodnik *Syn ludu*]

I tu też ujawnia się zjawisko szersze, nazwę je właśnie konceptyzmem socrealistycznym. Wywodzi się ono z różnych źródeł. Zapewne i stąd, że panegiryki wierszowane, tak w wielu punktach ujednolicone i schematyczne, nie mogły jednak ograniczać się do powtarzania zaakceptowanych oklepanek, musiały się czymś wyróżniać. A najłatwiej to przychodziło wówczas, gdy mnożyło się dziwaczne pomysły, podporządkowane wielkiej chwalbie: opiewanego herosa trzeba było jakoś oryginalnie określać, a tutaj już tylko krok do swojego rodzaju konkursu na nazwania coraz bardziej wymyślne i niezwykłe. Ów nazewniczy konceptyzm zgodny jest zresztą — jak się zdaje — z tradycją panegiryku jako

gatunku (jego historyk pisze o właściwym mu „elemencie ostentacyjności lub manifestacyjności"[18]). Konceptyzm ów nie tylko jednak do panegirycznych nazw się sprowadza, niekiedy określa całą konstrukcję wiersza. Tak właśnie się dzieje w stylizowanym utworze Teofila Kowalczyka. Naśladowanie chwytów właściwych folklorowi prowadzi do efektów zgoła osobliwych:

Grzmi na roli traktor. Huczy kombajn w zbożu.
Nie braknie już chleba i mąki w komorze.

Gdybym jak ten słowik latać mogła lekka,
fruwałabym co noc śpiewać Mu w Łazienkach.

Chciałabym się zmienić w szczerosrebrny księżyc,
żeby mu Belweder w Warszawie osrebrzyć.

Nie jestem słowikiem, w księżyc się nie zmienię,
lecz będę traktorem głębiej orać ziemię.

[.....]

Kiedy do Warszawy wycieczka się zbierze,
ja bukiet z tych kwiatów złożę w Belwederze.

A gdy gwiazdy błysną ciemne iskrząc niebo,
pomyślę — te gwiazdy niech błyszczą dla Niego.
[T. Kowalczyk *Piosenka ludowa*]

Zaiste, jest to już wyższa szkoła panegirycznej jazdy, ilość przechodzi w jakość, a panegiryk — w niezamierzoną groteskę. Wiersz Kowalczyka, graniczący ze śmiesznością, znajduje się jakby na krańcach możliwości, jakie otwierała poezja wprzęgnięta w służbę rytuału. Ich gama była zróżnicowana, pod pewnymi względami niezwykle wąska i uboga, tolerowała jedynie rozwiązania ściśle określone przez doktrynę i realsocjalistyczny obyczaj, pod innymi względami — stosunkowo szeroka i rozległa, dopuszczająca rozwiązania rozmaite, zróżnicowane, niekiedy nawet — zaskakujące. Ta dwoistość określa właściwości panegirycznej poezji rytualnej, w wysokim stopniu skonwencjonalizowanej, ale jednak dopuszczającej jeśli nie pewne innowacje, to pewne udziwnienia i niezwykłości.

Podporządkowanie poezji rytuałowi jest w okresie realizmu socjalistycznego głównym jej wyróżnikiem, właściwością podstawową, od której

[18] H. Dziechcińska *Panegiryk*, w: *Słownik literatury staropolskiej*, Wrocław 1990, s. 545.

zależą wszystkie jej cechy dalsze. W tym podporządkowaniu właśnie wyrażała się podległość literatury, a poezji przede wszystkim, działaniom propagandowym — a więc jej status. Zdarzały się oczywiście wiersze powstałe i rozpowszechniane poza komunistyczną liturgią zniewolenia i kłamstwa, dominowały jednak utwory pisane według obowiązującego terminarza. Analizowane jako przykład wiersze na urodziny Bieruta, zebrane w zbiorze, który potraktowałem jako punkt wyjścia i główną dokumentację, nie wyczerpują zjawiska, to pewne, dają jednak wyobrażenie o jego zakresie i właściwościach. Chodziło mi właśnie o uwydatnienie rytualności, jej roli i miejsca. Gdybym zamierzył pokazanie tego zjawiska w całej rozciągłości, musiałbym napisać obszerną pracę ogarniającą polską poezję socrealistyczną w jej żałosnej pełni.

Od redakcji: Szkic ten stanowi fragment przygotowanej do druku książki *Socrealizm: rytuał i demagogia. 13 szkiców o sztuce zdegradowanej*, która ukaże się niebawem nakładem wydawnictwa «PEN».

Stefan Chwin

„Wallenrodowie" w Sierpniu

Moc truchleje Janusza Głowackiego, będąca powieścią o wydarzeniach sierpniowych, rysuje model „wallenrodycznej" manipulacji strajkami. Nacisk pada tu na analizę socjotechnicznej funkcji mitu „patriotycznej kolaboracji" nie tylko w kręgach władzy, lecz i w środowiskach robotniczych. Pisząc o Sierpniu Głowacki postawił przede wszystkim pytanie, dlaczego w 1980 roku zakłady strajkujące nie zostały zaatakowane przez siły bezpieczeństwa natychmiast po rozpoczęciu strajków, tak jak to się stało kilkanaście miesięcy później, 13 grudnia. Jeśli propaganda oficjalna przedstawiała społeczny protest jako wynik inspirowanego z zewnątrz spisku (akcja „sił antysocjalistycznych" kryjących się za plecami robotników), Głowacki w swojej powieści przedstawił własną spiskową wizję Sierpnia: wskazał na istotną rolę policyjnej intrygi w „reżyserii" społecznego konfliktu.

Wybór makiawelicznej strategii miał sprawić, że władza powstrzymała się od akcji pacyfikacyjnej i aresztowania strajkujących nie nastąpiły już 14 sierpnia. W tle wydarzeń rozgrywała się policyjna „fabuła" Sierpnia i powieść odsłania jej zakulisowe szczegóły.

Aby zobrazować ukrytą stronę zdarzeń, Głowacki wybrał perspektywę wyjątkową w relacjach o roku 1980. Przedstawił sytuację strajkową z punktu widzenia socjalistycznego „człowieka z dna" — robotnika–nędzarza zmuszonego do współpracy z SB, człowieka o świadomości

„naiwnie zindoktrynalizowanej" i pochłoniętego niemal bez reszty walką o materialne przetrwanie. Taka perspektywa narracyjna pozwalała nie tylko na przedstawienie od środka obu stron konfliktu (bohater mógł obserwować zarówno zachowania strajkujących, jak i zakulisowe posunięcia władz), lecz i na ukazanie zderzenia świadomości robotniczej z wallenrodyczną dykcją policyjnej intrygi.

Ten rodzaj konfrontacji nie pojawiał się dotąd w polskiej literaturze. Z jednej strony psychika „ludowa", mająca w sobie wiele z „homosoca", z drugiej zaś narodowe argumenty w ustach „patriotycznych kolaborantów". Świat wallenrodycznych dylematów (i póz) w tradycji polskiej literatury wiązano przede wszystkim z przygodami duszy inteligenckiej, to, jak dylematy (i argumenty wallenrodyczne) widział polski lud, nie zaprzątało raczej uwagi pisarzy. Inaczej w powieści Głowackiego: inspiracja Zinowiewowska (i Orwellowska, bo bohater powieści przypomina też „proletów" z *Roku 1984*) zderzyła się tu z tradycyjnymi „polskimi pytaniami".

Wybierając taką perspektywę narracyjną (robotnicza, naiwnie pokraczna wersja nowomowy jako język bohatera), Głowacki wyszedł od orwellowsko-zinowiewowskiej wizji „człowieka socjalistycznego", ale wbrew takiemu punktowi wyjścia powieść nie stała się powtórzeniem zinowiewowskich diagnoz, przeciwnie: stała się weryfikacją kategorii zinowiewowskich w odniesieniu do Sierpnia. Głowacki, szyderca i analityk, wolny od entuzjazmu polskiej inteligencji, która w wydarzeniach 1980 roku chętnie ujrzała dziedzictwo romantycznych ruchów niepodległościowych, daleki od wizji insurekcyjnej strajków i skłaniający się raczej do zinowiewowskiego pesymizmu, zapisał w niej właściwie swoje zdumienie Sierpniem: stanął przed społecznym fenomenem, który tych rozpoznań nie potwierdzał. Stan świadomości robotniczej rekonstruowany w początkowych partiach powieści zdawał się zapowiadać skuteczność manipulacyjnych posunięć władzy, dalsze jednak partie przynosiły obraz intrygi, która kończyła się fiaskiem. Polscy robotnicy zwyciężali, a robotniczy konfident przeistaczał się (choć może niezupełnie...) w nowego człowieka.

Jak jednak przedstawiała się policyjna intryga w Sierpniu i dlaczego nie osiągnęła swoich celów? W ujęciu Głowackiego sierpniowy konflikt nie był zderzeniem monolitycznych sił — partii i narodu. Władze (a także służby specjalne) nie zareagowały natychmiastowym kontruderzeniem przede wszystkim dlatego, że sytuacja, uruchamiając utajone frakcyjne

antagonizmy, sparaliżowała scentralizowaną strukturę aparatu, tak że niższe ogniwa, czekając bezskutecznie na decyzję „góry", powstrzymały się od jakichkolwiek działań. Pierwsze dni wielkich strajków to w powieści dezorientacja centrum, dopiero po okresie wyczekiwania nastąpiły bardziej zdecydowane próby wygaszenia ognisk strajkowych.
Biegły one w dwóch kierunkach i ta podwójność strategii, wynikająca z wewnętrznych napięć w aparacie bezpieczeństwa, była w powieściowym wydaniu trwałym rysem działania władzy. Model sytuacji strajkowej tu zarysowany eksponował dwukierunkowość posunięć antystrajkowych, a także wielostopniowość zamaskowania podmiotów policyjnej manipulacji. W Stoczni działali więc nie tylko konfidenci, których zadaniem było rozpoznanie (i tonowanie) nastrojów, działali też konfidenci, którzy mieli nastroje radykalizować i obie te grupy nie wiedziały o sobie nawzajem. Tajna policja pragnęła nie dopuścić do legalnego, pokojowego wystąpienia „klasy robotniczej", ten cel był wspólny, ale do jego realizacji zmierzano różnymi, pozornie sprzecznymi drogami. Pacyfikacja prewencyjna (wyciszenie wichrzycieli i utajnienie protestu) czy pacyfikacja wojskowo-policyjna, przygotowana prowokacjami? — przed taką właśnie alternatywą stały od wielu lat służby specjalne.
Strategie, które uruchomiono w Sierpniu, stosowano zatem już wcześniej przemiennie, kontrolując w ten sposób sytuację w zakładach pracy. Głowacki charakteryzował Stocznię jako przestrzeń niemal całkowicie zinwigilowaną (obserwacja telewizyjna z ukrytych kamer, a także kompletne dane personalne w albumach dokumentacji fotograficznej), mimo jednak tej technicznej „orwellowskiej" doskonałości skuteczność działań Służby Bezpieczeństwa była tu dość ograniczona. SB nie było w stanie stłumić protestów, ale — i to według Głowackiego stanowiło główną strategię służb specjalnych — mogło próbować nad nimi zapanować w czasie poprzez przyspieszanie bądź opóźnianie nieuchronnego wybuchu, a więc lokalizowanie go w dogodnym dla siebie momencie. Jeden z bohaterów powieści, konfident frakcji „twardej", sugerował, że władza z całą premedytacją sprowokowała wybuch w grudniu 1970, po to, żeby ludzi „wymrozić" (s. 20)[1].
Z tej reżyserii protestów doskonale zdawali sobie sprawę działacze niezależni, starając się przeciwdziałać żywiołowej eksplozji przed czasem.

---

[1] Cytaty wg wydania: J. Głowacki *Moc truchleje. Pierwsza powieść o Sierpniu*, Londyn 1983.

Wedle powieściowego ujęcia obie strony w istocie latami grały na tym samym rejestrze: starały się wybrać najkorzystniejszy moment społecznego wybuchu. „Jeszcze nie czas. Trzeba chwilę wyczekać, inaczej nas jak pluskwy wygniotą" (s. 7). Niezależny ruch związkowy, dążący do jawnego protestu w ramach obowiązującego systemu prawnego („legalnie, formalnie i bez hałasu" — s. 14) musiał zatem przeciwdziałać zarówno lokalnej akcji prewencyjnej zmierzającej do utajnienia protestu („Oni są gotowi — zanim się zbuntujesz, już cię nie ma" — s. 14), jak i prowokacji zmierzającej do wywołania konfrontacji „siłowej". Władze bowiem blokowały fizyczną możliwość protestu (aby nie dopuścić do protestacyjnego wystąpienia robotników na KSR, konfident SB wyłączał dopływ ciepła w sali bhp przy dwudziestostopniowym mrozie, by zmusić tłum do rozejścia się), podejmowały próby zniesławiania działaczy związkowych w oczach załogi (reprezentantom robotników odbierano przepustki, by potem przekonywać załogę o moralnej nicości i egoizmie nieobecnych), oraz reżyserowały narastanie społecznego gniewu. Ruch związkowy przedstawiony w powieści nie odpowiadał jednak na wszystkie te posunięcia żadną makiaweliczną strategią, był całkowitym zaprzeczeniem idei wallenrodyzowania. Dążył do stworzenia nowych instytucji, a nie do patriotyczno-demokratycznej infiltracji struktur władzy.

Zasadą lokalnej wyciszającej akcji prewencyjnej w ujęciu Głowackiego kierowali się przede wszystkim funkcjonariusze szczebla podstawowego, odpowiedzialni za porządek w zakładzie, i to właśnie stało się pośrednią przyczyną eksplozji robotniczego gniewu właśnie w sierpniu 1980. Jej tłem był konflikt między dwiema orientacjami w SB, konflikt, w którym „naiwna" pragmatyka służbowa instytucji represyjnej, sankcjonowana ideologiczną frazeologią, zderzyła się z makiaweliczną strategią „wysokich towarzyszy". Oto bowiem jeden z funkcjonariuszy zakładowych, wbrew prywatnym radom szefa, chcąc utajnić niepokoje w podległym sobie rejonie i prewencyjnie wygasić je w zarodku, postanowił wyrzucić z pracy — na podstawie sfingowanych zarzutów — działaczkę niezależną, co wywołało wśród robotników oburzenie, ale to oburzenie — i tu Głowacki odsłaniał drugą, policyjną stronę zdarzeń — zostało z całą premedytacją rozjątrzone przez inny „pion" SB, „radykałów", reżyserujących przyszłą konfrontację. Początkiem strajku był zatem „błąd" szczebla podstawowego, ale masowy charakter protestów, rozszerzających się na całą Polskę, wiązał się z planami „góry", która właśnie sierpień uznała za moment dla siebie najkorzystniejszy.

Przyspieszać czy raczej wybierać strategię żółwia — tak rysował się w powieści dylemat wyższych funkcjonariuszy. Dyskurs policyjnej „góry" był rozdwojony: z jednej strony zawierał zachętę do energicznego działania (oficjalne racje policji jako instytucji chroniącej *status quo*), z drugiej jednak był „maską" utajonych intencji: krył w sobie racje „strategiczne", odsłaniające się wyraźniej w rozmowach prywatnych. W powieści Głowackiego wyższy funkcjonariusz „z dobrego serca" doradzał koledze ze Stoczni, by powstrzymał się przed nierozważnym tłumieniem robotniczego wybuchu, kiedy zaś jego podwładny, skarcony za nadgorliwość w tępieniu opozycji, pytał obruszony: „Czyli że co (...) ręce mam założyć?" — padała odpowiedź makiaweliczna: „Puść rzeczy na żywioł" (s. 21).

Znaczyło to: służba bezpieczeństwa w Stoczni powinna powstrzymać się od jakichkolwiek działań zakłócających narastanie protestów. To „zezwolenie" na bunt, wydane przez wyższych funkcjonariuszy, Głowacki łączył z psychologią zagrożenia resortu. Naiwny funkcjonariusz szczebla podstawowego w rozmowie z przedstawicielem „góry" dowiadywał się, że zdecydowane akcje służby bezpieczeństwa wzmocniłyby pozycję pierwszego sekretarza, resort zaś nie miał w tym żadnego interesu. „Co się tak o pierwszego martwisz, jak on i tak raportów naszego ministra nie słucha" (s. 21). Zatem: skuteczne działania policji (stłumienie protestów w zarodku) mogłyby sprawić, że niezbędność resortu przestałaby być odczuwana dojmująco przez władze partyjne, a pierwszy sekretarz, lekceważący przesyłane mu przez MSW raporty o sytuacji w Polsce, powtórzyłby „błąd" z roku 1970: uznałby siebie (najzupełniej bezpodstawnie) za demiurga społecznego spokoju. Należało więc zaczekać, aż sytuacja dojrzeje, protesty zachwieją strukturą establishmentu (lecz jej nie wywrócą...) i doprowadzą wreszcie do otrzeźwienia szefa partii (bądź do jego usunięcia) — partia przerażona wybuchem (i zachwycona skutecznością policyjnej kontrakcji) doceniłaby w całej pełni znaczenie służb specjalnych...

Głowacki nie ograniczał się jednak tylko do takiego właśnie obrazu jednokierunkowej w istocie intrygi. Przedstawiona w powieści działalność aparatu łączyła w sobie intencje sprzeczne: jedna z orientacji w SB dążyła do wywrócenia Gierka (czy choćby skarcenia go), inne jednak dążyły do utrzymania go przy władzy — i wszystkie te dążenia spotkały się na terenie Stoczni. Powieść jednak nie rekonstruowała wszystkich aspektów działalności tajnych służb podczas wielkich strajków, uwaga

Głowackiego skupiła się bowiem przede wszystkim na tym, jak wszystkie te splątane posunięcia zostały przyjęte przez strajkującą społeczność. Dotyczyło to także reakcji robotników na wallenrodyczną frazeologię, którą posłużono się w Sierpniu.

Była to reakcja niejednoznaczna. Dzięki pierwszoosobowej narracji Głowacki rekonstruował „przekład" argumentów wallenrodycznych na kategorie robotniczego volapüku, w którym frazesy nowomowy złączyły się z patriotyczno-katolickimi stereotypami, demaskując w ten sposób zarówno „narodowe" pozy władzy, jak stan robotniczego intelektu. Jego bohater, robotnik–półanalfabeta, naiwnie relacjonował to, co usłyszał z ust „patriotycznych kolaborantów", mimowolnie kompromitując tym samym ich wallenrodyczne samousprawiedliwienia. Powieściowy obraz społeczności strajkującej daleki był od wizji patriotycznej wspólnoty świadomie dobijającej się wolności, przedmiotem uwagi pisarza była tu raczej metamorfoza osobowości zinowiewowskiej, wykluwanie się pojęć patriotyczno-demokratycznych w świadomości „zatrutej" indoktrynacją (choć zbuntowanej). W kilku scenach robotnicy pojawiali się jako wyraźnie zdezorientowani posunięciami władz (Głowacki podkreślał różnicę politycznej samowiedzy dzielącą ogół strajkujących od „elity" strajku wywodzącej się ze środowisk niezależnych). Jego bohater reagował na sugestie władzy chwiejnie, sterroryzowany i niepewny, ale podobne fluktuacje ufności i podejrzliwości wobec języka władzy określały też świadomość i innych strajkujących.

„Głosują za, ale są przeciw, maszerują, ale stoją, jedną ręką trzymają w pochodzie sztandar, a drugą zaciskają w pięść za plecami" — to rozchwianie, symbolizowane tragigroteskowym obrazem polskich robotników, którzy „maszerują, ale stoją", dało o sobie znać także w spotkaniu z wallenrodycznymi sugestiami.

Głowacki odnotował kilka takich zdarzeń. Kiedy ludzie z aparatu występujący na zebraniu strajkujących starali się stworzyć wrażenie, że protestujący robotnicy popierają Gierka jako człowieka, który wspólnie z papieżem chce ocalić Polskę, część strajkującej załogi przyjmowała taką sugestię oklaskami i trzeba było dopiero zdecydowanej interwencji działaczy niezależnych, by rozproszyć robotnicze złudzenia. Ta mglista sugestia wallenrodyzmu pierwszego sekretarza, który odważył się wpuścić do komunistycznej Polski papieża, dobrze przyjmowana przez robotników, trafiała na przygotowany grunt patriotycznych stereotypów zaszczepianych przez lata przez partyjną propagandę.

Władze sięgnęły bowiem w Sierpniu do argumentów narodowych, wykorzystując wieloletnią, szczególnie wyraźną w 1968 roku, strategię kontaminowania symboliki patriotycznej i klasowej, tak by stała się ona narzędziem psychologicznego szantażu. Przedstawiona w powieści policyjna intryga odwoływała się właśnie do tych złóż świadomości zbiorowej i, jak sugerował Głowacki, odwoływała się skutecznie.

Jeden z głównych bohaterów powieści, konfident Misiak z frakcji „twardej", zmierzającej do sprowokowania akcji wojskowo-policyjnej, grający przede wszystkim na uczuciach narodowych, uchodził w oczach robotników za najżarliwszego patriotę. Policyjna intryga, zmierzająca do pacyfikacji militarnej, posługiwała się tu Rejtanowskim językiem symbolicznym. Ów Rejtanowski język tajnej policji był chyba jednym z najbardziej szokujących pomysłów powieści. Zgodnie z instrukcjami swoich mocodawców Misiak, występując przed kamerami zachodnich korespondentów jako reprezentant strajkującej załogi, niczym Rejtan na obrazie Matejki rozrywał koszulę łamiąc paznokcie o własną pierś. Upozowany na jednego z „szarych" Polaków, w patriotycznym uniesieniu żądał unicestwienia Partii jako agentury sowieckiej i przedstawiał Sierpień jako drugi (tym razem wspierany przez Amerykanów) cud nad Wisłą, niemal bez reszty mieszcząc się w językowych kliszach propagandowych „narodowego komunizmu":

> lud zawsze musi zwyciężyć, a to dlatego, że taka jest dialektyka dziejów. [...] wielka siła klasy robotniczej wymiecie z tej ziemi to wszystko, co przywiał obcy wiatr. [...] Zresztą lepiej z Rosjanami się dogadać niż z tymi agenciakami [s. 60].

Stylistyka „Trybuny Ludu", podszyta niepodległościowymi podtekstami, przeradzała się w tej patriotycznej przemowie w koszmarną komunistyczno-narodowo-plebejską mieszaninę.

Ta Rejtanowska dykcja protestu, podsuwana strajkującym, miała dostarczyć pretekstu do „miażdżącej odpowiedzi" „wojsk opancerzonych"; po wystąpieniu policyjnego „patrioty" *mass-media* zaostrzyły kurs informując, że w Stoczni panuje „czarny terror" wobec autentycznych robotników pragnących ugody z władzą, nic dziwnego więc, że przywództwo strajku zdecydowanie potępiło ten patriotyczny wyskok. Ale reszta załogi?

Głowacki interesował się bowiem przede wszystkim spotkaniem przeciętnej świadomości robotnika z argumentacją policyjnych reżyserów

zdarzeń. Jego bohater nie oceniał wallenrodycznych kusicieli, z którymi rozmawiał, lecz jedynie relacjonował ich wypowiedzi, ale to wystarczyło, by powieść stała się szyderczą panoramą języka „patriotycznej kolaboracji".

Powieściowy obraz konfliktu akcentuje wszechobecność wallenrodycznych pozorów. Aby osiągnąć swoje cele, pozy wallenrodyczne przybierali tu i zwolennicy Gierka, i jego przeciwnicy, wallenrodycznymi aluzjami posługiwała sią także sama ekipa pierwszego sekretarza. Głowacki wskazywał na nieograniczoną wprost adaptacyjność języka „patriotycznej zdrady", którym można było uzasadnić niemal każde posunięcie. Język ten był częścią szerszej strategii manipulacji (tendencyjny montaż przemówień „Wąsatego" i kazań prymasa, wprowadzanie na teren Stoczni „brygady" rzekomych stoczniowców, dorzucanie „czegoś" do kotła z jedzeniem dla strajkujących, dostarczanie do Stoczni wody sodowej zmieszanej z wódką...).

Aby zjednać sobie robotniczego konfidenta, funkcjonariusze sugerowali, że kierują się skrytą intencją patriotyczną, mając na uwadze przede wszystkim ocalenie zagrożonej niepodległości. Głowacki odnotowywał niemal zupełną nieobecność argumentacji klasowej jako narzędzia perswazji. W świetle wypowiedzi powieściowych bohaterów Służba Bezpieczeństwa jawiła się jako zbiorowy Wallenrod dążący (przy pozorach zdrady) do ocalenia Polski przed interwencją sowiecką a także agresją niemiecką.

W tej wallenrodycznej autostylizacji na pierwszy plan wysuwano „tragizm" duszy funkcjonariusza, przyjmującego heroicznie odium pozornej zdrady. Konflikt wewnętrzny Mickiewiczowskiego Konrada powracał tu w groteskowo-szyderczym ujęciu.

Służba Bezpieczeństwa całym sercem popierała zatem wolnościowe aspiracje polskiego społeczeństwa, świadoma jednak zagrożeń, jakie wiązały się z uwarunkowaniami geopolitycznymi, dążyła do nadania walce takich form, które nie naraziłyby Polski na uderzenie sowieckich i niemieckich kolumn pancernych — tak przedstawiała się autocharakterystyka frakcji „miękkiej" dążącej do wyciszenia protestów. Obronić naród przed patriotyczną gorączką nieodpowiedzialnych „Rejtanów" — oto cel działań uchodzących za represyjne. Aresztowania działaczy opozycyjnych były więc bolesną koniecznością, której — mimo starań — nie dało się uniknąć. Ośmieszając ten rodzaj argumentacji nadawał Głowacki wypowiedziom funkcjonariuszy ton obłudnego poufałego zwierzenia:

Przecież tak patrząc po ludzku i na trzeźwo, to co jest ważniejsze — mówił „Wysoki towarzysz" do robotniczego konfidenta — całościowa sprawa waszego pięknego ruchu czy tych, ilu tam, nawiedzonych, co się i tak ich przecież nie wypuści, bo sprowadzą na ojczyznę jedna po drugiej wszystkie plagi, jakie Pan Bóg ma pod ręką, z przyjacielską wyręką na czele. [...] Możecie nam wierzyć, że tak trzeba — zmarszczył czoło. — Nie ma lepszego wyjścia, nie trzymamy ich dla przyjemności, to jest mus. A jak mus, to mus. No przecież — ściszył głos — gdybyśmy mogli, to byśmy ich wypuścili [s. 61].

Ale obok tego rodzaju wallenrodyzmu anty-Rejtanowskiego Głowacki dostrzegał w Sierpniu także wallenrodyczne użycie argumentów antysemickich. Zbliżał się w tym punkcie do ujęć, które w swoich dramatach zarysował Iredyński. Aby uspokoić robotnika współpracującego z SB, funkcjonariusze przedstawiali swój resort jako organizację, której długofalowym celem, przesłoniętym pozorami narodowej zdrady, miało być ocalenie narodu polskiego przed żydowskimi manipulatorami, działającymi tak w partii, jak w szeregach opozycji. Na tym gruncie spotykały się intencje frakcji „twardej" i „miękkiej".

Wymienieni ludzie albo rozjeżdżają się mercedesami i kierują państwem dla własnych korzyści, albo z drugiej strony z głębokiego ukrycia jątrzą i podżegają do najgorszego, starając się dla własnej korzyści to państwo obalić [s. 43].

Argumentacja ta wspierała zarówno intencję wywołania strajkowego wstrząsu, który miałby oczyścić władze partyjne z elementów „obcych", tak by miejsce żywiołu nienarodowego zajęli prawdziwi patrioci (Głowacki nawiązywał tu do Marca 1968), jak i intencję zerwania związków łączących środowisko robotnicze z opozycją demokratyczną. Taka właśnie prowokacyjna wizja Sierpnia jako żydowskiej roboty była kreowana na użytek propagandy przez Rejtanowskiego konfidenta, który występując jako reprezentant strajkujących z dumą oświadczał przed kamerami telewizyjnymi: „mamy Papieża, naszych oficerów w Armii Izraela i Amerykanie nas nie sprzedadzą" (s. 60).
Służba Bezpieczeństwa broniła zatem niepodległościowych idei Sierpnia przed ludźmi (szczególnie ludźmi pochodzenia żydowskiego...), którzy tej idei zagrażali. Wyznanie takie padło w powieści z ust „Przełożonego Wysokiego Towarzysza", który w poufałej rozmowie z robotnikiem–konfidentem przyznawał, że „KOR to hasła ma bardzo piękne", ale jego członkowie moralnie nie dorastają do swego posłannictwa.
Nie to jednak stanowiło prawdziwą nowość w ujęciu tematu wallenrodycznego. Nowość taką stanowiło powiązanie przez Głowackiego

argumentacji wallenrodycznej z „Frommowską" samoświadomością „patriotycznych kolaborantów".

Oczywiście — zastrzegał się wysoki funkcjonariusz — ja jestem za pełną liberalizacją i demokratyzacją — rozejrzał się i szepnął mi do ucha: — Przyznam wam się szczerze, że uważam, że najlepiej, żeby służb specjalnych w ogóle nie było. Tyle że do tego, niestety, ale potrzebna jest dojrzałość. Ach, mój Boże — pokiwał głową — czy aby to społeczeństwo dorośnie kiedyś do liberalizacji? Mamy z takim trudem wywalczoną niepodległość, co oni z nią robią! [...] A ciekaw jestem, czy wiecie — od nowa ściszył głos — że RFN-owskie łodzie podwodne stoją już żelaznym kordonem na morzu i tylko czekają [s. 47].

Jeśli formułowana w duchu *Ucieczki od wolności* Fromma diagnoza stanu świadomości polskiego społeczeństwa tkwiła u podstaw programu etycznego Nowej Fali, współtworząc duchową orientację jednego z nurtów opozycji demokratycznej, Głowacki „Frommowską" wizję polskiego społeczeństwa odnalazł w wypowiedziach tajnych funkcjonariuszy i to właśnie na tej wizji wspiera się w jego powieści wallenrodyczna autostylizacja resortu. Makiaweliczna pokrętność policyjnego intelektu odsłania się tu w całej żałosnej pełni. Ów obraz narodu uciekającego od wolności, tworzony przez „wysokich towarzyszy", miał usprawiedliwiać represyjne posunięcia aparatu, ale współtworzył też „patetyczną" wizję tragizmu patriotycznej misji tajnych służb. Wedle bowiem „narodowej" autocharakterystyki aparat, narażając się na patriotyczną anatemę, ratował Polaków przed nimi samymi jako ludźmi niezdolnymi do życia w wolności, tłumiąc zaś protesty otwierał przed polskim społeczeństwem szansę na osiągnięcie obywatelskiej dojrzałości. Pozujący na Wallenroda funkcjonariusz przekonywał więc robotniczego konfidenta, że protest sierpniowy był buntem najzupełniej pozornym, bo całkowicie sprzecznym z charakterem społeczeństwa polskiego, które, owszem, buntowało się, ale w swej istocie tęskniło za autorytetem i pragnęło żyć w kłamstwie. Lud polski „woli czytać kłamstwo i wiedzieć, że to jest kłamstwo". Aresztowania działaczy opozycyjnych zatem, domagających się swobód obywatelskich, pozornie wywołujące sprzeciw robotników, w rzeczywistości najgłębiej zgadzały się z wolą ludu, którego bunt przeciw władzy autorytarnej był najzupełniej pozorny! Wallenrod z tajnej policji uzasadniał swoją „patriotyczną zdradę" tezą o dwukierunkowej nienawiści rozrywającej polskie serca. Pacyfikację wolnościowego ruchu przedstawiał jako bolesny, lecz konieczny powrót... do entelechii polskości, a więc urzeczywistnienie skrytych pragnień otumanionego narodu,

powrót otwierający równocześnie drogę do władzy prawdziwym patriotom z frakcji moczarowskiej.

Oni — pokazał za bramę — nas teraz nienawidzą tak, jak siebie samych nienawidzą. My wypijemy kielich goryczy. [Są jeszcze] mądrzy, doświadczeni prawdziwi politycy i ofiarni patrioci, odsunięci przez obecną władzę, skrzywdzeni i poniżeni. [...] Oni wrócą, a wraz z nimi wróci nowa sprawiedliwość [s. 48].

Tajny funkcjonariusz jako „człowiek w masce" heroicznie wypijający kielich goryczy niesprawiedliwych posądzeń o narodową zdradę... Głowacki szyderczo rekonstruował więc cały system wallenrodycznych wmówień, którymi posłużono się w Sierpniu. W swoim obrazie na pierwszy plan wysuwał perswazyjną, socjotechniczną funkcję argumentu geopolitycznego wzmocnionego analogią rozbiorową (groźba IV rozbioru), eksponował też znaczenie przybranych w wallenrodyczne pozory sugestii antysemickich. Sportretowani w powieści „ludzie władzy" satelickiego państwa przybierali tragiczną pozę obrońców narodu przed „przyjacielską wyręką" ze Wschodu, przed Niemcami, przed Żydami, no i przed samymi Polakami, apelując w ten sposób o zrozumienie dla represyjnych posunięć...
Dlaczego jednak nie spotkało się to z żadnym (czy prawie żadnym) odzewem ze strony strajkujących robotników? Powieść mówi o trzech powodach. Po pierwsze, robotnicy nie tyle odrzucili wallenrodyczne sugestie „patriotycznych kolaborantów", ile ich w ogóle „nie słyszeli". Głowacki odnotował niemal absolutną nieprzenikalność robotniczej świadomości na oficjalną propagandową perswazję telewizyjną. Robotnicy przekonani, że telewizja kłamie, po prostu wyłączali „głos" partii i w ten sposób argument geopolityczny, wspierający sugestię patriotycznego współdziałania z władzą dla ocalenia Polski przed IV rozbiorem, trafiał w próżnię:

doszło nas gwizdanie na potęgę, przeplatane śmiechem, czyli że zaczynała się wiadomość z dziennika, gdzie zasmucony mężczyzna doradzał, żeby się spojrzeć na mapę i przestrzegał, że jak się nie uspokoimy, zrobią z nami wiek osiemnasty albo jeszcze gorzej. Jednak na ogólny wniosek zaraz wyłączono go z głosu [s. 57].

Ale w sytuacjach bardziej nieoficjalnych Głowacki dostrzegł utrzymywanie się ludowego mitu wallenrodyzmu pierwszych sekretarzy i pewną bezbronność robotniczej świadomości, bo jednak sugestie antysemickie trafiały chwilami na podatny grunt...

Po drugie, istotną rolę odegrało tu dobre polityczne rozeznanie ludzi ze środowisk niezależnych, kierujących strajkiem, którzy natychmiast rozpraszali robotnicze złudzenia. W tym punkcie powieść nawiązywała do przeświadczeń o roli elit w sytuacji konfliktu społecznego, które dochodziły do głosu już w prozie Żeromskiego. Społeczność robotniczą, chwilami rozchwianą, choć równocześnie nie cierpiącą „czerwonych", oświecały świadome jednostki. Przywódcy strajkowi blokowali intrygę policyjną i robili to skutecznie. Wallenrodyczne pozy były dla nich polityczną grą, niczym więcej.

Trzeci moment rysuje się w powieści bardziej zagadkowo: chodziło o przeobrażenie głównego bohatera. Intelektualne dojrzewanie do niezależności rysowało się tu mgliście, bo Ufnal nie bardzo rozumiał argumentację, którą mu przedstawiano, czasem ulegał jej bezkrytycznie, ważną rolę w jego przemianie odgrywał też konformizm i strach przed kolegami. Ów konfident z biało-czerwoną opaską na rękawie, dotąd odrzucany przez jedną z robotnic za to, że jako patriotyczny głupiec niepotrzebnie zaangażował się w strajk, po podpisaniu porozumień zyskuje jej względy jako człowiek strony zwycięskiej, który dobrze ustawił się w nowej sytuacji. Powieść kończy więc dysonans, uniejednoznaczniający wizję patriotycznego *katharsis*...

Maria Prussak

Świat pod kontrolą

W *Pannie Katarzynie w długach* Józefa Korzeniowskiego jest taka scenka:

PANNA KATARZYNA (*przestraszona*) Jezus Maria! a napisałeś już pan z dziesięć dramatów.
PAN KORZENIOWSKI Większą połowę spalę.
PANNA KATARZYNA I w tych, co zostaną, nie ma życia i prawdy.
SĘDZIA Przestańcież państwo — nie o to idzie. W dramatach pana nie ma nic przeciwko rządowi?
PAN KORZENIOWSKI Nigdy w żadnym.
SĘDZIA Ani przeciwko religii i moralności?
PAN KORZENIOWSKI W jednym tylko znalazł tę zbrodnię pewny cenzor; ale wówczas był bardzo pijany.

Ta błaha autobiograficzna fraszka sceniczna jest bardzo rzadkim przykładem utworu literackiego, w którym pada słowo „cenzor". Ba, autor przyznaje nawet, że cenzor miewa decydujący wpływ na to, jakie będą jego komedie. Cenzorzy rosyjscy często bywali niemal współautorami dzieł drukowanych w Królestwie Kongresowym i granych w tutejszych teatrach, chociaż *Ustawa o cenzurze* stwierdza wyraźnie:

Cenzor nie ma prawa czynić jakichkolwiek zmian w rękopisach i książkach drukowanych, które mu do rozpatrzenia przedstawiono, a tym bardziej nie może dodawać w nich od siebie jakichkolwiek uwag lub rozumowań. Zakreśliwszy czerwonym atramentem ustęp, przeciwny przepisom cenzuralnym, cenzor pozostawia autorowi lub wydawcy możność

usunięcia tego ustępu lub poczynienia w nim zmian odpowiednich, a potem dopiero podpisuje zezwolenie na druk rękopisu. Zresztą od woli wydawcy zależy powierzyć cenzorowi poprawienie miejsc zakreślonych, stosownie do jego uznania [art. 23].[1]

Ostateczny kształt utworu literackiego zależał więc od postanowienia cenzora. Kiedy warszawscy czytelnicy już oficjalnie zapoznali się z Adamem Mickiewiczem, był to Mickiewicz przysposobiony przez urzędnika Warszawskiego Komitetu Cenzury. W jubileuszowym, mocno przetrzebionym wydaniu *Dzieł* z 1897 roku mogli na przykład znaleźć skróconą wersję *Śmierci pułkownika*. Tak wyglądały dwie ostatnie zwrotki:

Z rannym świtem dzwoniono w kaplicy
Już przed chatą nie było żołnierza,
Bo już ..... był w tej okolicy.
Przyszedł lud widzieć zwłoki rycerza:
Na pastuszym tapczanie on leży,
W ręku krzyż, w głowach siodło i burka,
A u boku kordelas, dwururka.
Lecz ten wódz, choć w żołnierskiej odzieży,
Jakie piękne dziewicze ma lica!
Jaką pierś!... Ach, to była dziewica.
.....
.....

(t. I, s. 242). Tutaj cenzor tylko nakazał skreślenie niektórych słów i wierszy. W *Panu Tadeuszu*, wydanym w 1878 roku, starszy cenzor Funkensztein posunął się do wprowadzenia ulepszeń. Omówił je Teofil Syga w książce poświęconej dziejom wydań Adama Mickiewicza:

przytoczmy kilka, pierwszych z brzega, dla przykładu; czasem są śmieszne, czasem nikczemne. Więc zamiast: „Apeluj, rzekł Płut, choćby do Imperatora", publiczność czytała: „Apeluj, rzekł Płut, choćby z rana do wieczora"; zamiast: „On odpowie przed Carem", wydrukowano: „On za wszystko odpowie". Gdy poeta napisze: „są pewne nadzieje, że nam z wiosną swobody zorza zajaśnieje", cenzor poprawi: „że zorza spokojności i nam zajaśnieje". Albo jeszcze gorzej. Zamiast: „I łotr, przyjaciel jego, pan Wołk z Łogomowicz", czytamy: „I łotr, przyjaciel jego, Polak Wołk z Łogomowicz"; czy też zamiast: „To Moskale półkami jak trawa się ścielą", cenzor napisał: „To Prusacy półkami jak trawa się ścielą". Ponieważ jednak kłamstwo ma nogi, jak wiadomo, krótkie — przeto wielu czytelników poprawiało ołóweczkiem tekst na kartach książki z egzemplarza wydanego poprawnie.[2]

---

[1] Wszystkie cytaty z *Ustawy o Cenzurze i Prasie* podaję za: *Podręcznik Księgarski. Przewodnik praktyczny dla wydawców, księgarzy, pomocników i praktykantów księgarskich*, pod red. T. Paprockiego, Warszawa 1896.

[2] T. Syga *Te księgi proste. Dzieje pierwszych polskich wydań książek Mickiewicza*, Warszawa 1956, s. 277–278.

Nawet Stefan Żeromski uległ presji cenzury, zapewne bardzo zależało mu na dotarciu do czytelników w Królestwie Kongresowym. Nie poprzestał na trzykrotnym wydaniu *Syzyfowych prac* w Galicji i siłą rzeczy wąskim kręgu odbiorców, do których docierały przemycane książki. Poddał się więc prawu obowiązującemu w Cesarstwie i w 1909 roku wydał w Warszawie przerobioną wersję powieści zatytułowaną *Andrzej Radek*.

Cenzura, prawie nieobecna w świecie takim, jaki pokazywały utwory literackie, była jednak częstym tematem wypowiedzi pisarzy. Informacje o kłopotach z cenzurą, o konieczności dostosowania się do narzuconych reguł pisania powtarzają się i w listach redaktorów do autorów, których zamierzają drukować, i w zwykłej codziennej korespondencji. Istnienie cenzury narzucało pisarzom wewnętrzne ograniczenia, kontrolowali sami siebie wiedząc, że podjęcie niektórych tematów z góry skazuje ich utwór na zakaz druku. Zdarzało się, że powstawały dwa warianty tego samego tekstu — pruski, przeznaczony dla cenzury warszawskiej, i właściwy rosyjski. Nowela Sienkiewicza *Z pamiętnika poznańskiego nauczyciela* w wersji przeznaczonej dla Galicji nosiła tytuł *Z pamiętnika korepetytora*. Eliza Orzeszkowa w noweli *A...B...C...* zmieniła realia, które wskazywały miejsce akcji. Często dochodziło do pertraktacji z urzędnikiem odpowiedzialnym za książkę. Odwojowywano w nich poszczególne zdania, fragmenty i całe teksty. Od decyzji można było odwoływać się do wyższych władz, choć nie zawsze się to opłacało.

„W Rosji urząd cenzury powstał wcześniej niż literatura; jego złowrogie starszeństwo zawsze dawało się odczuć"[3] — pisał Vladimir Nabokov w książce o literaturze rosyjskiej. Uprzywilejowana sytuacja piśmiennictwa w Królestwie Polskim nie mogła długo trwać. Cenzurę prewencyjną wprowadzono wbrew gwarantującym wolność słowa postanowieniom konstytucji z 1815 roku. Przywrócono ją z całą mocą, wzorując się na ustawodawstwie obowiązującym w cesarstwie, przystosowanym do polskich warunków, po upadku powstania 1830 roku. Wszystkie formy funkcjonowania cenzury w Królestwie Kongresowym scentralizowano i ujednolicono na mocy ukazu cesarskiego z 17 (29) września 1869 roku. Powstał wówczas Warszawski Komitet Cenzury podległy urzędującemu w Petersburgu Głównemu Urzędowi do Spraw Druku w Ministerstwie

[3] V. Nabokov *Czernyszewski*, przeł. E. Siemaszkiewicz, „Zeszyty Literackie" nr 24 (1988), s. 16.

Spraw Wewnętrznych i nadzorowany przez warszawskiego generała–gubernatora. Główny Urząd do Spraw Druku publikował spisy książek zakazanych w całym cesarstwie oraz tytuły sztuk zabronionych lub dopuszczonych do wystawienia w zależności od typu teatru. Najsurowiej traktowano tanie teatry popularne, przeznaczone dla widzów z niższych warstw społecznych.

Warszawski Komitet kierował się obowiązującą w Imperium *Ustawą o cenzurze i druku* z 1857 roku, wielokrotnie nowelizowaną w latach 1865, 1886, 1890 i późniejszych. *Ustawę* uzupełniały niezliczone jawne i tajne okólniki, wytyczne i zarządzenia. Przepisy interpretowano w zależności od okoliczności, w jakich miał się ukazać cenzurowany utwór i od warunków miejscowych. Każde kolejne wydanie tej samej książki musiało od nowa uzyskać aprobatę cenzury. Tak więc ta sama *Ustawa o cenzurze* w różnym stopniu wpływała na piśmiennictwo rosyjskie i literaturę wydawaną w krajach podbitych. To, co dozwolone po rosyjsku, mogło być zakazane w tłumaczeniu. Interpretacja przepisów zależała też od różnorodnej polityki władców Imperium w stosunku do ludów podbitych, od roli, jaką wyznaczono im na mapie wielonarodowego cesarstwa, od zaplanowanego tempa i form rusyfikacji.

Interpretację przepisów dyktowały zarówno założenia polityki wewnętrznej władz centralnych i stosunki międzynarodowe, jak i sytuacja lokalnej społeczności. Wpływ na sposób funkcjonowania urzędu wywierały i osobowość, i styl pracy urzędników w prowincjach. Ci zaś byli mianowani w zgodzie z tendencją dominującą w polityce. Tak więc system cenzuralny ulegał zmianom i wahaniom, bywały okresy względnego liberalizmu i absurdalnej surowości. Symbolem tych ostatnich na terenie Królestwa Kongresowego była działalność generała–gubernatora Josipa Hurki, wspieranego przez kuratora okręgu szkolnego Aleksandra Apuchtina i prezesa Warszawskiego Komitetu Cenzury Iwana Jankulija. Ostatecznym celem działania cenzury było nie tylko zabranianie treści niepożądanych, ale też i wpływanie na to, co ukazuje się drukiem, na zachowanie proporcji, ton i nastrój towarzyszące podejmowanym przez pisarzy tematom.

W kraju podbitym i rusyfikowanym słowo stawało się narzędziem walki i oporu. Pojawiły się więc takie pojęcia jak zakazana książka, zakazane druki, zakazane piśmiennictwo. Zakazane z punktu widzenia interesów zaborcy. Działania cenzorskie polegały nie tylko na zakazywaniu (lub pozwalaniu), ale i na kontrolowaniu przestrzegania zakazu, należały

więc do kompetencji różnych urzędów. Wykonywali je nie tylko właściwi pracownicy komitetu cenzury, również urzędnicy administracji państwowej — kancelarii generała-gubernatora, poczty, także policjanci i celnicy. Wszyscy oni kontrolowali się wzajemnie, sprawdzając nawzajem własną gorliwość w służbie. Cenzor, który dopuścił do druku tekst — zdaniem jego zwierzchników, a nawet zdaniem gorliwej opinii publicznej — zakazany, bywał karany naganą, grzywną, zatrzymaniem awansu. Wpływ na to, jakie publikacje docierały do czytelników, oprócz cenzury, wywierała też polityka podatkowa stosowana wobec drukarni i polityka celna. Wysokie opłaty celne, które nakładano na wydawnictwa importowane, hamowały dostęp na rynek księgarski w Królestwie polskich książek dopuszczonych wprawdzie przez cenzurę, jednak wydawanych w Wielkopolsce lub w Galicji.

Komitety cenzury zajmowały się działalnością dwojakiego rodzaju — decydowały o dopuszczeniu do druku rękopisów lub o dopuszczeniu wydrukowanych za granicą czasopism i książek do prenumeratorów i księgarń. W języku urzędowym nazywało się to cenzurą wewnętrzną i cenzurą zewnętrzną. Cenzura zewnętrzna dotyczyła publikacji w językach obcych i zagranicznych druków polskich. Cenzor kwestionował czasem tylko fragmenty wydrukowanego tekstu albo pojedyncze zdania. Wówczas z książek, które miały znaleźć się w warszawskich księgarniach, wycinano inkryminowane strony albo zaczerniano niedozwolone linijki. Komitet zatrudniał nawet specjalnego pracownika do zamalowywania potępionych miejsc.

Szczególnym działem cenzury wewnętrznej była cenzura teatralna, która decydowała o dopuszczeniu na scenę utworów dramatycznych, również wierszy i monologów, recytowanych na koncertach, a także tekstów odczytów publicznych. W cenzurze teatralnej obowiązywały surowsze kryteria. Zdania dopuszczalne w lekturze stawały się groźne, kiedy miały przemówić ze sceny do licznie zgromadzonych widzów. Zakazane było też pokazywanie historycznego stroju polskiego, nawet jego elementów. Reakcja na przedstawienie teatralne stwarzała ogromną możliwość odwoływania się do najbardziej nawet odległych aluzji do spraw istotnych dla publiczności w danym momencie, dlatego wyobraźnia cenzora tropiła aluzję w miejscach, które wydają się zupełnie absurdalne. W granicach zaboru rosyjskiego teatr był jedyną instytucją, w której można było usłyszeć język polski, za to treść przedstawień poddawano ścisłej kontroli. Ograniczano skalę pokazywanych spraw i emocji, nie dopuszczając na

scenę sztuk, których tematem był jakikolwiek konflikt istotny dla życia społecznego.

W porównaniu z sytuacją wielu innych narodowości włączonych do Imperium teatr polski, tak jak i polskie piśmiennictwo, były uprzywilejowane. Podkreślał to już Franciszek Rawita–Gawroński w jednej z pierwszych książek poświęconych cenzurze rosyjskiej:

Dodać do tego trzeba jeszcze wyjątkowo różne prawa, skierowane jawnie do powstrzymania rozwoju narodowościowego, jak to np. miało miejsce na Rusi, gdzie najwyższy ukaz 1886 zabronił drukowania książek, abecadlników, elementarzy itp. po rusińsku, a inny zabraniał przez usta generał–gubernatora w Kijowie przedstawień teatralnych trupy rusińskiej, która poprzestawać musi albo na miastach prowincjonalnych, gdzie świat małomiasteczkowy i urzędnicy uważają teatr za sztukę „chachłacką", za coś godnego litości i śmiechu, albo przytula się w teatrzykach warszawskich, gdzie nie mają pojęcia o języku rusińskim.[4]

Zespół teatru ukraińskiego rzeczywiście grał nie tylko w Warszawie i na prowincji, ale występował też z dużym sukcesem w Moskwie i w Petersburgu, natomiast do końca 1893 roku nie mógł grać ani w Kijowie, ani w Połtawie, ani w Czernihowie.

Wydany 17 (30) października 1905 roku *Manifest o wolności słowa, stowarzyszeń i nietykalności osobistej* zlikwidował w cesarstwie cenzurę prewencyjną. Zastąpiono ją cenzurą represyjną, czyli odpowiedzialnością karną piszących i wydawców, którzy dopuścili do wydrukowania tekstów noszących znamiona przestępstwa. Od tej pory, w stosunku do wydawnictw z terenu Królestwa Kongresowego, Komitet Cenzury zajmował się tropieniem druków nieprawomyślnych, podlegających konfiskacie. Nie zmieniła się procedura dotycząca teatrów i cenzury zewnętrznej. Inne, bo dostosowane do nowych warunków politycznych, były kryteria ocen. Przy uzasadnianiu decyzji negatywnych cenzorzy nie powoływali się już na nieważne przepisy *Ustawy o cenzurze i druku*, lecz uzasadniali je naruszeniem stosownych artykułów *Kodeksu karnego* lub *Kodeksu kar głównych i poprawczych*.

Wszystkie opinie negatywne cenzorzy mieli obowiązek szczegółowo uzasadniać i wskazać przepisy, którymi się kierowali. Raporty omawiające teksty zakazane lub fragmenty wywołujące zastrzeżenia cenzorzy przedstawiali na cotygodniowych posiedzeniach Komitetu, który roz-

---

[4] St. Wigura [F. Rawita–Gawroński] *Dziesięciolecie cenzury rosyjskiej w Królestwie Polskim (1880–1891)*, Kraków 1892, s. 12.

patrywał ich wyjaśnienia i podejmował decyzję. Bardzo rzadko zdarzało się, żeby członkowie Komitetu zakwestionowali argumentację cenzora omawiającego utwór i żeby ostateczna decyzja była niezgodna z jego propozycją. Posiedzenia komitetu szczegółowo protokołowano. Szesnaście tomów akt, zawierających protokoły posiedzeń Warszawskiego Komitetu Cenzury z lat 1859, 1867, 1873, 1879, 1885, 1886, 1888–1891, 1897, 1899, 1903, 1905–1907 Archiwum Główne Akt Dawnych w Warszawie otrzymało w 1962 roku od rządu ZSRR. (Przechowywane w tymże Archiwum przed wojną dokumenty Warszawskiego Komitetu Cenzury spłonęły łącznie z inwentarzem w 1944 roku.) Wśród tych protokołów zachowały się także dokładne streszczenia raportów omawiających utwory zasługujące, zdaniem cenzorów, na szczegółowy komentarz. Czytając te raporty można poznać sposób rozumowania urzędników cenzury i ich argumentację. Opinie przygotowywano na użytek Komitetu i miały służyć przekonaniu już przekonanych. Równocześnie jednak były dowodem tego, że decyzje Komitetu nie są rezultatem kaprysów, uprzedzeń albo zmiennych nastrojów i zawsze mają podstawę prawną.

Ustawa o cenzurze i druku w artykule 25 dokładnie określała również kwalifikacje urzędników Komitetów Cenzury:

Na cenzorów, tak w dziale wewnętrznej, jak i w dziale zewnętrznej cenzury, mogą być mianowani tylko urzędnicy, którzy otrzymali wykształcenie w wyższych zakładach naukowych lub też na innej drodze zdobyli gruntowne wiadomości naukowe, gdy są nadto dostatecznie obznajmieni z rozwojem historycznym i ruchem bieżącym literatury ojczystej lub obcej, stosownie do tego, do jakiego działu mają być wyznaczeni. W czasie spełniania swego urzędu nie powinni jednocześnie spełniać żadnych innych obowiązków, ani też przyjmować udziału w redagowaniu wydawnictw periodycznych.

Urzędnicy byli różni. Publikacje drukowane za kordonem, wspomnienia pisane po odzyskaniu niepodległości pełne są przejaskrawionych siłą rzeczy anegdot, ośmieszających carskich urzędników i wykazujących absurd ich postępowania. To była też jedna z metod walki o wolne słowo i próba zbagatelizowania niechlubnych wspomnień. Książkę Rawity–Gawrońskiego przeplatają krótkie przykłady zidiocenia urzędników lub ich złośliwe portreciki:

Iwanowskij, czarny, mały, szczupły jak jaszczurka, z twarzą mopsa, interesantów, którym nie wart był rzemyka rozwiązać, przyjmował stojąc, jak minister rosyjski, mówił zawsze krótko: tak lub nie, i odwracając się na pięcie wychodził z pokoju. W całym jego zachowaniu się przebijała złość jakaś i zaciętość.

Czestilin był wzorem dla Iwanowskiego; chłopcy z drukarni nazywali go „psem wściekłym", bo nigdy nie przemówił inaczej jak tylko z krzykiem, fukiem i łajanką. Kiedy wreszcie po długoletnich rządach wyjechał na prowincję, podobno na sędziego pokoju — winszuję! — radość była tak powszechna, jakby co najmniej nowy Napoleon I wkroczył do Warszawy. Nikolicz był zgryźliwym suchotnikiem, zamykał się na klucz, nie dając przystępu do siebie nikomu. Korekty przyjmowała służąca, a chłopców wyrzucano za drzwi na podwórze, gdzie siadywali godzinami całymi, spoglądając w okna mieszkania pana cenzora. Po długich godzinach oczekiwania otwierał sią nareszcie lufcik, cenzor wysuwał głowę i wyrzucał korektę, krzycząc dla kogo.[5]

Karykaturalne charakterystyki cenzorów mogą być zbliżone do prawdziwego obrazu, są jednak niezależne od ich kwalifikacji. Autorzy cenzorskich raportów byli na pewno przygotowani do swojej pracy — czytali w kilku językach, znali historię Polski i historię literatury, a także założenia polityki Imperatora. Dobór argumentów, za pomocą których uzasadniali swoje zakazy, świadczy o pewnej wspólnocie poglądów. Urzędnicy Warszawskiego Komitetu Cenzury lojalnie reprezentowali interesy mocarstwa w podbitym kraju tak, jak rozumieli lojalność. Na podstawie protokołów z ich posiedzeń poznajemy szczególną wykładnię dobra społecznego i interesów Rosji w zdobytej Polsce. U jej podstaw leżało zanegowanie podmiotowości polskiego społeczeństwa i jego prawa do formułowania własnych opinii na temat układu wzajemnych stosunków, nawet przez stronnictwa ugodowe. Znaczy to zapewne, że władcy Rosji nie przejawiali żadnego zainteresowania dla potrzeby i możliwości jakiegokolwiek ułożenia współżycia zaborcy z uciemiężonym, poza prawem przemocy, i nie mieli zamiaru dopuszczać do publicznej dyskusji w tej sprawie.

W polityce rosyjskiej Polacy byli skazani na porażkę — niechętnie tolerowano ich język i odrębność religijną. Nie tolerowano pamięci historycznej, osób emigrantów politycznych, oznak więzi społecznej i organizowania się wokół wspólnego celu. Polacy nie mieli prawa do własnego zdania w sprawach politycznych ani możliwości publicznej krytyki jakichkolwiek instytucji rządowych (nawet jeżeli to była dyrekcja rządowa teatrów warszawskich). Mogli poznać jedynie oficjalną wersję bieżących wydarzeń i wyidealizowany obraz społeczeństwa rosyjskiego. Takim interesom służyli cenzorzy, czasem z dużym zaangażowaniem emocjonalnym, co dla strony polskiej było dowodem szczególnie wyrafinowanej złośliwości. Pozornie suche streszczenia, które przedstawiali

[5] Tamże, s. 59–60.

Komitetowi, wyrażają ich prywatną odrazę lub aprobatę, oburzenie albo pogardę. Lektura ich raportów wciąga czytelnika, bo oprócz nieznanych dotąd wiadomości o losach wybitnych dzieł literatury na cenzorskim biurku przynosi informacje o uczuciach urzędnika wykonującego z oddaniem swą powinność. Także o tym, co na temat polskiego społeczeństwa myśleli niechętni mu przedstawiciele carskiej administracji. Nie byli to wybitni publicyści ani ideologowie kształtujący rosyjską opinię publiczną, tylko ludzie wykonujący polecenia zwierzchników, uwikłani w system służbowych zależności i zobowiązań. Podejmowali je jednak bez sprzeciwu, bo utożsamiali się z nimi. Z emocji cenzorów wyłania się też pośrednio obraz społeczeństwa polskiego. Najważniejsze wydarzenia, sprawy najbardziej istotne tępione były najdokładniej. Im bardziej cenzor się boi, tym więcej możemy się od niego dowiedzieć.

To przede wszystkim pisarze, którym brutalnie ograniczano szanse uprawiania literatury, byli świadomi szkód, jakie w społeczeństwie polskim powodowała działalność Warszawskiego Komitetu Cenzury. Cytowany już kilkakrotnie Rawita-Gawroński dokładnie wiedział, że celem pracy cenzora jest nie tylko zakaz, ale i oddziaływanie na świadomość rządzonego społeczeństwa. Tak o tym pisał, posługując się zgrabnym porównaniem:

Społeczeństwo każde, naród, uważano dotychczas za organizm tak wielki, tak samodzielny, że nikt nigdy nie pokusił się w nowożytnym świecie o przekształcenie go z gruntu poniekąd, o ujęcie go w jakieś karby, tak potężne, ażeby mu nadać inny ustrój wewnętrzny, inny kierunek jego sokom żywotnym. Strzyżono drzewa w sztuczne piramidy i karły, rozkrzyżowano je na szpalerach, zmuszano do rodzenia sztucznych owoców, ale nie przypuszczano, ażeby takie same manipulacje można było wykonywać ze społeczeństwem żywym. A jednak Rosja takie doświadczenie wykonywa — na nas![6]

Kiedy opisuje się mechanizm funkcjonowania cenzury i ogląda z bliska jego działanie, wydawałoby się, że społeczeństwu polskiemu zostawiono niewielkie szanse na przetrwanie pod zaborem rosyjskim. Stanisław Krzemiński, warszawski publicysta, pisał w 1892 roku w opublikowanej we Lwowie książce o skutkach rosyjskiego panowania: „Myśl do ciemnego lochu wtrącona — to stan dzisiejszy umysłowości polskiej w Królestwie, wyrażającej się w druku".[7] Obserwacje Krzemińskiego dotyczą

---

[6] Tamże, s. 68–69.

[7] S. Krzemiński *Dwadzieścia pięć lat Rosji w Polsce*, Lwów 1892, cyt. za: J. Kulczycka-Saloni *Życie literackie Warszawy w latach 1864–1892*, Warszawa 1970, s. 202.

jednak tylko tego, co wydrukowane. Historia nie potwierdziła skuteczności wysiłków władzy. Przekonanie, że da się stworzyć system doskonałej kontroli, okazało się złudzeniem. Doświadczenie uczy, że myśli nie można całkowicie zamknąć, nie daje się ona ograniczyć barierami materialnymi, a słowo znajduje sobie inne drogi poza drukiem. Rozwój myśli i rozwój literatury może wybierać sposoby najdziwniejsze, nie przewidywane przez prawodawcę i nie dające się przewidzieć. W dodatku mechanizm cenzury nie działał z żelazną konsekwencją.

Elity polskiego społeczeństwa zawsze potrafiły znaleźć, w Królestwie lub za kordonem, dostęp do zakazanej literatury ponad narzuconym prawem. Niebagatelną rolę odgrywał przemyt. W najgorszym razie pisma literackie informowały szczegółowo czytającą publiczność o książkach, do których nie miała dostępu. Pisarze z zaboru rosyjskiego rozwinęli sztukę mowy ezopowej, nazywania zakazanych zjawisk nie wprost, posługiwania się aluzjami; prowadzili rodzaj gry z cenzurą. Tak więc zakazy cenzury w znacznie mniejszym stopniu niż można by się tego spodziewać czytając dokumenty — godziły w elity.

Bez odpowiedzi pozostaje pytanie o szkodliwość działania cenzury wśród szerokich warstw mieszkańców Królestwa, wśród czytelników, których trzeba do książek zachęcać i uczyć ich czytania, wśród tych, którzy nie rozumieją wyrafinowanej gry literackiej i zbyt skomplikowanych aluzji. Tematem wciąż nie rozpoznanym przez historyków dziejów społecznych są szkody, ograniczenia, fobie i kompleksy, do jakich doprowadziło Polaków między innymi funkcjonowanie Warszawskiego Komitetu Cenzury. Póki jest to problem nie opracowany, łatwo można zlekceważyć go podejrzeniem, że wolność słowa nie jest w życiu społecznym wartością fundamentalną.

Aneks

Adam Mickiewicz. *Dziady* Część III. Warszawa 1905. Raport cenzora Władimira Iwanowskiego z 3 [16] X 1906. Dotyczy konfiskaty nakładu.

S. Bukowiecki, właściciel księgarni w Warszawie (Marszałkowska 109), wydał broszurę pod tytułem: Adam Mickiewicz. *Dziady* Część III. Trzecia część poematu Mickiewicza *Dziady*, napisana w Dreźnie w 1832 roku i mająca tylko odległy związek z pozostałymi częściami, wydanymi pierwotnie w 1822 roku, nie była do tej pory w całości legalnie rozpowszechniana w granicach Rosji i tylko jej fragmenty były drukowane w wyborze *Dzieł* Mickiewicza, wydanym przez wydawnictwo Gebethnera i Wolffa.

Ta część poematu, jak wyjaśnia autor w przedmowie, zawiera kilka szkiców ogromnego obrazu męczeństwa Polski, a mianowicie przedstawiono tu historię cierpień Mickiewicza

i jego towarzyszy w więzieniu, gdzie znaleźli się z rozkazu Nowosilcowa, prowadzącego śledztwo w sprawie propagandy rewolucyjnej wśród studentów Uniwersytetu Wileńskiego. Poemat przenika żądza zemsty i głęboka nienawiść do Rosji, szczególnie do Cara rosyjskiego jako głównego sprawcy cierpień narodu polskiego. Tą nienawiścią zioną rozmowy więźniów, głównie ich pieśni, zawierające ordynarne wyzwiska i groźby pod adresem Cara rosyjskiego.

Szczególnie rażące pieśni i rozmowy więźniów znajdują się na następujących stronach: Tomasza, Frejenda na s. 19, Jana Sobolewskiego, Józefa, Kołakowskiego na s. 24, Jankowskiego na s. 25–27, Feliksa s. 28–30. Te miejsca dają pojęcie o duchu poematu, o tym, jakie uczucia ten poemat ma wywoływać u czytelnika. Ponieważ wzajemne stosunki Rosji i Polski są teraz takie same, jak były w czasach Mickiewicza, to zawarte w poemacie wezwanie do bezlitosnej zemsty na wrogu, tzn. Rosji, i pogróżki pod adresem Cara rosyjskiego nabierają aktualnego charakteru i dlatego na trzecią część poematu *Dziady* nie można patrzeć tylko jak na zabytek literacki — to testament polityczny poety zostawiony potomnym, powinni oni święcie przestrzegać go do tego czasu, póki nie zostanie osiągnięte to, czego tak wytrwale żąda Mickiewicz od Boga w improwizacji Konrada (s. 39–41), tzn. odrodzenie Polski.

Jeżeli w sąsiednich Prusach w swoim czasie wszczęto postępowanie sądowe przeciw wydawcy innego utworu Mickiewicza, *Konrada Wallenroda*, tylko dlatego, że przedstawiono w nim w nieprzychylnym świetle przodków dzisiejszych Prusaków, jeżeli również tam sądzono zaocznie i skazano redaktorów polskich czasopism warszawskich „Mucha", „Tygodnik Ilustrowany", „Biesiada Literacka" za antyniemieckie wyskoki, to czyż można dopuścić do rozpowszechniania w granicach Rosji dzieło, które wzbudza uczucia nieprzejednanej wrogości i nienawiści do Rosji i jej Cara, w którym znieważa się samą zasadę władzy najwyższej.

Wobec tego, co wyjaśniono powyżej, uznałem za niezbędne nałożenie aresztu na broszurę Adam Mickiewicz. *Dziady* Część III na podstawie art. 3 Ustawy z 26 kwietnia [10 maja] 1906, a przeciw wydawcy Bukowieckiemu proponowałbym wszczęcie postępowania sądowego na podstawie pierwszej części art. 128 i p. 6 art. 129 *Kodeksu Karnego* z ograniczeniem wskazanym w p. 2 art. 132 tego *Kodeksu*.

Od redakcji: Szkic ten jest fragmentem *Wstępu* do wyboru raportów cenzury przygotowanego dla Oficyny Wydawniczej Interim.

NUMER 1 «BIBLIOTEKI TEKSTÓW»

Janusz Sławiński

TEKSTY I TEKSTY

Z ducha Białoszewskiego bierze się niezwykła inwencja językowa Sławińskiego, zmieniająca kolejne eseje w szczególnie pojmowany dziennik intelektualnych „zaciekawień", „pomyśleń" i „fascynacji" — własnych i cudzych. Z ducha Gombrowicza wywodzi się demon dystansu i ironii, dyktujący ostre, nie stroniące od złośliwości i przerysowań, analizy problemów i portrety ludzi...
Niektóre z rysowanych przez Sławińskiego typów i charakterów godne są pióra XVII-wiecznych moralistów...
Do tych powinowactw zaś dodać trzeba bardzo rzadką umiejętność dokonywania momentalnej syntezy i przechodzenia od konkretu do jego miejsca w całościowo widzianym problemie
(„Tygodnik Powszechny")

O MANIPULACJACH PRASOWYCH W RELACJACH Z POPRZEDNICH PAPIESKICH PIELGRZYMEK DO POLSKI I O TYM, JAK DO SPOŁECZEŃSTWA PRZEMAWIAŁA NIEBOSZCZKA PZPR

W KSIĄŻCE

Michała Głowińskiego

NOWOMOWA PO POLSKU

Lektura zapisków Głowińskiego przywołuje nie tylko dawne czasy marcowych nagonek, zadowolenie lat siedemdziesiątych czy obrzydliwości stanu wojennego. Oj, nie. Zupełnie świeżutkie, pachnące jeszcze farbą drukarską artykuliki, telewizyjne nowe twarzyczki... pasując jak ulał do różnych diagnoz zawartych w *Nowomowie*... chichot budzą u bardziej frywolnych, zadumę u sierioznych
(„Tygodnik Literacki")

NAKŁADEM WYDAWNICTWA «PEN»

Polemiki

Przyczynki do biografii Józefa Mackiewicza prośbami i pytaniami do Włodzimierza Boleckiego, autora „Ptasznika z Wilna", przeplatane

Drogi Panie... Opublikował Pan z dawna zapowiadany „przewodnik po życiu i twórczości Józefa Mackiewicza". Książkę tę — niech mi będzie wolno powtórzyć Pańskie słowa — pisał Pan „z przekonaniem, że w dyskusjach o Józefie Mackiewiczu brak jest czasem elementarnej wiedzy o przedmiocie, których [?] dotyczą". Dzielę z Panem to przekonanie, toteż czuję się w obowiązku powiadomić, iż nie opodal Pańskiego miejsca pracy, na Krakowskim Przedmieściu w Archiwum Uniwersytetu Warszawskiego, leży teczka opatrzona sygnaturą RP 10.729. W teczce tej, gdyby zechciał Pan po nią sięgnąć, znalazłby Pan akta studenckie autora *Kontry*, a zapoznanie się z nimi z pewnością dostarczyłoby Panu „elementarnej wiedzy o przedmiocie" Pańskiej książki. Postanowiłem oszczędzić Panu trudów peregrynacji z Pałacu Staszica do UW i ujawnić zawartość wspomnianej teczki. Nim to uczynię, poproszę Pana o chwilę cierpliwości i przypomnę, co też był Pan łaskaw napisać na temat edukacji J. Mackiewicza.

Koniec działań wojennych zastał go prawdopodobnie w Warszawie [...]. Tu więc niedawny kawalerzysta otrzymuje na przyspieszonych kursach maturę [...] po czym zapisuje się na Wydział Filozoficzny Uniwersytetu Warszawskiego. Wkrótce jednak [...] Mackiewicz powrócił do Wilna, gdzie kontynuował studia. Poświęcił się j e d n a k [podkr. moje

— W. L.] naukom matematyczno-przyrodniczym (m. in. ornitologii, którą zajmował się pod kierunkiem prof. Konstantego Janickiego).

W ostatnim z cytowanych zdań podkreśliłem słówko „jednak", jego bowiem zastosowanie w tym miejscu każe mi sądzić, iż podziela Pan przekonanie Marii Zadenckiej, że studia na wydziale filozoficznym oznaczają po prostu studiowanie filozofii. Nic bardziej błędnego; międzywojenne uniwersytety polskie mieściły w ramach wydziałów filozoficznych także sekcje nauk przyrodniczych. Sądzę zresztą, że czytając wnikliwie Mackiewicza nie znalazł Pan w jego pismach śladów akademickiej edukacji filozoficznej? — Przypomnę Panu — „Nie jestem mocny w filozofii" — mawiał Mackiewiczowski bohater, co mogłoby wzmóc Pańską czujność. — Nie wzmogło, wiem nawet z jakiej przyczyny. Po prostu, Drogi Panie, tę część swego wywodu oparł Pan na krakowskiej pracy magisterskiej pióra M. Zadenckiej, z pełnym zaufaniem powtarzając błędy popełnione przez tę autorkę. Miałem kiedyś zaszczyt błędy te prostować, widzę więc, że pracę Zadenckiej potraktował Pan jako nie wymagające weryfikacji źródło. Przyzna Pan chyba, że stwierdzenie, iż praca to „znakomita i kompetentna", nie może zastąpić weryfikacji zawartych w niej sądów? Niestety, bez cienia wątpliwości idzie Pan śladem M. Zadenckiej i umieszcza osobę prof. K. Janickiego w Wilnie, gdzie prof. Janicki nigdy nie pracował. Trudno też byłoby Mackiewiczowi studiować ornitologię pod kierunkiem badacza robaków pasożytniczych, te bowiem zwierzątka zaszczycił Janicki swą naukową pasją. Elementarne wiadomości o prof. Janickim (a pośrednio także o jego uczniu) mógłby Pan zdobyć zapoznając się z kalendarium życia słynnego naukowca (*vide*: L. K. Pawłowski *Konstanty Janicki, wybitny helmintolog polski*, „Acta Universitatis Lodziensis", Folia zoologica et anthropologica nr 3, Łódź 1984, s. 120–130), bądź prościej — zaglądając do encyklopedii.

Pozostaje jeszcze sprawa matury, którą — jak Pan twierdzi — otrzymał Mackiewicz „na przyspieszonych kursach". Chodzi Panu zapewne o „kursy skrócone dla ochotników wojennych", o których rozprawiają, w rozdziale LXXXV, bohaterowie powieści *Lewa wolna*. Zwracam jednak uwagę, że w tym samym rozdziale mówi się także o sposobach załatwienia „lewej" matury i kosztach takiej operacji. Otóż twierdzę, iż Józef Mackiewicz skorzystał z tej drugiej możliwości. Sięgnijmy po akta studenckie. — Naprzód prośba o „zaliczenie w poczet studentów Uniwersytetu Warszawskiego na Wydziale filozoficznym s. przyrodniczej, biologja" (pisownia oryginału), Seria 3, nr 14, datowana 12 września 1921 roku. Na odwrocie spisany na maszynie życiorys. Przytaczam *in extenso*:

Urodziłem się dnia 19 marca 1902 roku starego stylu w Petersburgu, jako syn Antoniego i Marji z Pietraszkiewiczów Mackiewiczów (Boża Wola Jańcza–Mackiewiczów). Od roku

1910 uczęszczałem do gimnazjum klasycznego w Wilnie Winogradowa; w r. 1915 wyjechałem do Moskwy dokąd gimnazjum Winogradowa zostało ewakuowane, w r. 1918 zdałem egzamin maturalny w Moskwie i w Lipcu tegoż roku powróciłem do Wilna, gdzie aż do świąt Bożego Narodzenia pracowałem w gabinecie zoologicznym muzeum T-wa Przyj. Nauk. Dnia 1-ego stycznia r. 1919 wstąpiłem do 10 pułku ułanów skąd na własne życzenie przeniesiony zostałem do 13 pułku majora Dąbrowskiego, w jesieni tegoż roku po zwolnieniu z pułku wstąpiłem do drugiego oddziału ofenzywy dow. frontu i 6 armji w Wilnie, gdzie pracowałem w charakterze kurjera zewnętrznego, aż do wiosny r. 1920. W tym czasie zwolniłem się ostatecznie od służby wojskowej chcąc się poświęcić dalszym studjom, ale wobec inwazji bolszewickiej wstąpiłem powtórnie dn. 12 lipca 1920 r. do partyzantki maj. Dąbrowskiego (później 211 p. ułanów) i przebywszy cały odwrót wojsk naszych jak też ofenzywę, dostałem się [nad linią dopisane piórem: ranny] dn. 5 października w bitwie pod Oranami do niewoli litewskiej — tu zaginęły wszystkie moje dokumenta, wraz ze świadectwem dojrzałości, które miałem przy sobie.
Dn. 23 czerwca 1921 r. przyjechałem do Warszawy i zostałem zaangażowany przez prof. Janickiego do pracy pomocniczej w Narodowym Muzeum Przyrodniczym.

Józef Mackiewicz [podpis czytelny piórem]
Warszawa, dnia 12 września r. 1921.

Do powyższego dołączono „Zaświadczenie Departamentu Oświaty (Wilno), nr 3382 z dnia 7 lutego 1921" potwierdzające ewakuację gimnazjum Winogradowa oraz świadectwo służby wojskowej, które nie zachowało się do naszych czasów. Zwracam uwagę, że zaświadczenie potwierdza ewakuację gimnazjum, nie zaś ucznia — Józefa Mackiewicza. (Nie sądzę zresztą, aby uwierzył Pan w ten zdawany w Moskwie w 1918 roku egzamin maturalny.) W 1915 roku, wkrótce po zajęciu Wilna przez Niemców (5 września), Mackiewicz wstąpił do gimnazjum Stowarzyszenia Nauczycieli i Wychowawców (nie, jak Pan pisze, SNP) — szkoły prowadzonej przez profesorów Kościałkowskiego (dyrektor) i Cywińskiego. Był wtedy w IV klasie (obecnie: siódma szkoły podstawowej), jest przeto prawdą co wspominał po latach, iż na wojnę poszedł jako uczeń VI klasy gimnazjalnej (obecnie: pierwsza klasa szkoły średniej). Nie jest natomiast prawdziwy przebieg zdarzeń zaprezentowany w przytoczonym powyżej dokumencie, jak również mija się z prawdą to, co Pan, Drogi Panie, był łaskaw napisać o służbie wojennej pisarza. O ile nie potrafię zrozumieć lekkości, z jaką Pan na sposób zupełnie dowolny układa przebieg młodości J. Mackiewicza, o tyle rozumiem doskonale postawę pisarza w okresie starań o przyjęcie na uniwersytet. Był po trudach wojennych, czuł się — ze względu na wagę doświadczeń — człowiekiem dojrzałym, nic też dziwnego, że nie miał ochoty powracać do szkolnych realiów, do statusu egzaminowanego uczniaka. Był pewnie świadom nieprawdopodobieństwa bajeczki o maturalnym świadectwie policzonym w skład żołnierskiego ekwipunku, ale wiedział też, że nasycone wzruszeniem zadumanie komisji rekrutacyjnej nad wojenną ofiarą młodzieży może

unicestwić wszelką podejrzliwość. Toteż podbarwił nieco i udramatyzował swoje wojenne losy, a datę bitwy pod Oranami zmienił, ażeby zasugerować ciągłość swego uczestnictwa w całej nieomal kampanii (12 października podpisano pokój prowizoryczny). Rzeczywisty bieg zdarzeń przedstawia się następująco. — W maju 1916 roku Mackiewicz opuścił Wilno i przebywał w Kowieńszczyźnie w majątku Bejnarowo (własność Malińskich), w powiecie poniewieskim. Uczył się z pomocą korepetytora, Tadeusza Rymkiewicza, do Wilna przyjeżdżał zdawać szkolne egzaminy. Ostatnią podróż z Bejnarowa do Wilna, przez zieloną granicę, odbył jako uczeń w końcu 1918 roku, ale tym razem do szkoły nie powrócił. W noc sylwestrową dotarł na Białostocczyznę i 1 stycznia roku 1919 wstąpił do X Pułku Ułanów Litewsko-Białoruskiej Dywizji, formowanego wówczas w Pietkowie koło Łap. Tam przeszedł szkolenie wojskowe, pod znakiem X pułku po raz pierwszy znalazł się w ogniu. Prawdopodobnie w tym czasie był ranny — blizna na głowie, ślad kontuzji, pozostała do końca życia. Po okresie leczenia szpitalnego przeniósł się do XIII Pułku Ułanów, wówczas raczej partyzanckiej, bliższej tradycji pospolitego ruszenia niż regularnego wojska, formacji słynnego „Łupaszki" — rotmistrza Jerzego Dąbrowskiego. Nie nastąpiło to wcześniej niż w czerwcu 1919 roku, do tego bowiem czasu oddziałek Dąbrowskiego pozostawał szwadronem partyzanckim wyłonionym z utworzonej przez braci Dąbrowskich kawalerii samoobrony wileńskiej. Dopiero po słynnych rajdach na Prużany i Brześć Litewski formacja rozrosła się liczebnie, otrzymała jednolitą broń i umundurowanie oraz nazwę „XIII Pułk Ułanów Wileńskich". Do oddziału tego pociągnęła Józefa sława dowódcy, obecność w szeregach brata Stanisława, jak i szczególny, „sienkiewiczowski" charakter działań i koloryt pułku „złożonego z paniczów i rabusiów". Jesienią 1919 r. młodociany ułan powrócił z frontu, przewiózł matkę z Bejnarowa do Wilna i zatrudnił się „przy formacjach wojskowych" w charakterze kuriera zewnętrznego. Większych wypraw kurierskich nie odbywał, praca sprowadzała się raczej do pobierania żołdu w zamian za pozostawanie w dyspozycji II oddziału dowództwa frontu. Do służby w XIII pułku powrócił — tak jak napisał w życiorysie — 12 VII 1920 roku. Pułk osłaniał odwrót wojsk polskich z Wilna, stąd 15 lipca 1920 r. Józef Mackiewicz był jednym z ostatnich opuszczających Wilno polskich żołnierzy.

Bajką jest jednak, Drogi Panie, co napisał Pan w *Ptaszniku...* (s. 21), jakoby wtedy XIII pułk został zaatakowany przez oddział litewski! W nocy z 17 na 18 lipca pułk dotarł do stacji Orany (na linii kolejowej Grodno–Wilno), trzymanej przez pułk huzarów litewskich. W myśl umowy zawartej przez dowódców Litwini jako żołnierze wojsk neutral-

nych wystawili warty, Polacy zaś weszli do Oran jedynie na krótki odpoczynek. Bolszewików nie zaambarasowała litewska neutralność; z zaskoczenia zaatakowali stację i rozproszyli oddziały polski i litewski. W ogólnym rozgardiaszu nagłego odwrotu Mackiewicz zagubił swój pułk, czas jakiś błąkał się samopas, aż został zagarnięty przez litewski patrol. Jeniec powołał się na Jerzego Matułajtisa, rotmistrza w wojsku litewskim, kuzyna z litewskiej gałęzi rodziny. Szczęśliwym trafem pułk Matułajtisa stacjonował w okolicy (pod Olkienikami) i można było natychmiast dokonać konfrontacji. Za poręczeniem Matułajtisa odesłano nieszczęsnego ułana do więzienia w Wilnie, gdzie niepewny swego losu czekał na dalsze decyzje władz. Pod koniec sierpnia wieść o zdarzeniu dotarła do najbliższych i matka Józefa, Maria Mackiewiczowa, wyprosiła ponowne poręczenie, tym razem u ojca Jerzego, Wincentego Matułajtisa, członka litewskiego rządu. (W. Matułajtis–Matulewicz był szwagrem Antoniego Mackiewicza.) Za poręką wuja zwolniono Józefa z więzienia. W domu przebywał do 10 października, kiedy to — już po „buncie" Żeligowskiego — ponownie wstąpił do pułku Dąbrowszczaków, który wkroczył wtedy do Wilna. Nie wiadomo, jak długo jeszcze pozostawał Mackiewicz w wojsku (przypominam: 12 października zawarto rozejm), pewne jest tylko, że już 7 lutego 1921 odbierał w Wilnie zaświadczenie Departamentu Oświaty. Ponieważ z oczywistych względów nie mógłby uniknąć zdawania matury w Wilnie, 23 czerwca przybył do Warszawy i zamieszkał przy ul. Zgoda 1 m. 15, w pensjonacie ciotki, Anny Brykczyńskiej. W aktach studenckich znajduje się orzeczenie komisji immatrykulacyjnej — „przyjęty na przyrodę". W ciągu dwóch semestrów w Warszawie słuchał wykładów profesorów Janickiego (zoologia ogólna), Wóycickiego (botanika), Tura (anatomia i embriologia porównawcza), Witwickiego (psychologia) i innych. Był także uczestnikiem ćwiczeń zoologicznych prowadzonych przez K. Janickiego. Po upływie letniego semestru roku akademickiego 1921/22 przeniósł się do Wilna, gdzie nie „poświęcił się m. in. ornitologii", ale po prostu — ornitologię studiował.

Powie Pan, Drogi Panie, że to są drobiazgi, mało istotne szczegóły, że wystarczy — jak Pan to uczynił — skwitować rzecz stwierdzeniem: „Przez dwa lata służył w 13 Pułku Ułanów". Powie Pan, iż nie jest ważne, stawał czy też nie stawał przed maturalną komisją, jako też ważne nie jest, gdzie i pod czyim kierunkiem studiował. Być może nie jest to wiedza niezbędna nawet dla piszącego „przewodnik po życiu i twórczości", ale ja bym, Drogi Panie, z przewodnikiem pozbawionym tej wiedzy nikomu na szlak wychodzić nie radził, bo strach — łatwo można zabłądzić. Sens i potrzeba odkrywania i zbierania szczegółów biograficznych zawiera się — jak sądzę — w pracowitym zestawianiu

drobiazgów, one to bowiem składają się na konstrukcję, której obserwacja pozwoli czytelnikowi wywnioskować wizerunek osobowości pisarza. Epizod maturalny na przykład może wiele o osobowości autora *Karierowicza* powiedzieć. Bo nie z cynicznych pobudek, nie z chęci wyłudzenia zapłaty za wojenne trudy wzięły się fałszerstwa w życiorysie Józefa Mackiewicza. Wojna spowodowała gwałtowną zmianę psychiki przyszłego pisarza, zamknęła drogę powrotną do młodzieńczej mentalności, wyznaczyła kierunek zainteresowań i przyszłą, bardzo osobną, postawę. Siostra pisarza, Seweryna Orłosiowa, tak opisała ówczesny stan psychiczny J. Mackiewicza:

Józio był za młody na to wszystko, co przeżył i przeszedł. Był zgorzkniały, zmęczony, pełen pesymizmu. [...] Przeszedł przez wielką poniewierkę życiową i nie odczuwał żadnej radości ani dumy bojowej.

Dla biografisty zafałszowany życiorys Mackiewicza powinien stać się ostrzeżeniem przed możliwą obecnością pewnej „literackiej nadbudowy" we wszelkich wspomnieniowych wypowiedziach pisarza, którym nie można ufać bezgranicznie, jak to Pan często czyni. Gdy na przykład pisze Pan o prawdopodobnym przejściu Mackiewicza na prawosławie, dostrzega Pan w tym wyłącznie — jak podobno przedstawiał to sam pisarz — gest patetyczny, „znak protestu przeciwko polityce polskiej na Kresach" (s. 23). Zmiana wyznania nie jest pewna (warto przypomnieć, że o przejście na prawosławie posądzono także, niesłusznie, Stanisława Mackiewicza, z powodu jego wystąpień w obronie liturgiki prawosławnej przeciwko ministerialnym „reformom"), gdyby jednak miała miejsce, miałaby także swój wymiar niepatetyczny, „użytkowy". Zgodnie z ówczesną procedurą Mackiewicz musiałby zmienić wyznanie, aby rozejść się z Antoniną z Kopańskich i poślubić Barbarę Toporską. Gest patetyczny zawierałby się tu jedynie w wyborze cerkwi prawosławnej miast wileńskiego zboru ewangelicko-reformowanego, gdzie operacje tego rodzaju przeprowadzano najsprawniej (stąd powiedzenie: „jeździć jak do Wilna po rozwód", w znaczeniu: „jeździć z pewnością załatwienia sprawy"). Panu jednak, Drogi Panie, najbardziej odpowiada Mackiewicz w wersji patetycznej, co od biedy można by znieść, a także w wersji patriotycznej, czego już znieść nie można. O ile bowiem podzielam Pańskie przekonanie, że był Mackiewicz lojalnym obywatelem II Rzeczypospolitej (nigdy nie działał na szkodę państwa, nie podejmował się czynów osłabiających prestiż czy obronność II RP), o tyle nie mogę przyjąć Pańskiej wizji Mackiewicza — polskiego patrioty, bo jest to po prostu wizja zakłamana, skrywająca przed czytelnikiem Pańskiej książki „klucz do Mackiewicza". — Jakim to prawem fałszuje Pan beztrosko „ideę krajową", czyniąc z niej (na s. 39–40) odmianę współczesnej nam

idei „Europy bez granic"? Pańska interpretacja ma się zresztą nijak do przytaczanych w książce fragmentów wypowiedzi „krajowców". Pozwoli Pan, że Mu przypomnę jeszcze jedną wypowiedź nie „krajowca" wprawdzie, ale też znawcy spraw wileńskich pierwszorzędnego:

Była to ideologia [„idea krajowa"] dążąca do utworzenia z ziem byłego Wielkiego Księstwa Litewskiego, a więc z Litwy po Bałtyk, z Białej Rusi po Smoleńsk państwa samoistnego, związanego z Polską

— pisał Stanisław Cat–Mackiewicz w nekrologu Ludwika Abramowicza. Nie oznacza to przecież tylko tego, że J. Mackiewicz występował przeciwko nacjonalizmom i marzył, jak Pan pisze, o „kraju bez granic". Nie! — Józef Mackiewicz marzył o restytucji Wielkiego Księstwa Litewskiego ze stolicą w Wilnie, o wielonarodowym państwie w historycznych granicach. Tego właśnie historycznego, prawie już legendarnego państwa był patriotą, tym różnił się w zapatrywaniach politycznych od swego brata — patrioty polskiego, a różnicy tej nie mogły przekreślić ani więzy rodzinne, ani wspólny braciom „wrodzony" konserwatyzm. Próbując pogodzić J. Mackiewicza z polskim patriotyzmem poprzez przypisywanie pisarzowi wyznawstwa jakiejś utopii „kraju bez granic" oddala Pan czytelników swej książki od zrozumienia postawy autora *Drogi donikąd*. O patriotyzmie Mackiewicza, o jego przywiązaniu do Wielkiego Księstwa pisał kilkakrotnie Czesław Miłosz, co Pan zdaje się omijać tendencyjnie okrawając cytaty. Chyba rozumiem Pańską intencję; chciał Pan postawę pisarza zaserwować w potrawce lekkostrawnej, bliższej gustom przeciętnego Polaka. Zabiegi takie nie są jednak ani uczciwe, ani potrzebne i nie należy ich, nawet „w obronie pisarza", dokonywać. Powtarzam: Mackiewiczowski sentyment dla historycznego kraju w niczym nie podważał jego obywatelskiej lojalności względem II RP — pozostał sentymentem właśnie, czynnikiem kształtującym sposób myślenia, nigdy jednak nie stał się podbudową wrogich Polsce działań.

W związku z tym, że *Ptasznik z Wilna* jest po części antologią publicystyki J. Mackiewicza, mam też do Pana prośbę zasadniczej dość natury. Otóż proszę, na wypadek, gdyby zapragnął Pan ponownie być edytorem tekstów autora *Kontry*, aby Pan zechciał wypełniać wszystkie powinności z zasad edytorstwa wynikające. Jeżeli na przykład przedrukowuje się artykuł pt. *Nudis verbis*, to jest obowiązkiem edytora ustosunkować się do występującej tam błędnej formy nazwiska Aleksandra St. Reszczyńskiego, komendanta Policji Polskiej m. Warszawy, (w tekście: „Leszczyński"). Nie wiem, nie mam teraz możliwości sprawdzenia, czy jest to błąd drukarski „Archipelagu" (nr 3 z 1985 r.), czy też błędna forma znajduje się także w pierwodruku („Lwów i Wilno", nr 53 i 56). Jest

bardzo prawdopodobne, że w 1948 roku Mackiewicz nie znał jeszcze właściwego brzmienia nazwiska komendanta PP w okupowanej Warszawie. W roku 1979 używał już formy poprawnej (we wspomnieniu *Przed dwudziestu pięciu laty zmarł Władysław Studnicki*). Jakkolwiek byłoby — jest Pańskim obowiązkiem albo błąd drukarski poprawić, albo — jeśli to błąd autora — dołączyć odpowiedni przypis. Brak takich działań nie tylko źle świadczy o rzetelności Pańskiej pracy, ma także znaczenie moralne. — Komendant Reszczyński, człowiek prawy, współpracownik AK, niewinna ofiara mordu dokonanego przez „Specgrupę" GL, zasługuje na pamięć i tzw. dobre imię, nie mówiąc o tym, że zasługuje na w ł a s n e imię i nazwisko. Rzecz to ważna, zwłaszcza gdy wziąć pod uwagę, że po wojnie w kraju nie można było ze względów cenzuralnych podważyć słuszności wyroku GL, a kombatanci AK na emigracji nie wiedzieć czemu zwlekali aż do roku 1977 z powołaniem komisji, która potwierdziła, iż Reszczyński „był współpracownikiem władz Polski Podziemnej i oddawał wywiadowi obronnemu AK cenne usługi". Inna sprawa, że jeśli Pan nie sprostował był błędu, powinna zrobić to korektorka książki, zarazem autorka indeksu osób. Czegóż jednak wymagać od kobiety, która dopuszcza do druku zdania typu: „Na temat związków literatury i prawdy [...] Mackiewicz wracał przy różnych okazjach" (s. 324), pozwala zamiast o zglajchszaltowanym pisać o „zglajszaltowanym społeczeństwie" (s. 431), a z tytułu czasopisma „Lwów i Wilno" zrobić wdzięczny tytulik „Lwów i Wilanów" (s. 201)? — Oczywiście, w indeksie osób przeczytamy „Leszczyński, komendant policji", cały zresztą indeks zestawiony został ze wzruszającą frywolnością. Fałszywie podaje się tu numery stron (typowe są przesunięcia o jedną stronę), brak też nazwisk osób, o których mówi się w książce (np. Odolskiej). Trudno doprawdy uwierzyć, że dorośli ludzie, którzy własnymi nazwiskami firmują tak wydaną książkę, traktują poważnie swoją pracę. Chciałbym mimo wszystko wiarę taką w sobie podtrzymać, dlatego załączam informację, iż biogram A. St. Reszczyńskiego notuje *Polski Słownik Biograficzny*, tom XXXI/1, z. 128. Na marginesie: w Pańskiej książce *Wyrok na Józefa Mackiewicza*, której treść *Ptasznik z Wilna* wiernie powtarza, nie sprostowano wprawdzie „Leszczyńskiego", ale atrakcje w rodzaju „Lwowa i Wilanowa" nie pojawiają się — dzięki i za to!

Nim ukazały się obie książki, w czasopismach publikował Pan obszerne ich fragmenty. Do jednego z nich (ogłoszonego w „Pulsie" i „Arce") dołączył Pan list rozpoczynający się zdaniem: „Już po przekazaniu tego tekstu do redakcji [...] dowiedziałem się od Przyjaciela o istnieniu jeszcze jednego artykułu opublikowanego w «Gońcu Codziennym» (nr 16 z 10 sierpnia 1941)." Chodzi oczywiście o artykuł *To dopiero byłaby klęska...*,

który przedrukowuje Pan w obu książkach w przekonaniu, iż jego autorem jest Józef Mackiewicz. (Tekst ten rzeczywiście sygnowano J. M.) Chciałbym jednak prosić, aby w postępowaniu badawczym przyjmował Pan z ograniczonym zaufaniem twierdzenia osób postronnych, nawet gdy osoby te zalicza Pan do grona Przyjaciół. Znajomość języka i stylu Józefa Mackiewicza skłania bowiem do podejrzeń, że ten „wstępniak" nie mógł wyjść spod jego pióra. Już nie to nawet, że zdanie „Anglia, gdyby się nawet w przyszłości wzmocniła..." u Mackiewicza miałoby inny szyk („Anglia, gdyby nawet w przyszłości wzmocniła się..."), nie to, że używa się tu sformułowań takich jak „społeczny kościec" czy „tłumna kontragresja", co budzi nieufność, lecz stosowane tu pojęcia z gruntu obce umysłowości J. Mackiewicza wykluczają, sądzę, jego autorstwo. Bo czyż ten najzagorzalszy chyba w polskim piśmiennictwie antynacjonalista, propagator hasła „człowiek idzie przed narodem", mógłby pisać o ludziach „objętych wspólnymi cechami narodowymi", o „spójni narodowej", wreszcie o „oddziaływaniu bolszewizmu na wartości narodowe"? — Wydaje mi się niemożliwe, jak i niemożliwe jest, by Mackiewicz — przyrodnik wykształcony — zachęcał kogoś do szukania w mózgu Lenina „bakterii komunizmu", bakterii w sensie dosłownym! — Owszem, mówił zawsze o „zarazie bolszewickiej", tak jak mawiał o niej za młodu W. Churchill, nigdy przecież nie kazałby szukać realnego drobnoustroju, prawdziwego wirusa, który tę zarazę rozpowszechnia. Poza tym polszczyzna! U Mackiewicza zawsze jędrna, barwna, z lokalnymi domieszkami, wirująca w niespodziewanych zawrotach — tutaj żałośnie poprawna, urzędniczo sucha, zasklepiona w ciasnych ramach propagandowej retoryki. Czy możliwe, aby na jedną chwilę, na przestrzeń jednego tylko artykułu Mackiewicz całkowicie odmienił swoją umysłowość i język? — Mnie się wydaje to rzeczą niemożliwą, a rzecz to ważna; przecież jest to jedyny tekst z „Gońca", którego pisarz nigdy po wojnie nie powtórzył (pozostałe powtarzał w nie zmienionej wersji, tekst o Prowieniszkach rozbudował). Jest to też, co ważniejsze, redakcyjny „wstępniak", a przecież ludziom spoza zespołu pisania artykułów przedstawiających stanowisko redakcji raczej się nie powierza. Śmiem twierdzić, Drogi Panie, że za radą Przyjaciela poszedł Pan zbyt pochopnie, z ogromną szkodą dla pamięci pisarza. Uważam, że w tym wypadku ktoś z redakcji „Gońca Codziennego" posłużył się inicjałami J. M. jako jednorazowym kryptonimem. Być może unikał w ten sposób odpowiedzialności, być też może — chciał zasugerować, że znany dziennikarz jest w „gadzinówce" zatrudniony, aby taka sugestia ośmieliła innych... — To oczywiście tylko przypuszczenia, czy jednak przypuszczeniom tym może Pan przeciwstawić pewność? Nie sądzę, zwłaszcza że przypisanie Mackiewiczowi autorstwa

artykułu redakcyjnego w niemieckiej „gadzinówce" jest — sprzecznym z Pańskimi intencjami — wyrazem solidarności z oskarżycielami pisarza. Ciekawi mnie niepomiernie, Drogi Panie, dlaczego wyliczając skrupulatnie oskarżenia pod adresem autora *Kontry* wypowiadane ani słowem nie wspomniał Pan o — moim zdaniem najpoważniejszym — oskarżeniu sformułowanym przez Jana Kowalika? Czy ma Pan tu jakiś cel ukryty, czy po prostu nie zna Pan sprawy? — Nazwałem to oskarżenie najpoważniejszym, ponieważ ma ono pozór naukowego obiektywizmu. Zdążyło już zresztą wejść w tzw. obieg naukowy dzięki pracy M. Zadenckiej (notabene dysertacji, z której Pan korzystał; czyżby po wykorzystaniu porzucił ją Pan nie doczytawszy do końca?). — Pozwoli Pan, że przypomnę, jak wygląda poz. 3726 w t. IV *Bibliografii czasopism polskich wydawanych poza granicami kraju od września 1939 r.* (KUL, Lublin 1976):

„Goniec Codzienny" (Published by Czesław Ancerewicz and (later) Józef Mackiewicz). Vilnius, Lithuania. Ag 21, Daily. Editor: Czesław Ancerewicz (1941 — Mr 1943) 2. Józef Mackiewicz (Mr 1943—1944) (SOURCE: Letter from J. Mackiewicz).

Zwraca uwagę szczególny „awans" J. Mackiewicza. Oto miałoby się okazać, że był redaktorem i wydawcą „gadzinówki", do czego rzekomo przyznał się raz jeden w życiu — w liście do Kowalika! Interesujące jest, że w tym samym liście od Mackiewicza czytanym w latach sześćdziesiątych Jan Kowalik informacji o „Gońcu Codziennym" nie znalazł, czego dowodem ich brak w poświęconym czasopiśmiennictwu rozdziale drugiego tomu *Literatury polskiej na obczyźnie*. Na żądanie B. Toporskiej, by list ujawnił, Kowalik odparł, iż w natłoku różnych papierów tę właśnie epistołę zagubił. — Nie wiem, czy ma Pan podobne wrażenie, ale mnie odpowiedź bibliografa przypomina postępowanie Romana Koraba-Żebryka, który uparcie twierdzi, iż czytał jakąś „hitlerowską" książkę okupacyjną Mackiewicza, nigdy jednak owej „bibliograficznej rzadkości" nie ujawnił. Dwie są tu możliwości: albo J. Kowalik nie chce przyznać się do nierzetelności, do brania danych z powietrza, albo przyznaje się do czynu podłego. Którakolwiek byłaby prawdziwa, warto by piszący o „wyroku na Józefa Mackiewicza" znał sprawę.

Pisze Pan, Drogi Panie, że „osobiste idiosynkrazje nia są przedmiotem Pańskich zainteresowań", wyznaje Pan, że nie lubi „plotek, pogłosek, informacji nie sprawdzonych", a wszystko po to, by upierać się przy twierdzeniu, iż przyczyn ataków na Mackiewicza należy szukać wyłącznie w jego publicystyce czasu wojny. Rozumiem Pański wstręt do plotek, ale czy jest plotką tylko wieść o ośmieszaniu przez Mackiewicza wielu późniejszych oskarżycieli w *Wileńskiej powieści kryminalnej*; czy można między bajki włożyć dwukrotną sprawę honorową, którą miał pisarz

z Morelowskim (w czasie wojny członkiem redakcji szkalującej Mackiewicza podziemnej „Niepodległości")? Wreszcie czy z plotek jedynie można dowiedzieć się o wystąpieniach Cata przeciwko Wandzie Pełczyńskiej, gorliwemu świadkowi obrony „lewicy akademickiej" w słynnym procesie wileńskim? A przecież w tym wypadku Józef solidaryzował się ze stanowiskiem brata i to on, nie Stanisław, przebywając stale w Wilnie stanowił dogodny cel, był potencjalną ofiarą odwetu. „Osobistych idiosynkrazji" nie można *en bloc* ze „sprawy Mackiewicza" wykluczyć, a jeśli ma się do czynienia z „informacją nie sprawdzoną", należy sprawdzić ją, zweryfikować. Jest to oczywiście przykre dla autora, opóźnia przecież moment ogłoszenia pracy, ale cóż robić: taki fach!
Obawiam się, Drogi Panie, że cały mój wywód nazwie Pan „niepotrzebną złośliwością", tak jak nazwał Pan fachową uwagę J. Mackiewicza dotyczącą nieprawdopodobieństwa jednej ze scen *Innego świata* G. Herlinga-Grudzińskiego. Mam wrażenie, że Mackiewicz miał rację wytykając Herlingowi podanie impresji dręczonego przez głód i obawy człowieka w funkcji zdarzenia rzeczywistego, bo taki błąd pisarski może być wykorzystany jako pretekst do podważenia wiarygodności całej relacji. Rozumiem, że Mackiewiczowi szczególnie zależało na tym, aby wiarygodność tej właśnie relacji nie była podważana. Wyznam też Panu, że mnie również — *toutes proportions gardees* — zależało na wiarygodności Pańskiej książki, tym bardziej że praca ta miała ukazać mechanizm bezprzykładnego w najnowszych dziejach Polski szkalowania, niszczenia człowieka wybitnego przez gromadę, która przywłaszcza sobie prawo sprawowania niemal Sądu Bożego, uzasadniając to tzw. wyższymi racjami. Przykre to, że mimo szlachetnych intencji podszedł Pan do tej pracy z lekkością, która bardziej jeszcze zadziwia, gdy uświadomić sobie, że książkę swą adresował Pan do szerokiej czytelniczej publiczności. A przecież — wstyd to przypominać — książkę popularyzatorską winno się pisać ze szczególną rzetelnością i odpowiedzialnością. Pan natomiast czasem zachowuje się jak autor powieści sensacyjnej osnutej na „życiowych" motywach. Gdy na przykład pisze Pan o portrecie sióstr Pietraszkiewiczówien pędzla St. Wyspiańskiego, jako pewną podaje Pan legendę o spaleniu płótna przez samego artystę, ani się Pan nie zająknie o równoprawnej wersji Cata, według którego portret miał spłonąć w Powstaniu Warszawskim wraz z mieszkaniem siostry pisarza. Wybiera Pan po prostu wątek bardziej ekscytujący, nie dbając, czy jest to „informacja sprawdzona".
Przykro mi pisać te słowa, zwłaszcza że znam i cenię Pańskie poprzednie, innym pisarzom poświęcone prace. Pozostaje więc tylko poinformować Pana, że uwagom moim nie nadałem formy recenzji, nie chcąc pozbawić Pana prawa repliki. Brat Józefa Mackiewicza wielekroć powtarzał, że

nie wypada polemizować z recenzjami, „tak jak się nie polemizuje z wyrokami sądów lub cenzurami w szkole". Chciałem przeto, Drogi Panie, uwolnić Pana od ograniczeń wynikających z tej, słusznej moim zdaniem, zasady.
Na zakończenie proszę o przyjęcie jednej jeszcze, drobnej uwagi. — Nie można pisać, że J. Mackiewicz pochodził „z rodziny szlacheckiej z Jańcza herbu Boża Wola", gdyż owo „Jańcza" nie jest nazwą miejscową, lecz rodowym przydomkiem. Można zaś mówić, że pisarz wywodził się z „Jańcza Mackiewiczów Herbu Boża Wola" (tak w księgach szlacheckich) lub „z Boża Wola Jańcza–Mackiewiczów", jak pisał Józef. Biografowi nie wypada stosować zapisu sugerującego, że przydomek (mający podobno wskazywać na tatarską genezę rodu) jest nazwą rodowego gniazda. Ciekawe, że ten sam błąd popełnił Jerzy Jaruzelski pisząc o Stanisławie Mackiewiczu. — Nie mają Jańcza–Mackiewiczowie szczęścia do biografów. Niestety. — Zechce Drogi Pan... etc.

Wacław Lewandowski

Odpowiedź

Szanowny Panie! W zakończeniu Pańskiego listu znajduję informację, że list ten nie ma formy r e c e n z j i, ponieważ nie chciał mnie Pan pozbawiać prawa repliki. Inaczej mówiąc: napisał Pan recenzję z *Ptasznika z Wilna* i tylko chęć przeczytania mojej odpowiedzi podyktowała Panu formę listu otwartego. Jestem innego zdania. Nie napisał Pan recenzji, ponieważ co najmniej połowa Pańskiego listu to jedynie rozbudowany przypis do czterech zdań z mojej książki (s. 21). Jest w nim ponadto jeszcze kilka uwag korektorskich oraz kilka sugestii: interpretacyjnych i edytorskich. Resztę Pana listu stanowi emfatyczny komentarz pełen rozmaitych złośliwości, a niekiedy po prostu impertynencji. Mój kłopot polega teraz na tym, że publiczną odpowiedź na 95% poruszonych przez Pana kwestii uważam za stratę miejsca i czasu. Jaki bowiem pożytek będą mieli Czytelnicy z naszej wymiany zdań, jeśli całą moją odpowiedź jestem teraz zmuszony poświęcić na dowodzenie, że: (1) manipuluje Pan moim tekstem tak nieprzyzwoicie, że zniechęca to do wdawania się z Panem w jakąkolwiek wymianę zdań, (2) że czyta Pan moją książkę bez zrozumienia (a przecież nie jest to tekst trudny), za to z maksymalnie złą wolą oraz (3) że awanturuje się Pan o pominięcie w *Ptaszniku* spraw, które jednak zostały przeze mnie poruszone i że

(4) — *last not least* — w pozostałych przypadkach stwarza Pan swoim wielosłownym i pełnym egzageracji komentarzem po prostu problemy pozorne. Powiem od razu: znakomitą większość Pańskich uwag zamknąłbym w kilku zdaniach zwyczajnej erraty (np. „jest X", „winno być Y") albo sugestiach typu: „na stronie numer *n* może by warto dodać, że...". Otóż żadna z Pańskich uwag ani wszystkie one razem nie wystarczają, by traktować Pana list jako recenzję. Recenzent — tak mi się przynajmniej zdaje — powinien nie tylko książkę przeczytać, ale jeszcze ją (chcieć) zrozumieć, no i, bagatela, o treści książki, jak i o swoim jej rozumieniu umieć poinformować czytelnika. Tymczasem Pan jako recenzent przypomina mi owego mężczyznę, którego zapytano, co widział na wystawie X-a w muzeum. — „Na parterze ktoś urwał plakat, na pierwszym piętrze pali się za słabe światło, a na drugim piętrze był przeciąg." — „No dobrze, ale o co chodzi na tej wystawie?!" „No, tam chodzi dużo ludzi, a niektórzy bez przerwy się zatrzymują." Tyle samo jest recenzji w Pana liście.

Skoro recenzji Pan nie napisał, to co Pan właściwie napisał? Mógł to być „zwykły" list — jeden z wielu, jakie otrzymałem na temat *Ptasznika* — ponieważ w warstwie informacyjnej Pański list niewiele się od nich różni. Różnice zaczynają się — mówiąc delikatnie — od „tonu" i pod tym względem Pana list jest rzeczywiście wyjątkowy: *c'est le ton qui fait la chanson*. Krótko mówiąc: nie napisał Pan recenzji, ponieważ postanowił Pan dorównać Józefowi Mackiewiczowi, czyli jeszcze raz i na dodatek jeszcze lepiej napisać jego najsłynniejszy list literacki *Droga Pani...* To z tego listu wziął Pan te trzy „dziwne" kropki „w tytule" i Mackiewiczowskie zakończenie „Zechce Droga Pani itd.". Szkoda jednak, że nie potrafił Pan „wziąć" tego, co w tamtym liście najważniejsze, a mianowicie Mackiewiczowskiej umiejętności odróżniania spraw błahych od zasadniczych, czyli wyczucia hierarchii zagadnień, które stają się przedmiotem dyskusji. Oraz — drobiazg — lojalności w polemice.

Pisze Pan, że opublikowałem „z dawna zapowiadany «przewodnik po życiu i twórczości J. M.»". Ale ja nigdy i nigdzie nie zapowiadałem „przewodnika" (jako gatunkowej formy książki!), tylko rzecz eseistyczną pt. *Ptasznik z Wilna*. Równocześnie wmawia Pan przez cały czas Czytelnikowi (a może i sobie), że jestem „biografem" i że *Ptasznik z Wilna* to jakby kronika biograficzna Mackiewicza (co oczywiście zmienia perspektywę lektury). Tymczasem w książce, która ma ponad pięćset stron, jest zaledwie pięć stron typowej narracji biograficznej! A przecież sama narracja o faktach biograficznych nie czyni jeszcze narratora biografem, albowiem jest jedną z wielu możliwych narracji, jakimi posługuje się eseista. Polecam Panu myśli E. C. Bethleya:

Dyscypliny zwanej Biografią
Nie myl z Biologią ani Geografią
Biologia i Geografia dotyczą Mikrobów i Globów;
Biografia dotyczy Osobów
[przełożył S. Barańczak]

Cytuje Pan moją uwagę, że w dyskusjach o J. M. brak było dotąd „elementarnej wiedzy o przedmiocie, którego dotyczą". Następnie, w celu uzupełnienia tej „elementarnej wiedzy", podaje Pan — szczegółowsze od moich — informacje o gimnazjum, maturze i udziale Józefa Mackiewicza w wojnie polsko-bolszewickiej 1920 roku. Wynika więc z tego, że — Pańskim zdaniem — dotychczasowe, trwające już pół wieku dyskusje o Józefie Mackiewiczu dotyczyły następującej kwestii: kiedy mianowicie i w jakim pułku służył przyszły pisarz i czy zdał maturę?! A przecież ja piszę wyraźnie, że chodzi o trwającą już przeszło pół wieku tzw. sprawę Józefa Mackiewicza.
Powiada Pan, że sporządziłem „zafałszowany życiorys" Mackiewicza i jako przykład cytuje Pan moją informację: „Podobno jeszcze przed wojną przeszedł na prawosławie na znak protestu przeciw polityce polskiej na kresach" (s. 25). Następnie pisze Pan — bardzo trafnie — że prawdziwym powodem tej decyzji mógł być ślub pisarza z Barbarą Toporską. Zamiast jednak uzupełnić podaną przeze mnie informację, rozpoczyna Pan „polemikę", która w całości oparta jest na manipulacji moim tekstem. Mianowicie: nie informuje Pan Czytelnika, że informacja podana w mojej książce opatrzona jest przypisem!!! Oto jego treść:

Znając Mackiewicza z dawniejszych lat przypomniałem sobie, jak mi opowiadał kiedyś — było to chyba w II Korpusie w Rzymie — że on na znak protestu przeciwko naszej polityce na kresach w ostatnich latach przed wojną przyjął prawosławie. Jestem do dziś prawosławny, powiedział mi [Stefan Benedykt w: *W obronie prawdy historycznej. Glosy i opinie o książce „Lewa wolna"*, Londyn 1966, s. 27].

Czyli ja tu nic nie zmyślam, nie fantazjuję, nic nie fałszuję, co najbardziej lubi mi Pan zarzucać, lecz po prostu przytaczam cudze wypowiedzi zawierające informacje (a niekiedy dezinformacje — *vide* „sprawa Mackiewicza") o życiu pisarza. Dla poetyki książki to chyba rzecz istotna, prawda?
Jeden z pomysłów napisania tej książki polegał właśnie na tym, żeby zapisać to, co o Józefie Mackiewiczu wiadomo — choćby informacje o nim były ulotne i niepełne. Niczego więc w tej książce nie zamykam, wszystko natomiast otwieram.
Kiedy pisałem *Ptasznika*, na temat prawosławnego ślubu Barbary Toporskiej z Józefem Mackiewiczem otrzymywałem bardzo niejasne i niechętnie udzielane informacje, więc ich nie powtarzałem. A z oświadczeniem Benedykta — które przytaczam — nie polemizował przecież

nawet najbardziej zainteresowany, czyli Józef Mackiewicz... Dziś istnieje na ten temat obszerny artykuł Zdzisława Antoniego Siemaszki, więc sprawa jest poza dyskusją.

Powiada Pan, że „tendencyjnie okrawam cytaty" z artykułu Czesława Miłosza po to, żeby zafałszować ideę krajową, tymczasem ten właśnie artykuł Miłosza jest chyba najczęściej cytowany w mojej książce. Ponadto na temat idei krajowej i krajowości Mackiewicza zamieszczam wiele cytatów z artykułów samego Mackiewicza i innych autorów oraz, bagatela, duży blok tekstów w *Aneksie*. I to ma być „tendencyjność"?! Zarzucając mi sporządzenie z J. M. „potrawki bliskiej gustom przeciętnego Polaka", nie zauważa Pan też — co oczywiście jest wyjątkowym osiągnięciem w sztuce czytania — że cały, ponad pięćsetstronicowy *Ptasznik z Wilna* poświęcony jest Mackiewiczowskiej walce ze stereotypami polskości i brutalnemu targaniu przez pisarza „narodowych świętości".

Zarzuca mi Pan, że moim zdaniem „przyczyn ataków na Mackiewicza należy szukać wyłącznie w jego publicystyce czasu wojny", podczas gdy — oznajmia Pan — istniały także przyczyny personalne. Proszę Pana: to jest właśnie moja teza, którą dokumentuję w rozmaitych miejscach na kilkuset stronach *Wyroku* i *Ptasznika*!!! Równie dobrze mógłby mi Pan zarzucić, że w *Ptaszniku z Wilna* ani razu nie używam nazwiska Józef Mackiewicz...

Tę zupełnie kuriozalną polemikę wieńczy Pan pytaniem, dlaczego w zapleczu personalnych wojen z Mackiewiczami nie dostrzegam tzw. procesu wileńskiej Lewicy Akademickiej? Dostrzegam, proszę Pana, dostrzegam — poświęcam tej sprawie dwustronicowy przypis (nr 88, s. 483–484), a o tzw. wileńskiej Lewicy Akademickiej wspominam jeszcze na s. 37 oraz przy okazji osoby Henryka Dembińskiego.

Przechodzę teraz do błędów, które — Pana zdaniem — deprecjonują moją książkę. Dla uzyskania efektu polemicznego do jednego worka wrzuca Pan rzeczy niewspółmierne: przypadkową literówkę, zniekształcone zdanie — jego fragment „pożarł", niestety, podczas składu książki komputer — oraz Pańskie własne uzupełnienia, przypuszczenia i kategoryczne zalecenia (które nazywa Pan wdzięcznie „prośbami") oraz dwa drobne błędy rzeczowe. Zdziwi się Pan zapewne, co o tym sądzę: napisał Pan osiemnastostronicowy list nasycony mnóstwem złośliwości z powodu... dwóch drobnych błędów merytorycznych. Rzeczywiście, ma Pan rację: na s. 19 winno być „z Jańcza Mackiewiczów herbu Boża Wola" (informację podaję za książką Jerzego Jaruzelskiego o Stanisławie Mackiewiczu), a profesor Janicki pracował nie w Wilnie (s. 21), lecz w Warszawie (źródłem tej informacji być może była praca Marii Zadenckiej, ale może ja sam popełniłem tu błąd). I to wszystko.

A oto co myślę o pozostałych poruszonych przez Pana kwestiach, uznawanych przez Pana za horrendalne fałszerstwa. Z faktu, że losom Mackiewicza w latach 1919–1920 poświęcam jeden akapit, a nie osiem stron — jak Pan to zrobił — wyciąga Pan wniosek o „zafałszowanym życiorysie" Mackiewicza w mojej książce. Pan naprawdę nie rozumie epitetów, którymi Pan tak hojnie mnie obdarza. Stosując Pańską logikę trzeba by powiedzieć, że zdanie „W roku 1825 Adam Mickiewicz spędził kilka miesięcy na Krymie" jest zafałszowaniem życiorysu poety, ponieważ ilość szczegółów, jakie złożyły się na ten pobyt, godna jest osobnej książki. Co gorsza, nie potrafi Pan uzasadnić, dlaczego akurat te dwa lata z życia Józefa Mackiewicza należy rekonstruować z aptekarską dokładnością. A dlaczego nie rekonstruować w ten sposób np. lat 1923–1925, 1937–1939, 1943–1945 czy 1953–1955, przecież być może każda z tych par była ważniejsza dla tematu mojej książki? Oddalam też całkowicie Pański zarzut o „dowolności" w ułożeniu przeze mnie „przebiegu młodości J. Mackiewicza". Zwięzłość, choćby obciążona nieścisłością, to jeszcze nie dowolność.

Teraz o Pana impertynencjach pod adresem Redaktorki książki, Wydawnictwa i Marii Zadenckiej. Pisze Pan: „Trudno doprawdy uwierzyć, że dorośli ludzie, którzy własnymi nazwiskami firmują tak wydaną książkę, traktują poważnie swoją pracę". Ciekaw jestem, jak by zareagowali na takie *dictum* redaktorzy i wydawcy różnych oficyn literackich i naukowych (jeśli sobie Panu życzy, służę przykładami), w których publikacjach literówki czy przypadkowe błędy składu zdarzały się częściej niż w książce wydanej przez Arkę. Takie czasy: ceną za wprowadzanie składu komputerowego bywają błędy w tekstach. Ale rzecz nie w tym, czy w książce są drobne błędy korekty czy ich nie ma, bo — ma Pan rację — być ich nie powinno, ale w Pana komentarzu, w którym przypadkowa literówka czy błąd w indeksie okazują się podstawową zawartością publikacji! Wszystkie błędy redakcyjne — na szczęście w *Ptaszniku* jest ich o wiele mniej niż w znacznie poważniejszych publikacjach — obciążają mnie osobiście, choć, niestety, nie miałem możliwości zrobienia korekty książki.

Ktoś, kto tak wszystkich rozstawia po kątach, nie zostawiając na nikim suchej nitki, musi być nie tylko godnym podziwu perfekcjonistą, ale też osobnikiem, który sam błędów nie popełnia. A jak to jest w Pana tekście? Podaje Pan informację, że na s. 201 *Ptasznika* jest kompromitujący błąd: „Lwów i Wilanów" zamiast „Lwów i Wilno". Ale na tej stronie nie ma takiego błędu. Zgodnie z Pańską szkołą komentarza mógłbym teraz napisać: „Trudno doprawdy uwierzyć, że dorosły człowiek, który zarzucając innym niedbałość i niedokładność, i własnym

nazwiskiem firmując tak niechlujnie przygotowany maszynopis, traktuje poważnie swoją pracę"...
Nigdzie nie piszę, że Józef Mackiewicz studiował filozofię, więc Pańskie wywody na temat braku „akademickiej edukacji filozoficznej" pisarza są bez sensu. Notabene Mackiewicz pisał o sobie: „na co by zeszły moje lata nauki i studiów, za co miałbym sobie filozofię Arystotelesa, książki Aleksandra Humboldta, dzieła Darwina i wszystkich wielkich biologów, genetyków i psychologów ostatnich czasów, gdybym na starość lat miał zostać wyznawcą politycznego rasizmu?", co polecam Pana uwadze.
Powiada Pan, że „trudno byłoby Mackiewiczowi studiować ornitologię pod kierunkiem prof. Janickiego, ponieważ uczony ten był specjalistą w zakresie robaków pasożytniczych". Wybaczy Pan, ale przecież to sam Józef Mackiewicz kilkakrotnie wymienia Janickiego jako swego mistrza „od przyrody", a o ile mi wiadomo, Józef Mackiewicz w swojej twórczości nie zajmował się pasożytami! Nic też nie wiadomo, by praca Mackiewicza w Narodowym Muzeum Przyrodniczym — z polecenia prof. Janickiego — polegać miała na zajmowaniu się tymi — jak Pan pisze — zwierzątkami... Jeśli więc dojrzały pisarz jako swego mistrza wymienia helmintologa, to chyba wcale nie znaczy, że ów helmintolog nie wprowadził swego studenta w zupełnie inne dziedziny wiedzy przyrodniczej niż te, które były jego ścisłą naukową specjalizacją. Notabene Mackiewicz wspomina, że prof. Janicki wykładał w Warszawie „biologię o g ó l n ą".
Informację o „przyspieszonych kursach" podaję za Panią Orłosiową. Pan rzecz uszczegóławia — bardzo to interesujące — ale *meritum* sprawy pozostaje bez zmian.
Teraz o znaczeniu moralnym braku przypisu do litery L.
W *Nudis Verbis* (podstawa „Archipelag" nr 3/1985, s. 55) jest „Leszczyński", a nie „Reszczyński", a ja ten tekst tylko przedrukowuję. W swoich edytorsko-moralizatorskich pouczeniach nie odróżnia Pan wydania krytycznego od zwykłego przedruku. Z edytorskiego punktu widzenia nie ma różnicy między nazwiskiem, datą a np. tytułem czasopisma, zatem weryfikacja danych w tekstach Mackiewicza — które przedrukowałem — nie mogłaby się ograniczyć tylko do jednego L(R)eszczyńskiego — o co Pan łamie stołki — lecz do wszystkich cytatów, nazwisk, dat, tytułów, faktów etc. — i to nie tylko w tym artykule, lecz i we wszystkich pozostałych. Było to zadanie zupełnie zbędne przy publikacji *Ptasznika z Wilna*, czego nawet nie ma potrzeby uzasadniać. Notabene krytyczna edycja wszystkich utworów Józefa Mackiewicza jest w przygotowaniu.
Pisze Pan do mnie z pretensją, że powtarzam błąd Marii Zadenckiej, choć Pan kiedyś te błędy miał przyjemność prostować. Tej pretensji już

zupełnie pojąć nie potrafię, choć rozumiem Pańską przyjemność. Praca Zadenckiej nie została do dziś opublikowana, więc gdzie Pan te błędy prostował?! Jeżeli ogłosił Pan te sprostowania drukiem (rzecz byłaby ciekawa: sprostowania do nie publikowanej książki), to nic o nich nie wiem — co jest moją stratą, ale Maria Zadencka też nic o Pańskich sprostowaniach nie wiedziała i nie wie, co już jest Pańską stratą. Jeżeli natomiast Pan tych sprostowań nie ogłosił drukiem, a ma Pan pretensje, że ja ich nie uwzględniłem, to stratne są „Teksty Drugie" i ich czytelnicy, że muszą czytać tego rodzaju pretensje.

Ma Pan też do mnie obfite pretensje, że nie wymieniam w *Wyroku* i *Ptaszniku* najpoważniejszego, Pańskim zdaniem, oskarżenia Mackiewicza, czyli bibliograficznego zapisu Jana Kowalika. I snuje Pan takie przypuszczenia: może ja sam mam w tym „jakiś ukryty cel", może „nie znam sprawy", może nie doczytałem do końca maszynopisu Zadenckiej? Odpowiem krótko: o zapisie Kowalika informowałem dokładnie w książce *Jedynie prawda jest ciekawa... Szkice do portretów* (Warszawa 1987). Nie powtórzyłem tej informacji w *Wyroku* i w *Ptaszniku*, bo zapis Kowalika w tzw. sprawie Józefa Mackiewicza nie odegrał żadnej roli — po prostu nikt go nie przywoływał. A poza tym — inaczej niż Pan — nie uważam tego zapisu ani za „najpoważniejsze" oskarżenie J. M., ani nawet za poważne.

Kwestionuje Pan jeszcze wiarygodność podanej przeze mnie informacji o spaleniu przez Wyspiańskiego płótna przedstawiającego panny Pietraszewiczówny. I grzmi Pan *ex cathedra*, a dlaczegoż to nie podaję innej wersji, a mianowicie tej, że płótno spłonęło w 1944 r. w mieszkaniu siostry pisarza?! Odpowiedź: bo ja, proszę Pana, uzyskałem tę informację właśnie od siostry pisarza...

Powiada Pan wreszcie, że w polemice z Gustawem Herlingiem-Grudzińskim Józef Mackiewicz miał rację, ponieważ zależało mu na tym, by żaden element utworu nie podważał wiarygodności relacji o sowieckich łagrach. O miejscu wiarygodności w estetyce Mackiewicza piszę obszernie w *Ptaszniku* (s. 321–326), ale Pan w ogóle nie rozumie sensu podanego przeze mnie przykładu. W rozdziale *Varia (Nie ma zgody z Józefem Mackiewiczem)* piszę o stylu polemicznym pisarza, który, nawet mając rację, potrafił tym stylem zrażać do siebie niektórych czytelników. A to, że ich niekiedy zrażał, jest takim samym problemem dla historyka literatury jak to, że miał rację. Co proponuję Panu przemyśleć w jakiejś wolnej chwili.

Dwa tylko razy miałem nadzieję, że porusza Pan sprawy, o których naprawdę warto dyskutować. Raz, gdy polemizuje Pan z moją interpretacją Mackiewiczowskiej „krajowości", drugi raz — gdy kwestionuje Pan Mackiewiczowskie autorstwo artykułu *To dopiero byłaby klęska...*

W obu przypadkach marnuje Pan jednak szansę merytorycznej dyskusji, bo ważniejsze od rzeczowego rozważenia sprawy jest dla Pana wykrzyczenie: „Ja! Ja! Ja wiem lepiej! I nikt inny tylko ja!". A oto moja odpowiedź.

Twierdzi Pan, że pisząc o „idei krajowej" przedstawiam ją jako koncepcję „kraju bez granic" na wzór współczesnej Europy — „wspólnego domu". Cudzysłów, którego Pan używa, wskazuje, że to cytat z mojego tekstu. Nieprawda. W moim tekście nie ma takiego sformułowania, a i sens mojej interpretacji jest zupełnie inny.

W króciutkim komentarzu na temat „idei krajowej" powiadam jedynie tyle: punktem wyjścia koncepcji nacjonalistycznych (szeroko rozumianych), z którymi Mackiewicz polemizował, były takie kategorie jak „naród", „państwo", „granice administracyjne", natomiast dla Mackiewicza inaczej — punktem wyjścia było „terytorium", „kraj", a więc jednostka geograficzno-historyczno-kulturowa. Mówiąc umownie: chodziłoby tu w przybliżeniu o różnicę między tym, co Niemcy określają jako Vaterland i Heimat. „Kraj" (ojczyzna lokalna, Heimat etc.) nie oznacza wszakże odrzucenia organizacji społecznej czy po prostu „Ojczyzny" jako całości ponadlokalnej (Vaterland) i jej granic administracyjnych, lecz oznacza — w koncepcji Mackiewicza — pierwotność więzi lokalnych (ludzkich, historycznych) wobec więzi administracyjnych. Nacjonaliści skłonni byli dzielić każde terytorium na podstawie kryterium etniczno-państwowego („ta sosna jest «nasza», bo pod nią są dwa groby «nasze», a jeden «wasz», więc przez tę sosnę biegnie między nami granica"), natomiast dla Mackiewicza takie kryterium było nonsensem — oznaczało bowiem narzucanie sztucznych granic na historycznie ukształtowaną wspólnotę różnych narodów, kultur, języków etc. Rzecz zatem nie w kwestionowaniu granic II Rzeczypospolitej — bo tylko to wykoncypował Pan sobie z mojego tekstu, co jest nonsensem tym bardziej, że „granicę" opatruję w książce cudzysłowem — lecz w niebezpieczeństwie nacjonalizmu jako ideologii państwowej. Doszły do tego jeszcze sprawy polityczne: dla Mackiewicza wolność czy suwerenność danego terytorium *ważyła więcej niż ostrość granic*. Sprawa ta — rodem właśnie z idei krajowej — odżyła po wojnie w sporze Mackiewicza z polrealistami. Ci ostatni powiadali przecież: „co tam Jałta! Mamy nareszcie «nasze» państwo i «nasze» nareszcie bezpieczne i «czyste» etnicznie granice!". Odpowiadał więc im Mackiewicz–krajowiec: „macie państwo, macie granice, ale nie macie wolności".

Pan natomiast zdaje się w ogóle nie rozumieć tej myśli Mackiewicza, podporządkowując ją kategorii na pewno dla pisarza nie najważniejszej, czyli Państwu — jakiemukolwiek, byle Państwu. Zakończę cytatem, po

którego przeczytaniu powinien Pan zrozumieć, że impertynencja bywa w Pana tekście siostrą ignorancji:

Jedno zwłaszcza zdanie [pisał Mackiewicz do Kazimierza Okulicza] utkwiło mi szczególnie, gdzie Pan mówi o zrośnięciu ludzi z pewnym krajobrazem (nie chodzi tu o: z określonym regionem, lecz:) r o z l e g ł y m j a k g d y b y b e z g r a n i c k r a j e m, z jego przeszłością, klimatem i krajobrazem. Dopiero zdałem sobie sprawę, że nie potrafiąc tego sformułować, to właśnie było moim ideałem, do którego usiłuję dążyć [Monachium, 5 IX 1963; podkr. W. B.].

Oczywiście, w „idei krajowej" — notabene do dziś w piśmiennictwie polskim nie opisanej — można odnajdywać wiele różnych, a nie sprzecznych ze sobą wątków i pomysłów. Tym bardziej, że krajowców było wielu. Ale Pan wie lepiej.

Nieco więcej obiecywałem sobie po Pańskich uwagach o atrybucji artykułu Mackiewicza. Myślałem sobie: taki pedant w dziedzinie edytorstwa i wszelkich biograficznych detali może mieć do powiedzenia naprawdę coś nowego i ważnego. Ale nie ma: znów zmarnował Pan szansę. Zamiast spokojnie i rzeczowo rozważyć wszystkie „za" i „przeciw" (których w *Ptaszniku* jest przecież bardzo dużo) znowu Pan rozpoczyna i kończy na krzyku: „Ja! Ja wiem lepiej!". Panu się rzeczywiście zdaje, że jest to „wysokie C" w mackiewiczologii, ale jest to co najwyżej falset.

Odpowiadam: w *Wyroku* i w *Ptaszniku* już raz zrezygnowałem z przypisania Mackiewiczowi autorstwa jednego artykułu (*Piekło Wysp Sołowieckich*, „Goniec Codzienny" 1943 z 30 marca). Uwzględniłem opinię J. M. Rymkiewicza i Z. A. Siemaszki, zdaniem których artykuł ten był zapewne czyimś nieudolnym tłumaczeniem z niemieckiego, a nie tekstem napisanym przez Mackiewicza. Rozstrzygające dla mnie były jednak inne, pozatekstowe kwestie (m. in. wyjazd Mackiewicza do Katynia), ale pewności do końca nie mam.

Teraz kolej na Pana. Być może ma Pan rację — bo przecież w mackiewiczologii wiele spraw jest po prostu niepewnych i hipotetycznych — ale w tej konkretnej kwestii zupełnie się z Panem nie zgadzam. Pański jedyny rzeczowy argument zdaje się być identyczny jak w pierwszym przypadku: zła, niemackiewiczowska polszczyzna artykułu *To dopiero byłaby klęska*... Jest to argument wyjątkowo słaby, powiedziałbym nawet — chybotliwy. Zakłada Pan bowiem, że Józef Mackiewicz „wielkim pisarzem był" i wszystko, co napisał, może być po wieczne czasy wzorem literackiej polszczyzny. Tymczasem Józef Mackiewicz pisywał rzeczy znakomite obok bardzo słabych (choć ważnych). Przed wojną (a mówimy o roku 1941) napisał kilkaset artykułów, w których znalezienie stylistycznych plew nie jest niczym trudnym; notabene — gdy przygotowywałem *Ptasznika*, znałem zaledwie kilkadziesiąt tych artykułów.

Ponadto artykuł dla „Gońca" to nie fragment powieści, więc — dostrzegany w nim przez Pana — brak stylistycznej jędrności też można by zrozumieć. Słabość Pańskiej argumentacji polega jednak jeszcze na czymś innym. Otóż Pan po prostu wie, jak konkretne zdanie napisałby Józef Mackiewicz! Zaiste, musi Pan naprawdę wierzyć, że duch pisarza wcielił się w Pana i prowadzi Pańską rękę po papierze. Proszę Pana: nie ma jeszcze żadnych badań nad stylem Mackiewiczowskiej prozy, ale nawet gdyby były, to i tak tego rodzaju sądy (typu: „szyk zdania Mackiewicza byłby inny") należałoby formułować w trybie bardziej niż hipotetycznym. Co do mnie, to nie podzielam Pańskiej argumentacji z jeszcze jednego powodu: uważam po prostu, że Pańskie twierdzenie o „żałośnie suchej, urzędniczej polszczyźnie" tego artykułu jest nietrafne. To nie jest polszczyzna „sucha", „urzędnicza" i tylko „zasklepiona w ciasnych ramach propagandowej retoryki". Jest w niej po prostu ślad dobrego pióra. A poza tym, proszę Pana, z tekstów Mackiewicza jestem w stanie przytoczyć nie tylko dziesiątki identycznych przykładów stylistycznych, lecz także wiele identycznych argumentów i myśli na temat bolszewizmu, które w tym artykule uznaje Pan za niemackiewiczowskie. Nie robię tego z braku miejsca. Także z braku miejsca nie będę Panu udowadniał, że nawet tekst artykułu J. M. odczytuje Pan wbrew jego sensom: w żadnym miejscu autor nikogo nie zachęca do „dosłownego" — jak Pan pisze — szukania bakterii komunizmu w mózgu Lenina! Tworzy Pan bzdurę, a potem Pan z nią polemizuje. Pozostają jeszcze względy pozatekstowe, o których często i gęsto piszę w *Ptaszniku* (co znów Pan pomija!). Po pierwsze, artykuł ten ukazał się jesienią 1941 r., a więc w okresie, gdy Mackiewicz pisywał do „Gońca" (zatem na pewno wtedy „Gońca" czytywał), gdyby więc ktoś właśnie wtedy posłużył się inicjałami pisarza (i to wbrew jego woli!), Mackiewicz na pewno by replikował i coś byśmy dziś na ten temat wiedzieli. Po drugie, wspomniany artykuł jest właśnie tym tekstem, który Mackiewiczowi przypisali i pamiętali po latach jego oskarżyciele i to ten tekst wymieniają z największym oburzeniem Krawiec, Pełczyńska i Jasienica (notabene Jasienica właśnie na podstawie tego artykułu polemizował z Józefem Mackiewiczem w roku 1941). Tekst ten „jest" więc autorstwa Mackiewicza nie dlatego, że ja — w przypływie moich fałszersko-tendencyjnych zamiłowań — przypisałem go pisarzowi, lecz dlatego, że taka była logika tamtej sprawy: w 1941, w 1943 i później ten tekst funkcjonował jako tekst Józefa Mackiewicza! Nie mogłem go zatem pominąć w *Ptaszniku* nawet wówczas, gdybym — jak Pan — wątpił w to, że napisał go Józef Mackiewicz. Po trzecie, odrzucam Pański sposób „obrony" pisarza polegający tu na podważaniu autorstwa, którego — nawet w ramach Pańskiej logiki — do końca podważyć nie sposób.

Kończę tę odpowiedź z uczuciem intelektualnej jałowości i pustki z takiej wymiany zdań płynącej. Nie ma bowiem nic bardziej zniechęcającego niż być zmuszonym do nieustannych sprostowań: „nieprawdą jest, że...". Nie jest mi też pociechą zdanie Mackiewicza, że odpowiada się polemistom, a nie oszczercom.
Chciałbym jednak też Panu podziękować: w Pańskim liście jest dużo informacji, które były dla mnie rzeczywiście nowe, toteż nikt z piszących jeszcze kiedyś o Mackiewiczu nie będzie ich mógł pominąć. Mam nadzieję, że informacje te nie pozostaną tylko „przyczynkami biograficznymi", ale skomponuje Pan z nich całość, która będzie trwałą pozycją w Mackiewiczowskiej biografistyce. Czego Panu — i mackiewiczologii — szczerze życzę. Przypuszczam też, że będzie Pan jeszcze kiedyś toczył spory o biografię Józefa Mackiewicza — na przykład jako recenzent. Pozwalam więc sobie — ze względu na dobro sprawy i skuteczność Pańskiej argumentacji — sformułować pewną radę: niech Pan już więcej nie utożsamia się z Józefem Mackiewiczem i w swoim następnym utworze niech Pan już nie sięga po Mackiewiczowskie tytuły. Zrobił Pan już raz użytek z *Drogiej Pani* — moim zdaniem, o jeden raz za dużo — toteż pozostałe utwory niech Pan, Szanowny Panie, pozostawi w spokoju, choćby do kolejnych polemik kusiły Pana tak efektowne tytuły, jak: *Droga donikąd*!!!, *Kontra*!!!, *Nie trzeba głośno mówić*?! albo — po prostu — *Karierowicz*. Łączę wyrazy poważania.

Włodzimierz Bolecki

Jeszcze o języku antytotalitarnym

Jeśli można, kilka uwag „przy" ciekawym tekście Anny Wierzbickiej *Język i polityka* („Teksty Drugie" 1990 nr 4). Uwag nie fachowca od języka, lecz historyka, który zajmuje się od niedawna dziejami Polski powojennej, w tym także Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego.
Jedna ma charakter właściwie porządkowy, ale piszę o tym, gdyż jest to błąd (?) nader często popełniany. Otóż prof. Wierzbicka pisze, iż nazwa „«Polska Rzeczpospolita Ludowa» została wprowadzona w Polsce w 1945 roku". Nie — wprowadziła ją dopiero konstytucja z 1952 roku. Poprzednio używano nazwy „Polska Ludowa", ale miała ona charakter, powiedzmy, półoficjalny. Używały jej notorycznie przed 1944 rokiem różne partie ruchu ludowego, a także socjaliści (np. podstawowy dokument PPS–WRN z czasu konspiracji nosił tytuł „Program Polski Ludo-

wej"). Aż do 1952 r. oficjalna nazwa była identyczna z II Rzeczpospolitą (i III). Nawiasem mówiąc, wiele osób uważało (uważa), iż skrót „PL" przy tablicach rejestracyjnych pochodzi od owej nienawistnej Polski Ludowej i przylepia napisy „RP" (co oznacza Filipiny).

Następnie odnoszę się już do meritum. Otóż od „bezpieki" istniało także pozytywne określenie jej pracowników — „bezpieczniak"; być może przez analogię do „partyjniak", które także było stosowane w języku PPR i miało takoż znaczenie pozytywne. W wielu materiałach archiwalnych, które do tej pory czytałem, nie używano na ogół skrótu „UB", ale zazwyczaj pisano (jak mówiono, nie wiem) „UBP" = Urząd Bezpieczeństwa Publicznego. Stosowano także następujące słowa: aparat bezpieczeństwa, organy (a nie — „organa") bezpieczeństwa lub po prostu „bezpieczeństwo" (np. „towarzysze z bezpieczeństwa"). O „ubekach" pisano najczęściej „funkcjonariusze" lub „pracownicy". Z reguły odróżniano „pracowników operatywnych" — tj. funkcjonariuszy tych departamentów (wydziałów, sekcji), które prowadziły działalność zewnętrzną.

Na podstawie tego, co zbadałem do tej pory, jestem zdecydowanym przeciwnikiem tezy, którą — nie jako pierwsza — stawia prof. Wierzbicka pisząc, iż „policja jest państwem w państwie". Nie tu miejsce, aby przytaczać argumenty, ale już wyłącznie to, jaką wagę przykładał Bierut do śledzenia śledztw i jak często minister Radkiewicz rugał swoich podwładnych za chęć stawiania się ponad aparatem partyjnym, każe ową tezę podać w wątpliwość.

I jeszcze mała uwaga do stwierdzenia Sergiusza Kowalskiego o kolokwialnym „panie władzo". Tego samego dnia, gdy czytałem tekst prof. Wierzbickiej i dyskusję nad nim, w archiwum b. MBP, w protokole z narady krajowej, która odbyła się 4 marca 1954 r., znalazłem następujące słowa min. Radkiewicza: „niech nie przyjmują z zadowoleniem nasi milicjanci, kiedy obywatele zwracają się do nich «panie władzo». To jest smutna spuścizna przeklętych rządów sanacyjnych".

Tak już zupełnie na marginesie: być może ciekawa byłaby analiza językowa protokołów zeznań, a także instrukcji i rozkazów wydawanych przez „UB". I jeszcze bardziej na marginesie: zachowane są dziesiątki godzin nagrań różnych mówców „solidarnościowych", w tym także Lecha Wałęsy. I to nie tylko w archiwach „esbecji", ale i w zbiorach inicjatywy pod nazwą Archiwum Solidarności — bardzo łatwo dostępnych. I zupełnie nie wykorzystywanych, choć są wolne od „manipulacji", czyli dziennikarskiej obróbki, a dostępne od sześciu lat!

Andrzej Paczkowski

O starzeniu się tekstów literaturoznawczych Uwagi polemiczne

Jerzy Paszek dotknął w swym szkicu („Teksty Drugie" 1990 nr 5/6) problemu interesującego a, jak się wydaje, nie będącego do tej pory przedmiotem teoretycznych rozważań — kwestii starzenia się tekstów literaturoznawczych (dalej: TL). Niestety, jego wywody zawierają kilka miejsc niejasnych i dlatego prowokują do sformułowania pewnych wątpliwości i polemicznych uwag.

Niejasne wydaje się przede wszystkim samo metaforyczne pojęcie starzenia się TL, zwłaszcza że jego sens nie został przez autora precyzyjnie określony. W szkicu występują dwa różne rozumienia starzenia się; raz zostaje ono utożsamione z „wietrzeniem [znów metafora! — J. S.] i dezaktualizacją TL" (s. 49), drugi raz z „zapomnieniem o nim [tj. tekście literackim]", „wykreśleniem ze stanu badań i pamięci czytelników" (s. 57). Z rozważań Paszka nie wynika, w jakich relacjach pozostają ze sobą te dwa zjawiska (sprawę dodatkowo komplikuje fakt, że o „wykreśleniu ze stanu badań" pisze on we fragmencie szkicu dotyczącym „pozornego starzenia").

Tymczasem trzeba jednoznacznie stwierdzić, iż są to dwie różne kwestie: dezaktualizacja (dalej: starzenie się w znaczeniu 1) i „wykreślenie ze stanu badań" (dalej starzenie się w znaczeniu 2). Nim dokładniej je omówimy, zajmijmy się innym problemem poruszonym przez Paszka. W punkcie 3 szkicu wskazuje on na rzecz bardzo istotną — relatywny charakter procesu starzenia się TL. Zadaje on pytanie: „dla kogo dany tekst literacki się starzeje, a dla kogo jest stale żywotny", z odpowiedzi nie wyciąga jednak właściwych wniosków. Wydaje się bowiem, że sprawą podstawową jest tu dokonanie dychotomicznego podziału odbiorców TL (nawiązuję tu do znanej propozycji Janusza Sławińskiego)[1] na znawców i zwykłych czytelników, a więc wyodrębnienie profesjonalnego i nieprofesjonalnego obiegu TL (pomijam tu dalsze wewnętrzne zróżnicowanie obu tych obiegów).

W wypadku tego drugiego — nieprofesjonalnego — obiegu sama metafora starzenia się robi wrażenie chybionej. Sądzić można, że dla odbiorcy nieprofesjonalnego zakorzenienie TL w procesie historycznym nie ma żadnego znaczenia; teksty literaturoznawcze są dlań elementami wielkiej synchronii — na jednym planie funkcjonuje tu np. *Historia*

[1] J. Sławiński *O dzisiejszych normach czytania (znawców)*, „Teksty" 1974 nr 3, s. 20–21.

literatury niepodległej Polski Chrzanowskiego (prwdr. 1906) i *Dzieje literatury polskiej* Krzyżanowskiego (prwdr. 1969); na tym samym planie będzie funkcjonował wznowiony *Podręcznik do dziejów literatury polskiej* braci Mazanowskich (prwdr. 1901).[2] Niezbyt zręczne jest więc operowanie metaforą starzenia się w stosunku do tekstów funkcjonujących w planie synchronii; „metryka" owych tekstów nie ma w tej perspektywie — jak widać — żadnego znaczenia.

Istnieje jednak kwestia jeszcze ważniejsza, na którą należy zwrócić uwagę. Otóż jeśli starzenie się będziemy rozumieć w znaczeniu 1 — jako dezaktualizację (dodajmy: dezaktualizację tez, bo tylko o to może tu chodzić), to dojdziemy do wniosku, iż takie zjawisko w obiegu tym nie wystąpi, gdyż odbiorcy brak tu kompetencji, by oceniać aktualność tez TL. A więc — samo funkcjonowanie tekstu jest miarą jego aktualności. Natomiast starzenie się w znaczeniu 2 — jego wyeliminowanie (najczęściej stopniowe) z obiegu — związane jest z rezygnacją ze wznawiania TL; decyzja taka pochodzi z zewnątrz i wynika z przekonania o dezaktualizacji TL (lub z innych powodów), panującego wśród uczestników obiegu profesjonalnego.

Jest rzeczą oczywistą, że obieg ten uprzywilejowuje zarówno pewne formy wydawnicze (druki zwarte, a nie artykuły), jak i gatunkowe (encyklopedię literacką, syntezę historycznoliteracką, monografię). Inne gatunki (np. recenzja czy szkic publikowany w czasopiśmie) są w tym obiegu przeznaczone do odbioru — jeśli można tak rzec — „momentalnego", a następnie skazane na zapomnienie, co również nie ma nic wspólnego z — mającym procesualny charakter — starzeniem się. Istnieją wreszcie gatunki TL, które w tym obiegu chyba w ogóle nie funkcjonują, np. polemika (zwłaszcza naukowa).

Inaczej sytuacja wygląda w obiegu profesjonalnym. Dla znawcy tekst literacki jest historycznie zakorzeniony, jako element „stanu badań" pozostaje w wielorakich relacjach z TL wcześniejszymi i późniejszymi, sytuuje się też w kontekście doktryny metodologicznej, z której wyrósł. Nie ma w tym obiegu zasadniczego znaczenia ani forma wydawnicza, ani gatunkowa. Uczestnik tego obiegu odwołuje się bowiem nie tylko do własnej pamięci o tekstach, ale również (a może: przede wszystkim) do zestawień bibliograficznych („prawa bibliografii są zaś — przypomnijmy

[2] Nie będzie natomiast funkcjonował w tym obiegu tekst wznowiony, lecz zawierający wyraziste sygnały swej historyczności (dawności), np. wznowiona jako reprint w 1982 roku *Historia literatury polskiej wystawiona w spisie dzieł drukiem ogłoszonych* Bentkowskiego (prwdr. 1814). Wystarczającymi sygnałami dawności są tu: archaiczna formuła tytułowa, archaiczna forma typograficzna oraz zawartość książki, która jest przecież wbrew dzisiejszemu rozumieniu głównego członu tytułu — zestawieniem bibliograficznym, a nie syntezą historycznoliteracką.

uwagę Michała Głowińskiego[3] — równie nieubłagane jak prawa natury"). Owa bibliograficzna pamięć o tekstach — dostępna badaczowi — stawia go w zupełnie innej sytuacji niż odbiorcę nieprofesjonalnego. Nie bardzo więc wiadomo, dlaczego Paszek sądzi, że trudno dziś zweryfikować entuzjastyczną opinię Borowego o recenzji *Igrzyska* Staffa napisanej przez Makuszyńskiego. Dotarcie do tekstu recenzji sprowadza się przecież tylko do wykonania kwerendy bibliograficznej, będącej działaniem proceduralnym (nietaktem byłoby tu szczegółowe omawianie jej zasad).

Paszek słusznie zauważa, że istnieją teksty przywoływane przez badaczy częściej, istnieją też teksty przywoływane rzadziej. Tę drugą sytuację uznać można za starzenie się TL w znaczeniu 2. Taki mechanizm selekcji w sposób wyrazisty obrazują wszelkiego rodzaju *Wskazówki bibliograficzne* (czy *Wybrane bibliografie*), w które zaopatrywane są syntezy historycznoliterackie. Stan badań jest tam redukowany do kilkudziesięciu najważniejszych pozycji, o pozostałych — nie wymienionych — można sądzić, że uległy procesowi starzenia się.[4]

Ważne wydaje się pytanie o przyczyny tego typu starzenia się. W szkicu, z którym polemizujemy, autor formułuje aż cztery przyczyny tego procesu. Przypomnijmy: starzenie się spowodowane brakiem rozdzielenia pracy naukowej od politycznych deklaracji, pozorne starzenie się związane z miejscem publikacji, starzenie się związane ze zdezaktualizowaniem tez, starzenie się wraz z metodologią, która przestaje być modna. Propozycja Paszka nie jest konsekwentna choćby ze względu na fakt, że hipoteza druga mówi jedynie o pozornym starzeniu się.

W ujęciu, które chcielibyśmy tu zaproponować, starzenie się w znaczeniu 1 zawsze polega na dezaktualizacji tez, ta zaś może wynikać: po pierwsze, z braku rozdzielenia wywodów naukowych od deklaracji politycznych; po drugie, z odkrycia nowych danych obalających te tezy; po trzecie, z zestarzenia się doktryny metodologicznej, do której tekst nawiązuje. Zupełnie inną kwestią jest natomiast „pozorne starzenie się TL ze względu na miejsce publikacji". Nie ma ono nic wspólnego ze zdezaktualizowaniem się tez, a więc — nie jest w ogóle starzeniem się w znaczeniu 1. Może jednak wpływać na funkcjonowanie TL w obiegu profesjonalnym, choć przykłady wymienione przez Paszka są chyba odosobnione; łatwo wskazać TL publikowane w zeszytach naukowych

---

[3] M. Głowiński *Niby-groteska*, w: *Problemy wiedzy o kulturze. Prace dedykowane Stefanowi Żółkiewskiemu*, red. A. Brodzka, M. Hopfinger i J. Lalewicz, Wrocław 1986, s. 569.

[4] Kwestię tę sygnalizowała wcześniej D. Zamącińska (*Słynne — nieznane. Wiersze późne Mickiewicza, Słowackiego, Norwida*, Lublin 1985, s. 9–10).

uczelni i świetnie funkcjonujące w obiegu profesjonalnym (np. jako lektura studentów polonistyki).

Należy więc — doprowadźmy ten wątek naszych rozważań do konkluzji — odróżnić dezaktualizację tez od wykluczenia tekstu ze stanu badań. Te dwa zjawiska mogą bowiem w wypadku konkretnego tekstu literackiego współwystępować (na zasadzie implikacji: tezy zdezaktualizowały się, więc tekst przestaje funkcjonować), ale może też występować tylko jedno z nich, tj. tekst zdezaktualizowany pozostaje elementem stanu badań, i odwrotnie — tekst o tezach w dalszym ciągu aktualnych zostaje ze stanu badań wykreślony.

Warto tu zaznaczyć, że istotny wpływ na starzenie się TL (w znaczeniu 2) ma pojawienie się nowych prac dotyczących danego zagadnienia. Przywołajmy dwa znamienne przykłady ilustrujące tę — skądinąd oczywistą — tezę. Pierwszy dotyczy książki Czachowskiego *Obraz współczesnej literatury polskiej*, a ściśle jej drugiego i trzeciego tomu (Lwów 1934; Warszawa–Lwów 1936). Tezy zawarte w książce Czachowskiego zdezaktualizowały się szybko; z perspektywy powojennej dezaktualizacja ta stała się wyraźnie widoczna. Zacytujmy miarodajną opinię Artura Hutnikiewicza:

> Książka kompilacyjna, skonstruowana właściwie z dość przemyślnie pozszywanych cytatów, a więc jakby różnojęzyczna, przemawiająca nieskończoną ilością głosów często najzupełniej przygodnych, zamazywała właściwie obraz epoki w owej gwarze recenzenckiej, gęsto cytowanej, wielosłownej, efekciarskiej i pretensjonalnej, ale, jak to zwykle z nią bywa, mało treściwej.[5]

A jednak mimo jej metodologicznej słabości i miałkości sądów interpretacyjnych, a więc — tym samym — dezaktualizacji, książka Czachowskiego — choć nigdy po wojnie nie wznowiona — funkcjonowała w obiegu profesjonalnym aż do początku lat siedemdziesiątych (przede wszystkim jako lektura studentów polonistyki — jedyne wówczas syntetyczne opracowanie literatury międzywojennej). Z początkiem lat siedemdziesiątych rozpoczęło się jej starzenie (w znaczeniu 2); ukazywać się bowiem zaczęły nowe, odpowiadające dzisiejszym standardom metodologicznym, ujęcia literatury tego okresu — od zbiorów sylwetek pisarzy (*Prozaicy dwudziestolecia*, *Poeci dwudziestolecia*, *Obraz literatury polskiej XIX i XX wieku*, seria VI, t. 1, 2) poprzez próbę wieloautorskiej syntezy pierwszego powojennego czternastolecia (*Literatura polska 1918–1975*, t. 1: *Literatura polska 1918–1932*) aż po syntezę uniwersytecką (J. Kwiatkowski *Literatura Dwudziestolecia*). Opublikowanie książki Kwiatkowskiego stanowi ostatnie ogniwo — przebiegającego

[5] A. Hutnikiewicz *Badania nad literaturą Młodej Polski*, w: *Rozwój wiedzy o literaturze polskiej po roku 1918*, opr. i wstępem opatrzył J. Maciejewski, Warszawa 1986, s. 203.

skokowo — procesu starzenia się dzieła Czachowskiego, gdyż w tej sytuacji przestanie ono funkcjonować w dydaktyce uniwersyteckiej.
Przykład drugi — Kucharskiego *Kompozycja literacka. Jej istota i badanie* (prwdr. 1928) — tekst drażniący anachronizmem tak poszczególnych sformułowań, jak i metajęzyka, którym autor operuje, a więc — tekst zdezaktualizowany. A jednak nie zestarzał się (w znaczeniu 2), gdyż nadal funkcjonuje w obiegu profesjonalnym — jako lektura studentów polonistyki[6] (osobliwe musi robić na nich wrażenie, czytany równocześnie z *Poetyką teoretyczną* Mayenowej czy *Dziełem, językiem, tradycją* Sławińskiego). Stan ten wynika jednak z faktu, że w okresie powojennym nie pojawiło się żadne (oprócz rozdziałów w podręcznikach teorii literatury) opracowanie przedstawiające w sposób całościowy, zgodny z obecnym stanem wiedzy w tym zakresie, problematykę kompozycji dzieła literackiego.
Jerzy Paszek dołączył do swych rozważań aneks opatrzony tytułem brzmiącym stanowczo i jednoznacznie: *Żywotne teksty literaturoznawcze z lat 1965–1966* i zawierający listę tekstów z tych lat (książki, artykuły publikowane w „Pamiętniku Literackim" i „Twórczości"), uznanych przez autora za „żywotne". Nie mam zamiaru współczuć tu autorom TL wydanych w tych latach, którzy nagle przekonali się, że napisali rzeczy „nieżywotne". Niepokoi mnie jednak, że w poprzedzającym wykaz wstępie autor operuje wymiennie kategorią liczby pojedynczej i mnogiej czasownika. Pyta więc: „Co z nich [tj. TL] czytujemy dziś?", a dalej: „Które z nich znów dzisiaj przeczytałbym?". Myślę, że należy posługiwać się wyłącznie liczbą pojedynczą, wskazując tym samym na subiektywny charakter tego rodzaju zestawień. Zawsze przy ich układaniu ujawnią się indywidualne preferencje (związane z czterema co najmniej czynnikami: ośrodkiem naukowym, przynależnością generacyjną, zainteresowaniami badawczymi i postawą metodologiczną osoby zestawiającej listę), dlatego nie wnoszą one żadnej obiektywnej informacji o „żywotności" tekstów literaturoznawczych.

Jerzy Smulski

---

[6] Dodajmy: lektura związana z programem zajęć z poetyki (a nie np. — z historii doktryn teoretycznoliterackich), a więc — z pozoru przynajmniej — prezentująca obecny stan wiedzy w tym zakresie. W tej funkcji *Kompozycja literacka* figuruje w *Programie zajęć i spisie lektur z teorii literatury*, opracowanym w Instytucie Filologii Polskiej UMK (Toruń 1988).

Białoszewskiego sztuka-dla-iblu
Glosa pokonferencyjna

Sztuka Białoszewskiego nosi wiele rysów niepowtarzalnych, z których jeden wszakże wydaje się mieć znaczenie zasadnicze. Jest nim niespotykanie dokładny adres czytelniczy. Adres to literaturoznawcom doskonale znany; powtórzę go raz jeszcze: Warszawa, Nowy Świat 72. Białoszewski pisze dla Iblu.

Badacz literatury jest w położeniu bez porównania trudniejszym niż ktoś, kto zajmuje się życiem królika. Królik nie żyje bowiem po to, by być opisywany. Biolog, który to robi, jest kimś z zewnątrz, kimś, kogo obecność nie oddziałuje na królicze właściwości. Zwierzę nie stanowi tu jakiejś zagadki podsuniętej badaczowi. Badaniu zwierzęcia nie towarzyszy więc świadomość, że to, co jest przedmiotem obserwacji, zostało przez kogoś kiedyś obmyślone i na taką obserwację wystawione. Królik nie istnieje dla biologa, nie jest żadnym komunikatem, który ktoś zaszyfrował. Komfort poznawczy biologa polega na pozostawaniu poza obrębem króliczego świata. Na zajmowaniu pozycji, która daje gwarancję, że zwierzę świetnie radzi sobie bez badacza, a królicze parametry nie ulegną zmianie po tym, jak się je pozna i wyodrębni.

Komfortu takiego nie będzie miał nigdy literaturoznawca. Nie może on założyć, że badane przez niego obiekty są nieświadome zabiegów, jakim się je poddaje. Na odwrót — musi pogodzić się z myślą, że to, co bada, powstało dla niego. A w każdym razie — także dla niego. Literaturoznawca najbardziej przypomina biologa w momencie, gdy może podpatrywać, jak zachowują się dwaj partnerzy literackiego działania, pisarz i czytelnik. To znaczy wtedy, gdy ma pewność, że sam nie jest ani jednym ani drugim. Sytuacja komplikuje się, gdy rola badacza wkalkulowana została w rolę czytelnika, a jest to bez wątpienia typowy przypadek, z jakim styka się literaturoznawca. Pisarz porozumiewa się z czytelnikiem w obecności tego trzeciego badacza. Ale porozumiewa się też z czytelnikiem–badaczem. Pozycja tego ostatniego staje się przez to paradoksalna. Badacz literatury nie jest zwykle odbiorcą wirtualnym utworów, jakie bada, ale nie jest też ich adresatem niepożądanym. Nie może wprawdzie zakładać, że jest pełnoprawnym uczestnikiem spektaklu komunikacyjnego, nie może zarazem przypuszczać, że znajduje się całkowicie poza tym spektaklem, w wygodnej roli obserwatora.

Sytuacja komplikuje się jeszcze bardziej, gdy literaturoznawcy przychodzi uświadomić sobie, że to, co poznaje, powstało z myślą o poznawaniu. Że poemat adresowany jest właśnie do badacza. Powstaje

wtedy układ poznawczy, który na powrót zbliża się do tego, w jakim uczestniczy biolog. Tym razem — biolog–miczurinowiec. Królik, jakiego opisuje miczurinowiec, jest mutantem, którego cechy powstały na drodze eksperymentów przeprowadzanych na króliczych populacjach w miczurinowskich laboratoriach. Badacz nie tyle więc poznaje króliczy świat, co rozpoznaje w nim właściwości, jakie wcześniej zaprojektował i wprowadził do tego świata. W podobnym położeniu znajdzie się literaturoznawca, gdy nabierze pewności, że czyta utwory adresowane do niego, i rozpozna w nich rysy, które już kiedyś wyodrębnił i nazwał. Białoszewski pisze dla badacza. Pisze nie z myślą o czytelniku, lecz o badaczu. Adresuje swe utwory do badaczy Iblu i stawia w pozycji literaturoznawczo kłopotliwej. Sztuka-dla-iblu wymaga bowiem poznawczej chytrości.

Sztuka-dla-iblu jest swoistą odmianą pisania dla badacza. Na jej odrębność zdają się składać trzy jedności. Białoszewski adresuje swe utwory do współczesnych i tym różni się od innych, którzy usiłują zwracać się do wnuków badaczy. Pisanie takie zakłada odbiór natychmiastowy i natychmiastową reakcję. Pojęcie dialogu nabiera tu sensu słownikowego: pisarz kieruje utwory do adresata, od którego oczekuje bezzwłocznej repliki; replika badacza nie może zaś obyć się bez odpowiedzi pisarza. Repliki padają tu natychmiast, dlatego pisanie Białoszewskiego jest gorączkowo pospieszne a kolejne jego porcje są dramatycznie lapidarne. Całą tę twórczość znaczy obawa przed nienadążaniem i jakiś osobliwy *horror vacui*. Białoszewski pisze do bezpośredniej konsumpcji a zarazem tworzy pod presją takiego szybkiego odbioru. Spektakl, w jakim uczestniczy, wpisany jest w ramę współczesności. Jak w klasycznej tragedii rygorystycznie przestrzega się tu jedności czasu.

Oprócz jedności czasu sztuka-dla-iblu odznacza się jednością miejsca. Białoszewski zwraca się swym pisaniem do badacza o określonej lokalizacji przestrzenno-metodologicznej. Jego arc[h]yczytelnikiem jest iblowski strukturalista, badacz specjalnie wyczulony na językowo-komunikacyjny aspekt literackiego porozumiewania się. Język bowiem jest nie tylko tworzywem, ale zarazem bohaterem twórczości Białoszewskiego. Twórczość ta apeluje przeto do badacza, któremu bliskie są tradycje formalizmu i praskiego strukturalizmu.

O ile jednak tradycje takie są zwykle czymś zewnętrznym względem pola decyzji pisarskich, o tyle w przypadku Białoszewskiego one właśnie wyznaczają centrum tego pola. Inaczej rzecz ujmując: Białoszewski opiera swe porozumienie z odbiorcą nie na wiązce konwencji literackich, lecz na wzorach literaturoznawczego mówienia. Sytuuje swą sztukę nie w relacji do takich czy innych literackich przyzwyczajeń, a względem określonego horyzontu literaturoznawczych oczekiwań.

Najważniejszym kontekstem sztuki Białoszewskiego są bez wątpienia iblowskie interpretacje tej sztuki. Nie można czytać *Donosów rzeczywistości* nie pamiętając *Małych narracji Białoszewskiego*. Bez *Mylnych wzruszeń* nie byłoby interpretacji Sławińskiego, ale bez interpretacji *Polki z sobą* nie sposób rozumieć *Wierszy po przeprowadzce na 9 piętro*. I wreszcie — spektakl Białoszewskiego respektuje zasadę jedności akcji. Akcję tę nazwałbym partnerskim współdziałaniem z adresatem–badaczem. Sztuka-dla-iblu powstaje z akceptacji tych narzędzi, jakimi się ją bada. Stara się ona być posłuszna językowi, który chce jej poznawczo sprostać. Białoszewski pisze dla Iblu i pisze wespół z Iblem. Prowadzi dialog nie forsując swych artystycznych racji. W badaczu znalazł bowiem idealnego partnera swych literackich przedsięwzięć. Partnera, którego ceni i któremu wiele zawdzięcza.
Badacz Białoszewskiego nie może tedy zachowywać się jak ktoś czytający cudze korespondencje. Nie może łudzić się przekonaniem, że odbiorcą wirtualnym tej twórczości jest Inny. Musi powiedzieć sobie: „odbiorca wirtualny to ja" — i zdobyć się na poznawczą chytrość. Pamiętając, że ma przed sobą królika–mutanta, którego sam wyhodował.

13 grudnia 1991 r.

Wojciech Tomasik

Od redakcji: Konferencja poświęcona Mironowi Białoszewskiemu, do której tekst ten jest glosą, została zorganizowana przez Pracownię Poetyki Historycznej Instytutu Badań Literackich w dniach 9–11 grudnia 1991.

CONRAD, CZAPSKI, FREUD, FLAUBERT, GOMBROWICZ, GRASS, HOFFMANN, KONWICKI, KRASIŃSKI, LAING, MICKIEWICZ, MUSIL, WAJDA, WITKACY

W NAJNOWSZEJ KSIĄŻCE

Marii Janion

PROJEKT KRYTYKI FANTAZMATYCZNEJ

SZKICE O EGZYSTENCJACH LUDZI I DUCHÓW

Tematem tej książki jest wyobraźnia oraz jeden z jej najbardziej zdumiewających wytworów — fantazmat. Fantazmatami żywiła się ludzkość od zarania, ale pełne uświadomienie ich natury zawdzięczamy romantykom oraz Freudowi. To dzięki nim odsłoniła się podwójność rzeczywistości, w której przebywamy jednocześnie — jakby w mieszkaniu o przechodnich pokojach z otwartymi drzwiami. Swobodne poruszanie się w tych obydwu rzeczywistościach — ludzi i duchów, jawy i snu, zwyczajności i marzenia — jest warunkiem równowagi naszego istnienia. Długotrwałe obcowanie z romantykami nauczyło mnie tej prawdy.

Ale trudno byłoby mi dotrzeć do niej bez największego polskiego pisarza fantazmatycznego XX wieku — bez Mirona Białoszewskiego. On ciągle pisał o tych wszystkich przybliżeniach do rzeczy i do ludzi, przybliżeniach, które musiały przedzierać się przez kokon marzenia, spowijający każdy przedmiot i każdego człowieka. Owo przedzieranie się nigdy nie miało i nie mogło osiągnąć takiego skutku, żeby coś rzeczywiście ujawniło się do końca, a zaraz potem może rozpadło, rozbiło, rozproszyło. Nie, to było raczej delikatne opukiwanie, odsłanianie coraz to nowych omamień, warstw urojeń, przywidzeń, niedopowiedzeń, organicznie tkwiących w świecie niedookreśleń, z których przecież wyłaniała się, nazwijmy ją tak, p r a w d a f a n t a z m a t y c z n a o i s t n i e n i u. Istnieniu wierzby pod domem oraz istnieniu sąsiada piętro wyżej. Szumy, zlepy, ciągi — ten tytuł najlepiej oddaje ową fenomenologię codzienności, owo nasłuchiwanie, owo podglądanie wszechświata, rysującego się, dzięki postawie fantazmatycznej Białoszewskiego, tak mgliście i tak wyraźnie zarazem.

NAKŁADEM WYDAWNICTWA «PEN»

Archiwalia

Miron Białoszewski

Listy do Eumenid

[List 1]

16 LUTY 1983
POETA Z REANIMACJI UKŁADA TANGO
ZAMÓWIONE PRZEZ KICIĘ KOCIĘ
3 DNI WSTECZ W NASTROJU BALOWYM

CANTO
W mym półgrobie
Piszę Tobie
Zamówione tango.

Póki żyłem,
Nie zdążyłem,
Teraz za to mam go.

REFREN
Nie bój się nic
Bo życie nic nie znaczy;
Bo śmierć jak rydz
Zdrowa dla umieraczy.

Już Hamlet–fryc
Myślał, że przeinaczy,
Nie wyszło
mu nic a nic
Z tym jego byc (tu zrobić w tańcu przegięcia)
albo
nie byc

Warszawa–Reanimacja 26 luty 1983
oraz Reminiscencja Reanimacji

Kochane Panie Profesor Eumenidy!
Dzięki za telefon. Żal mi nie odbytej soboty 19 II. Tak już się szykowałem do czytań i śpiewań dwóch nowych Kić Koć.
Ja jestem 11-ty dzień na reanimacji czyli ożywianiu, no i powoli ożywiam się. Wczoraj, mimo że bez przerwy mnie oproszkowują nasennie, z powodu byle wpadłem w złość, cisnąłem się parę razy tak szybko na łóżku, że zaczęło jeździć. Przyleciała siostra.
— Czy co pana boli?
— Nie, tylko zimno.
To rozezłoszczenie się znakomicie poprawiło mi humor, spełniło potrzebę nieuświadomioną, cudownie mi się do rana spało i to po raz pierwszy ze snami od siebie, a nie wariacko-nieruchomymi, od których — już myślałem — że zdechnę.
Serce się leczy, blizna maleje. Słabe ciśnienie. Skłuty jestem igłami jak kiecka Kici Koci. Miałem w sobie drut. Żeby — w razie jak serce nagle stanie — podłączyć do kontaktu. Ileś dni temu pielęgniary, jako już niepotrzebny, wyciągają mi ten drut z ręki. Ja patrzę: on ciągnie się i ciągnie niczym w cyrku, pytam
— skąd on idzie?
— od serca
— a którędy?
— przez żyłę
a to była prawa ręka w łokciu — ten wylot.
Do kafelkowej u b i k a c j i jeżdżę od 4 dni. Pilnie po drodze oglądam, co się da. Ale siostra galopuje, mnie tylko miga i zakręca w oczach, więc dzielę sobie: za jednym razem wysilić oczy na to, za drugim na owo; z góry planuję — na co.
Choroba sercowa dobra. Nic paskudnego, nic obrzydliwego. Dotyczy

górnej połowy tej nie upokarzającej (powołując się na rozmowę z p. profesor M. J. przez telefon o dolnej upokarzającej).
Aha! pierwsze trzy dni miałem niedobre, choć ułożyłem już pierwszej nocy w głowie TANGO DLA KICI KOCI, które ona sobie u mnie obstalowała na 3 dni przed moim zawałem. Na banie się nie było miejsca, bo jak się zniknie, to prędko, a jak zostanie na widoku — to o co chodzi? Nic złego nie czeka, pobolało, przestało. Jedna z najwybrańszych chorób. Trzeba się cieszyć, że ma się taką. Jedna wada, że to plagiat.
Za kilka dni pojadę pewno w wielki świat, przez korytarz–kolektor (łóżka po bokach, tłumy) do salki na kardiologii. Pokoje 3, 4-ludzkie. Byleby nie trafić na radiowca, ale ja wywalczę, żeby choć na pół ustąpił (wtyki w uszy mam, to też trochę znaczy). Zapraszam z góry do tego niezbadanego miejsca.
kłony
U
ściski
dla wszystkich
3 Eumenid

MIRON

Lekarze b. dobrzy, mili. Pielęgniary po części świetne. Pracują za salowe (tych brak). Jest salowy p. Darek, który dorabia sobie punkty na medycynę. Dostaje ponad 6 tysięcy, co go zdziwiło, myślał że mniej.

27 LUTY 1983
KICIA KOCIA
ODPISUJE POECIE NA REANIMACJĘ
DEDYKACJĘ
(OBEREK–MAZUREK)

Od zawału
Do zawału
Raz za prędko
Raz pomału.
Najważniejsze:
W te odstępy
Poupychać
Kręty–węty.

I tak człowiek
Będzie święty,
Kiedy zejdzie
Stąd.

[List 2]

Warszawa–Reanimacja, niedziela 27 luty 1983

Kochane Panie Trzy Profesor!
Nawieźli bab (co rzadkość) i jedna musiała zająć moje miejsce, monitorowo-widokowe dla gabloty strażniczej sióstr. Mnie przesunęli na ogólno-podzielną salę z trzema boksami półotwartymi.
Wprawdzie nie miałem tam łóżka–sąsiada, ale te trzy boksy sumowały się w jedno bycie. Najgorsze, że diabelnie wiało od okna. Kiedy poprosiłem siostrę Malinę (najlepsza), żeby mi firanami przynajmniej ten ziąb złagodziła, odezwały się dwa chłopy z boksu środkowego
— a nam jest ciepło, całą noc spaliśmy przy otwartym oknie.
Zdenerwowałem się strasznie. Nic nie odrzekłem. Siostra Malina powiedziała
— panowie nie straszcie, pan jest w pierwszej linii.
Ale już kończyła całodzienny bieg po „erce" i poszła. Ja postanowiłem, że jak oni otworzą, to po podłodze przepełznę w cieplejszą gablotę.
Nie otworzyli okna. Ale ja się złościłem. Oglądałem odpychające jasne zielenie ścian i dwóch greckich kolumn, do tego tygrysi kaktus zielony. Pomyślałem, że tu za różnych czasów między Troją a Powst. Listop. mógł po grecku ktoś komuś łeb urżnąć i może jeszcze zasadzić na tym ów kaktus (złowrogo wyglądający).
Zasnąłem. Wpadł mi w sen klasyczny dramat, kilka głosów na raz. Próbowałem to ułożyć w akcję, ale się rozkleiło i okazało się, że to te chłopy zza boksu rajcują (2 godz. w nocy), a jeszcze dopowiada im co nieco z trzeciego boksu baba. Ten chłop głośniejszy chwalił się, że mieszka naprzeciw domu, gdzie zamordowali chłopaka. Potem wpadł w ferwor — syn ojcu głowę urżnął, coś o 3 tysiące.
Baba podziwiała.
A ja się ucieszyłem. Niech się rżną cholery! I nasłuchiwałem o dalszych rżnięciach. Ale ich nagle wzdęło sapanie senne.
Moje skargi na zimno doszły do uszu zarządzających. Przetransportowali

mnie na stare miejsce. W międzyczasie jednak pogorszyło mi się serce. (To były dodatkowe skurcze serca.) Monitor pokazywał brzydkie wykresy. Zastrzyki, piguły, badania. Teraz leżę pod kroplówką.

8 wieczór
Serce odbolało. Oddech się wyrównał.
Pozdrawiam z machaniem ręką wolną od kroplówki.
Tylko głos mam od iluś dni schrypiały bardzo po dziadowsku i gadam szeptem.

9 wieczór
Mojego 75-letniego sąsiada zaczęło okropnie serce boleć. Nitrogliceryna nie pomogła. Ja zacząłem się skupiać i powtarzać w myśli „niech tego człowieka przestanie serce boleć".
Ale też nie pomogło. Pomógł dopiero zastrzyk.
Jednego z tych chłopów z boksu już przenieśli na oddział, a drugi (najgorszy) mieszka już w pokoju wylotowym i już chodzi.

4 rano (28 luty)
Przespałem się. Chyba ze mną nieźle, bo nic mnie nie boli i nie zajmują się mną (w złym sensie).

MIRON

[List 3]

W-wa, 28 luty poniedział 83 rok

No i Proszę Pań — jak to bywa: najazd zawałowych bab, mnie jako już lepszego przesunęli z łóżkiem do „gajówki". „Gajówka" (ma topole tuż za oknami) jest „wyjściówką" na normalny oddział. Od razu mi zapowiedziano, że mogę trochę dreptać po tym pokoju.
Radość wielka. Tylko wiedziałem (do tego zwrot „jak to bywa"), że w gajówce przebywa ten, co mnie straszył oknem na całą noc. W gajówce są dwa łóżka. Więc ja i on tylko. Okazał się od razu miły i uczynny. Wkręcił mi lampę nad głowę, dał pisma do czytania (ale ja nic nie czytam, nie chcę, nie idzie mi). Powiedział, że on się wyprowadza na własne żądanie do domu. Zostawił mi swój kompot i jabłka. Wkrótce przynieśli mu ubranie i na chodząco, wyglądająco oknem (miał siłę)

czekał na żonę. Chcieli go odwieźć karetką pogotowia, ale żona dzwoniła, że już jedzie taksówką do Międzylesia zamówić sobie na jutro miejsce do rodzenia i z Międzylesia wstąpi po męża.
I tak w południe zostałem sam na reanimacji rekreacyjnej.
Kolumna dorycka też tu jest, ale wyobraża samotność. Zamiast złego kaktusa — fotografie złotokapu i clematisu.
Drzwi w połówce otwarte do korytarza, widać kolorową zasłonę od mojego dawnego pokoju. Czasem zamiga tam w szparze baba leżąca po mnie.

1 marca
Spało się cudownie. Bez snów przykrych, prześladowczych. Nie pamiętam nawet, co mi się śniło — co za ulga!
Myję się już sam nad zlewem, bo tu jest. Chodzę rzadko i króciutko, bo nogi mi kołowacieją. Jem mało, bo się nie chce. Szanse na schudnięcie.
Przez pierwsze pięć dni nic nie jadłem (kilka łyżek zupy i łyżeczka sera na cały czas). Tylko piłem wodę, piłem wodę. Dobierałem jej smaki. Prosiłem o jak najzimniejszą. Nie wiedziałem, że żywienie się wodą może tak być wystarczające i rozmaite.
Tadzio Sobolewski wstępuje tu do mnie, donosi co trzeba.
Dla wyjaśnienia do reszty: mój nowy pokój (mój do czasu) ma prawdziwe ściany. No i okna, za którymi topole, brzozy, czarne, białe, piękne graficznie na szarym tle nieba i troszkę dalszych budyneczków. Wrony, gołębie, wróble.
Ściany nie dochodzą do samego końca, bo okna ciągną się wte i wewte dalej, tak że między kantem ściany a oknem jest szpara. Czyli — dwie szpary, przez te słychać pogwarki — z jednej strony z gabinetu zabiegowego (mój pierwszy postój), z drugiej strony głośniejsze rozmówki, narady, chichoty i szykowania sobie jedzeń: to gabinet lekarzy i sióstr, z urządzeniami do podgrzewań, z talerzami, nie wiem czy z kanapą. Sprawdzę, bo już tam mam niejaki wstęp po otwieracz do butelek z gazowaną wodą; teraz jestem wybredniejszy, minęły zachwyty nad wodą z kranu. Dałem jednej siostrze, którą lubię, trochę kawy, i drugiej, sympatycznej, papierosy „Lordy". Bardzo się z tego cieszą. Pisałem chyba, że Ludwik Hering przyniósł mi czekoladę kalwińską, tę prędko oddałem na ręce najsympatyczniejszej pielęgniarki.
Kiedy leżałem w poprzednim pokoju, miałem trzech kolejnych lep-

siejących sąsiadów. Pierwszy, 50 lat, gruby, z biustem jak dwa salcesony. Nie przeszkadzający! Mówił, że kocha tłuste jedzenia, wciąż skopywał koc, przebierał nogami, bo przyzwyczajony do pracy na chodząco. Budował kawiarnie, bary w NRF, we Francji, Belgii jako robotnik. Coś się zgadało o pobycie tu, o zawale.
Ja do niego
— ja się nie bałem.
On przewalił się na bok w moją stronę
— a czego tu się bać?

Południe
Przywieźli mnie na łóżko obok inteligenta, podobieństwo do aktora Dmochowskiego (wiek też podobny). Przywieźli go z miasta, ale on był już tu leczony. Jest w niepomyślnym stanie, ma bóle i oddech krótki. Pełno koło niego sióstr, lekarzy. Krew też mu leniwie idzie do analiz, a trzeba dużo. Takie kłopoty były i ze mną. Kłuli mnie nieraz w trzy miejsca! Miałem obrzęki na obu rękach w wielu miejscach, nawet w stopie. Do tego pełno sińców.
Umieścili go w „gajówce" (dla zdrowiejących) z przypadku. Po prostu wszystkie inne miejsca — pozajmowane.
Znajoma tutejsza pielęgniarka (z innego działu), siostra jednej z pokoju literatury współczesnej PIW-u, dogląda mnie. Dziś mi przyniosła ogórki kwaszone. Bardzo teraz lecę na kwaśne (na słodkie wcale).
Obiady tu podają pachnące, aż ślina leci. Co lepsze — w smaku nie zawodzą. Pyszne zupy — jarzyny nie wymiętoszone. Nic nie czuć kotłem, dzięki temu obiady zjadam całe, chyba że mięsa nie chcę.
Pan Darek, ten co sobie sprzątaniem dorabia punkty do dostania się na medycynę, opowiadał mi dziś zamiatając mokrą ścierką na szczocie, jak wczoraj tłoczył się za butami któryś raz i wreszcie dostał
— ale przynajmniej pasują?
— pasują.
Ukazał się nagle drugi młodzieniec salowy, zamiatał, podawał obiady. Stara salowa przychodzi tu tylko w wolne soboty. Chorych nie wozi na wózku do ubikacji
— ja tam nie umiem z wózkiem.
Była Kicia Kocia, wczoraj. Dostała tango już przedtem pocztą i przedyktowała owo Ludwikowi przez telefon: Ludwik teraz mnie odwiedził
— czepiam się tanga, zakończenia, bo to nieprawdziwe, nieprawda, że

Hamletowi nie wyszło nic a nic, bo z być albo nie być wybrał być, i to mu wyszło.
Mnie jednak chodziło o większe co innego. Hamlet liczył się z honorami, przekazem, pamięcią, racją moralną
a w moim nastrojo-ujęciu wszystkie te cnoty i nadzieje odpadają, nie są nic warte, bo wszystko jest nieważne, wszystko się rozsypuje, nie zostaje w końcu z nas nic, bez różnic żadnych.
Mój współlokator spokojny, łagodny, dali mu jeszcze zastrzyki, badali go machinami, przy jednym bolesnym zastrzyku jęczał. Oddech mu się nieco poprawił, choć kłuło przy wciąganiu powietrza (miałem to samo).
Mówił półcicho do siebie:
— O Jezu Dobry, dlaczego ja tyle się męczę, od takiego długiego czasu.
Jest upokorzony (niewymagający) długą chorobą. Teraz śpi.
Doszły do mnie wieści, że przyczyna choroby to ostatnie jakieś ćpania.
Tymczasem w Ameryce i w Polsce po Ameryce los mi kategorycznie tego pożałował.
Jeszcze może ktoś przyjść do mnie z wiadomością, że przeciek w mieszkaniu. Dobrzy, potrzebni przyjaciele, ale nie zawsze są powściągliwi.
Widok ładny o szarej godzinie. Jedno okienko daleko, naprzeciwko świeca, wigilijnie. W dole białe śniegi, czarne błota, szare mieszaniny.
Ściemniło się. Kiedy wejrzeć trochę w lewo, świecą dwoma rzędami nad sobą okna onkologii. To już mniej wigilijne.

8 wieczór
Obchód wieczorny, pojedynczy.
Pytanie do mojego sąsiada
— jak się pan czuje?
— nie najgorzej.
Więc przynajmniej tyle pocieszenia.

9 wieczór
Otwarcie przez brata (bo jest i taki) dwóch dla mnie gazowanych wód na noc. Jedną z nich korkuję woskowymi zagłuszaczami na uszy.
Snucie się rzadkie po pokoju wciąż słabiusieńkie, słabiusieńkie.
Próbuję czytać *Tajemnicę żółtego pokoju* starego Leroux. Te próby idą niemrawo od 2 tygodni, ale teraz ugryzłem trochę większy kawałek.
Kryminał dobry: las, zamek, ojciec, córka, słudzy, laboratorium, grota

św. Genowefy, dziadówka „Klęcząca Matka", a za nią chodzi Zwierzątko Boże, wielkie kocisko, wydające w nocy przeraźliwe wołania. Niedoduszenie córki, kradzież wynalazku, jęk Bożego Zwierzątka. Kto o co?

Kiedy byłem na starym miejscu, w szklanych boksach leżało dwóch gadaczy. Jeden architekt, ze 72 lata, wielki, siwe czuprynisko, w szlafroku księcia Tadżykistanu. Drugi mały w wiśniowej piżamie, jak się okazało, Wojewódzki Urolog. Mały mówił ciszej, rzadziej. Książę Szlafrokowy mógł za to głośno opowiadać 10 godzin bez przerwy. Obaj — w dobrym już stanie. Książę Szlafrokowy a to o swojej siostrze, jak chorowała na raka („zaczęło się od koraliczka"), a to o wyjazdach, kontrolach, budowach, sprawach społecznych — tu mu wtykał swoje, jak się dało, Urolog Wojewódzki. Wreszcie Szlafrokowy Książę przeszedł na swoje życie osobiste całkiem. Żona zaczęła wyjeżdżać na dzień, dwa za Warszawę. Wiedział już, że go zdradza. Ale nic — trudno. Raz się zjawia w domu z kochankiem — dyrektorem. Atmosfera z początku napięta. Dyrektor prosi o przekazanie mu żony
— wiem, że z dobrego konia spadam... tu trzeba mieć wykształcenie seksualne... wysokie wykształcenie...
Jakoś się napięcie rozładowało. Ugodzili się. Popili we troje. Pograli do rana w brydża. Rano poszli. Do hotelu. I tak zachodzili czasem do Księcia Szlafrokowego. Raz zmęczeni — dyrektor przyłożył się do kanapy. Ona obok przytuliła się zmęczona i tak zasnęła...
Tu Książę zawiesza i kończy:
— I tak zasnęła i spała przytulona do niego, nie wiedząc, że on od kilku godzin był już martwy.
Kiedy indziej Książę o parze młodych, zakochanych, podpisali taki papier, że kiedy skończą szkoły, pobiorą się i wyjadą. Przyszedł ten czas, a tu nagle on mówi, że stracił uczucie. Nie ożeni się z nią. A ona wtedy, żeby go przytrzymać, oznajmiła:
— Ja jemu kupiłam yacht, stoi gotowy w Kołobrzegu.
Pojechali, obejrzeli ze świadkami, yacht stal elegancki. Niedoszły mąż obejrzał tylko urządzenia, powiedział:
— Kupuję
i kupił, zapłacił 270 tysięcy, bo miał naskładane, i rozeszli się.
Podczas owego opowiadania Księcia Szlafrokowego i Urologa Wojewódzkiego przeprowadzali z boksów do „gajówki", do tego pokoju,

w którym ja teraz mieszkam. Książę Szlafrokowy, cały czas na głos, jadąc na fotelu, opowiadał. Ledwie ułożyli się na nowych łóżkach, słychać było Księcia Szlafrokowego dalej — tym razem szło chyba o jakieś pole bitwy.
— Ja tak leżałem odwrócony na jeden bok, on na drugi. Odzywam się do niego „pomyśl, ile jeszcze miast możesz zobaczyć, ile cię czeka" i tak odturlałem się w stronę od niego. On chwilę namyślił się i odturlał się w drugą stronę.
Po wyprowadzce Księcia Szlafrokowego samotny Wojewódzki Urolog w wiśniowej piżamie chodził do sióstr, do telefonu obok, przenosił pudełka, kawki, ciastka. Siostry przelatywały od niego do swojego gabinetu i też kłusem przenosiły szkatułki i ptifurki.
Potem byli tam krótko ci trzej z boksu, co mnie straszyli oknem. Teraz zabrakło bawidamków (bawisiostrzyczek). Trochę zdechłych chłopów, reszta baby.

2 marca, środa
proszki były
mycie było
słanie łóżka było
EKG będzie
śniadanie będzie
wlecenie pierwszych lekarzy na nagłe
badanko będzie
wlecenie drugie będzie
obchód główny będzie.

Po czym — wolny czas.

Sąsiad czuje się dobrze.
Podczas mycia nad zlewem już się dziś mniej zmęczyłem. A podczas słania łóżek przez siostrzyczki wylazłem na korytarz trochę za daleko (bo nogi chciały iść) i za to dostałem od sióstr burę. Mam na myśli cichy wsobny korytarzyk „erki". Bo do korytarza–kolektora to daleka droga.

Zapowiada się przeniesienie mnie na oddział. Więc koniec „gajówki". Sielanki. Dostanę się między trzech czy ilu nowych chłopów.

11 rano — po obchodzie
Za godzinę, dwie przeprowadzka do 3-osobowego pokoju poreanimacyjnego, ta sama opieka lekarska, ale to już na pograniczu oddziału. Na cały dzień mam się już odłączać od monitora, na noc przyłączać. Naprzeciw będzie łazienka, do której mi wolno chodzić; wolno sobie troszkę pochodzić i usiąść.
Jak się okazuje: ten mój drugi zawał był na szczęście mały.
Ciekawe, czy nie natrafię na Szlafrokowego Księcia z Urologiem Wojewódzkim.
Bardzo dużo powodzenia życzmy sobie nawzajem

MIRON

Następny odcinek szpitalnej akcji nadejdzie.

[List 4]

Warszawa — 2 marca 1983 r.

Kochane Panie Eumenidy!
Nowe miejsce. Obco. Ja jestem chyba na ogół obcy. Dwa chłopy podstarzałe, okno uchylone (ciut chłód) i ja.
Ściany jasnożółte (krem nijaki, a jednak w dwóch odmianach paciania). Dobrze, że jestem z brzegu, i to koło zlewo-kranu i drzwi, bo w środku źle, koło okna słońce i powiew zbytni.
Więc nie trafiłem na Księcia Szlafrokowego. Trafiłem na Urologa Wojewódzkiego w zwykłej piżamie i szlafroku. Raźny, wysoki Siwak chodzi prężnie w zieleninie szlafrokowej, pieje jak kogut do siostrzyczek. Co gorsze — ma radio. Puszcza niegłośno, ale zawsze to zaraza. Dobrze, że przez 2 tygodnie tu przywykłem do cichych odgłosów radiowych i gadaninek, reszta — zatyczka na uszy.
Korytarz–kolektor tu się zaczyna. Za drzwiami. Okno wychodzi na czarne wielkomiotłe drzewa. One bliziutko. Dalej budyneczki.
Naprzeciw łóżek ściana ze sporą telewizją naturalną, czyli gabinetem sióstr za szybą z przezroczystą firanką.
W tej telewizji gabinetu sióstr miga teatr główek w czepkach.
Po małej drzemce wylazłem na korytarz–kolektor. Najpierw na wprost do ubikacji. Można uklęknąć na łazienkowej (trupiej?) leżance i wyglądać na główny paradny zajazd szpitala. Ulica Grenadierów. Po drugiej stronie ulicy przystanek autobusowy z ludźmi. Tło — niedużeńkie domki.

Na razie lufcik dosyć przyszparowali, radio umilkło. Do Urologa Wojewódzkiego przyszła żona, we troje gadają z Raźnym Siwakiem. Te ślamazarne semiologie nie przeszkadzają mi, nie angażują semantycznie.
Lampka nad głową czynna, to ważne.
Przespacerowałem się trochę kolektorem, mijałem widoki czwórkowych pokojów chłopskich, babskich, z wielu gośćmi, obsiedziane łóżka. Na korytarzu–kolektorze mija się co dwa kroki to na lewo, to na prawo łóżko z kimś na łóżku głównym plus kimś na łóżku siedzącym. Między tym a tym a wszystkim przełażą, mijają się pary, chory — gość, chora — gość. Spotkałem pierwszego sąsiada z pokoju najdłuższego pobytu, tego z biustami w salcesonach, co orzekł
— a czego tu się bać?
Na razie mój trójkowy pokój wygląda na najpomyślniejszy.
Oho! W tym momencie rodzina przyniosła Raźnemu Siwakowi telewizorek. Co to będzie? co to będzie? O, już jest, gada. Nawet czasem spojrzenie na telewizorek z mojego łóżka z ukosa marne, skrócone i małe, skrzywiłyby się oczy w lewo. Chodzi o głośność. W razie potrzeby zwrócę uwagę.
Zaczął się mecz, obetkałem uszy głuszydłami, w połowie pomaga. Zauważono chyba moje zatyki uszu, bo Wojew. Urolog zwrócił się do mnie
— panu, zdaje się, przeszkadza głośniej.
Przytaknąłem.
Teraz po powrocie z kolektora Raźnego Siwaka chyba zastosują przyciszanie.
Scena nowa. Wrócił Raźny Siwak. Rodzina poszła. Raźny Siwak i Urolog Wojew. siadają przed meczem.
Scena jeszcze nowsza. Pukanie. Wkracza w całe drzwi Książę Szlafrokowy. Dosiada się jako trzeci do meczu. Wszystko szczęśliwie ciągnie się cichawo, meczysta z aparatu gada nie za głośno swoje, trzej widzowie gadają swoje. Urolog Wojew. wyszedł.
Scena jeszcze jeszcze nowsza. Książę Szlafrokowy wyszedł, wszedł niski brodacz siwy na brodzie a mniej siwy na głowie, a może odwrotnie. Oglądanie, gadanie. O dziewczynie, która się truła, miała na ręce wypisane „kocham", nieprzytomna, zakładał jej cewkę do samosiusiania pacjent–doktor Urolog Wojewódzki. Już samobójczynię wywieźli. Zdaje się, że przywieźli następną.

Posługuje tu jako jeszcze jeden salowy bardzo urodziwy blondyn. Drugi gęstojasnowłosy ukazał się jako lekarz na obchodzie. Jeszcze przedtem inny urodziwy wysoki lekarz latał po korytarzu, ogłaszał
— urodził mi się syn!
— urodził mi się syn!
Pielęgniarki tu w normalnym wieku. To na reanimacji same młode, żeby miały siłę. Ciągle czuję się w obecnym pokoju obcy. Telewizor jednak utrudnia oswojenie. Ale ja zawsze jestem obcy. Chłopy odwiedzają się, dobrze się z sobą czują, ja — nie bardzo. Nie mam co z nimi gadać. Nie chce mi się ich. W młodości byłem przystosowywalniejszy. Czym starszy — tym mniej.
Najważniejsze — przebyć pierwszą noc na nowym miejscu. Rano jest jak po przebytym gwałcie, ale już ulga. Kiedy moi dwaj lewi pójdą spać, zostanie jedynie wielka, żywa, niehałaśliwa telewizja sióstr w oknie ściennym. Odbiją się o ściany światełka z ulicy. Przeżyję spokój.
Wieczorem — teraz — grodzę się czytaniem *Tajemnicy żółtego pokoju*. Wmawiam w siebie, że stać mnie na wdanie się w czytanie na tle niesłuchania telewizji.
Zapraszam — póki co — Panie do mnie na Grenadierów
Kardiologia
1 piętro
pokój 1
Przyjęcia gości
wtorek, czwartek 16 godz. — 17 godz.
niedziela 15 godz. — 17 godz.
W inne dni też tu się wtłaczają. Uprzedzam, że w niedzielę 13 marca będzie Jadwiga. Tak to rzadko tu dojeżdża. Zresztą jest uczynna.
To tyle z techniki.
Panią Marynę też zapraszam, choć ona we Francji. Ale ja raz z Francji dostałem zaproszenie na wystawę Czapskiego, choć wiadomo, że nie pojadę nagle. To podobno taka forma elegancji.

3 marca
W nocy po jabłku bóle brzucha. Leki. Znów nic nie jem. Przed szóstą rano sąsiedzi zaczęli życie. O szóstej puścili radio. Poprosiłem o ciszej. Teraz idzie film przez telewizję (tu w pokoju).
Jestem znów osłabiony. W ustępie tylko dwie kabiny bez osobnych siusialników. Tłok, kolejki. Cztery zlewo-krany, do których też się tłoczę

z goleniem, wodą do picia. Chyba mój pokój jest wyjątkiem krano-wo-zlewowym.
Moi sąsiedzi mają dużo siły. To dobrze, bo więcej wyłażą na kolektor i do znajomych w innych pokojach. Ale porcje tele i radia to mi dają. Byłem i ja na przesnucie się na zdechło przez kolektor. Mają mi przysłać magister od badania mojego chodzenia. Tak blisko gdzieś to mogę sam. Bolenia brzucha, bo to cały brzuch boli, są od niektórych leków, jak orzekła lekarka. Wystarczy małe przedawkowanie — i już boli. Obiecała to regulować. Podobna do Chinki.
Południe. Sąsiedzi wyszli. Cisza.
Wchodzi stara salowa z kubłem, ścierką, szczotką. Obciera framugi i szkła, śpiewa trelowato — ale na „m m m"
— m m m m co cię boli
m m i i m m i mm m mm mm
ściera dalsze rzeczy
— m m mm ja cię czekam
y my m y y mm
Bierze szczotę z mokrą ścierą, zaczyna gwizdać, potem wraca do „m m m", ale tekstu nic nie przybywa.
Pozdrawiam
Wysławiam
Brzuch przebolewa.

MIRON

Zbliża się z głębi kolektora obiad ze szczękiem na kółkach. Jednak trochę zjadłem, jak radziła lekarka.
Do Wojewódzkiego Urologa przychodzi żona z jedzeniem i żeby mu zmieniać szlafroki. Dziś przyjdą do niego liczne siostrzenice (z plackami). Od rana — poza tym — do wieczora pojawiają się u niego figury, docenty, całują go, a on ich szybko zabiera pod palmę.
Nie wiem, gdzie ta palma.

M.

[List 5]

Warszawa Poreanimacyjna 5 marca 1983 r.

Kochane Panie Eumenidy! Zaraz po wyjściu najmłodszej z Was stąd napomknąłem zostałem jeszcze Przemysławowi Brykalskiemu, że obok mnie przebywa Wojewódzki Urolog, który przystąpił jako chirurg do

stołu operacyjnego i w tej chwili poczuł serce. Przewieźli go tu. Do zawału nie doszło. Na to Przemek, że słyszał o tym, bo to kolega jego kolegi, którego i ja znam i który był na moim hucznym (tyle Przemek naprosił) wieczorze autorsko-amerykańskim u tegoż Przemka w pracowni na 3 dni przed moim zawałem. W dodatku Przemek doświadczył jakiejś chorobowo-telefonicznej grzeczności od Urologa Wojew. Doszło do konfrontacji, grożącej zawiązkiem towarzyskim. Przemek wyszedł. Weszła kolacja. I na jej pobrzęku stanął w drzwiach biały fartuch, mający czarne przedłużenie do ziemi.
(Żałuję soboty z procesami zwierząt, ale to się pewnie da wrócić.)
Po podobieństwie do mojego Nepomucena w kapliczce–kuchni zorientowałem się, że to xiądz. Do mnie:
— pan jeszcze leży, pan cierpiący
ja
— nie, już trochę chodzę
ale już go zagadali Urolog Wojewódzki i Raźny Siwak, dobiegający na siedząco przy stoliku razem kolacji (z telewizorem usadzonym na tę porę na stołku). Ksiądz się przysiadł w pobliże. Chcieli mu dać kawy
— nie, nie.
Urolog Wojew. zasypywał księdza nazwiskami kapelanów, księży. Tak że ksiądz tłumaczył się, że mało zna, bo on ze Skaryszewskiej.
Wpadli w ferwor na temat Rzymu. Bo i ksiądz, i Urolog tam byli. Obgadywali Włochów. Ksiądz o Lourdes, że jak tam zapielgrzymował, to było poważnie, dostojnie; nagle zjechali Włosi — od razu jarmark. W tej chwili pudełko telewizyjne już na stole. Pokazują nowo narodzone kobry we Wrocławiu i papieża w Środkowej Ameryce.
Wpuściłem do kubka z wodą szklaną kulkę od Eumenidy najmłodszej. Kulka ładnie, z cichym psyko-szczękiem krąży po dnie kubka. Trzeba by się nauczyć z tego wróżyć.
Na korytarzu dziś mało leży ludzi. Starą panią, której wczoraj podawałem nocnik, przenieśli do pokoju. Naprzeciw niej leżała 3 dni temu nieruchoma krótkowłosa-czarno dziewczyna, przyczepiona do kroplówy. Już hoża, już drepcze kolo łóżka, już w jej nogach leży nowa koleżanka, która z nadmiaru energii roznosi jedzenie, już nad nimi stoi młodzian–piżamowiec. Po prostu ośrodek wesołości. Między nimi przetoczył się Książę Szlafrokowy, a za nim brodacz z siwymi włosami (czy odwrotnie). Teraz wyjdę do skrzyżowania z kanapą. W tamtym

miejscu mieszka astmatyk z Miedzeszyna, który mi wczoraj opowiadał o swojej chorobie.
Wyszedłem w kolektor. Nagła martwota. Czarna ostrzyżona gdzieś podreptała. Usiadłem w bocznej nawie przy skrzyżowaniu samotnie na kanapie. Gdzieś coś grało *Ave Maryja*. Po przestoju wyłonił się brzuch w piżamie astmatyka z Miedzeszyna. Z drugiej strony nadbiegła ze skaczącymi włosami Energiczna Spontaniczna Roznosicielka Posiłków, porwała do tańca astmatyka, niewiele z tego wyszło, poleciała, wróciła wkrótce z dwoma piżamami na amantach. Ci romantycznie ją odeszli na schody. Pofrunęła nie zrażona w trzecią stronę.
Teraz leżę, tele idzie, sąsiedzi patrzą. O 9-tej zasną, bo przecież wstają, kiedy jeszcze okno wstawione w noc.
Kolektor–korytarz w żółtym tonie, od podłogi szafranowy. Lubię patrzeć w jego ciąg. Na końcu ciągu okno, z tego okna widać ukośny ruch Alei Waszyngtona. Nasze okno wychodzi na uliczkę Świętosławską, naprzeciw małe domy.
Widok z wychodka na Grenadierów z ludźmi pod przystankiem przypomniał mi pierwsze fruwanie. Miałem kilka lat. Zima. Ulica Chłodna. Przystanek z ludźmi. Ja tam też. Nagle unosi mnie siła w powietrze, chcę czepiać się ludzi, siła fruwająca ukosem w górę mnie od nich oddziera, opatulony szalikami chcę krzyczeć, nie mogę. Przebudzenie.
W 1942–44 r. mieszkałem na tejże Chłodnej, blisko snu i jawy getta. Jakiegoś dnia w kuchni przy zlewie pytam ni to mamy, ni siebie
— kiedy wojna się skończy?
i odpowiadam sobie
— w maju
— a kiedy będzie święto narodowe?
po chwili zgadywanki–namysłu
— w lipcu.
20 lat temu z Adamem (wkrótce samobójcą) poszedłem na film do Sali Kongresowej. Tam się oddawało palta do szatni. Dostałem numerek, spojrzałem:
1983.
Nic nie mówiąc, pomyślałem
— w tym roku mogę umrzeć, to niby daleko, może szkoda, ale...
W lutym obecnego nam 1983 roku zacząłem o tym mówić, coś mnie zaniepokoiło.
Może przesada — zawał jako przymiarka. Ale coś w tym jest. Zresztą

rok ma daleko do końca. Z pewnych przywidzeń i snów czuję dla siebie niebezpieczność końca maja, zwłaszcza niedzieli.
Deszczykuje, puka w okno, robi dwa razy tyle, co jest; bo to co jest idzie w górę, a to co dorobione na waleta, idzie do góry nogami w dół.
Moje łóżko ma cztery kółka rytualne, więc przejeżdża się co i raz samo. Ja staram się zagnać łóżko na miejsce. Niby wraca, ale jedną stroną kancieje od samoistnego odsuwu materaca, drugą stroną zbiera materac w grzyb–okap.
Szafka kulawa od siebie czy od podłogi. Podkładam papier w czwórkę pod jedną nóżkę — statecznieje. Każde zamiatanie salowej kasuje podkładkę. Robię nową. Podobno u Ludwika XIV czy XV też stoły, szafki nie chciały równo stać. Opracowywano równowagę nóg, równość podłogi, ale król podziwiał równostojność mebli, jeśli u kogo ją spotkał.
Pod łóżkiem trzymam brązową torbę z niepotrzebnym tu magnetofonem i gracikami, z papierosami z Pewexu do manipulacji. Taże torba jeździła ze mną po Egipcie, „Batorym" opływała Europę, latała ze mną po Ameryce. I towarzyszyła mi podczas latań przedzawałowych i zamieszania zawałowego w kasie PIW-u, w pogotowiu, wylądowała na reanimacji.
Głowiński radzi mi napisać „Pochwałę torby". Temat trudny.

Niedziela, 6 marca
Po okładzie na ręku (skutki igły) wyrzuciłem bandaż z watą i zgłosiłem się do pielęgniary o nowy okład. Nakrzyczała na mnie, że bandaż wyrzuciłem
— co za rozrzutność.
Speszony przelazłem z kolektora przez ciche przedsionki reanimacyjne do hallu schodowego. Pooglądałem widoki. Wierzbę za oknem, wodnisty marzec, kawałek tramwaju. I widoki w środku. Łysiejący fikus, łysiejącą chińską różę, podeschłą palmę i drugą nie podeschłą; to ta, o której słyszałem, mała, żeby pod nią usiąść, trzeba by klapnąć na podłogę. Obszedłem te okazy dookoła wylotu schodów. W połowie dostrzegła mnie zła już w ruchu portierko-szatniarka, wyszła na środek posadzki i mi nawymyślała z dołu do góry
— co to za chodzenie tutaj?
— już wracam — odpowiedziałem.
Więc czy pod palmą w ogóle nie wolno chodzić? czy w godzinach wizyt? czy niektórym? czy po kryjomu? Myślę, że ostatni sposób najpewniejszy.

Unikać widoku portierki na siebie. W tej chwili znów mnie podłączyli pod m o n i t o r.
Kazania niedzielnego, chcąc nie chcąc, wysłuchałem przez radio tudzież czegoś z telewizji.
Długie pozdrowienia i zaproszenia od strony Grochowa

MIRON

Warszawa 6 m 1983 szpital

ZBIÓRCZOŚĆ

w uchyłach drzwi ci i ci
niewiadomi podobni

szpitalny korytarz wzbiera
wszystkim, co się w siebie wziera
wdziera

łóżka stoją tu też
raz pełniejsze, raz pustsze

niedziela południe bździ
korytarz na węch widzi
bada

na jego łóżkach przysiada
to życie, to śmierć
to ich ćwierć

Szpital Grochów, 6 marca 1983 r.

ODMIANY ŁAPANIA TCHU

1.

biały sufit z balonami
z oddechami
pod nim leżący
to łapiący

2.

biały sufit
w dole na płask człowiek

pod sufitem bania z powietrzem
w człowieku poducha tchu flaczeje

nagle wzbiera samym wydechem

pod sufit pęka
cała męka

3.

tchawica
do czasu
unosi jak gołębica

zagrucha
przewraca

dech się skraca
odfruwa

powalonego duch rozpruwa
sam ze śmiechu rzęzi
że tak im dobrze było
na uwięzi
obu
zmyślonym

4.

raz
początkiem
puszczony
teraz

końcem
duszony
słyszy się:
e-he...
e-he...
e-he...
serce jest złe

5.

ostateczności
za pospolite ostatecznie
nie poważne
jakby niebyłe
żadne

[List 6]

7 marca, Warszawa–Poreanimacja 1983, tenże Grochów

Drogie Panie Profesor! Rano mnie od monitora odłączyli. Coś tam z za szybkim rytmem serca. To moja specjalność i przy pierwszym zawale. Rano miałem nakazaną krew do analizy. Trafiłem na tę, która nakrzyczała za marnotrawstwo bandaża. Ucieszyłem się. Pomyślałem, że taka pyskata i w średnim wieku, to świetnie operuje igłą. Tak było. Wpadłem w humor. Ona też.
— Tyle pan ma sińców... to efekty, jak to się mówi, uboczne.
W nocy i rano hula wiatr od Świętosławskiej. Okna brzęczą, nieszczelne. Wiatr zdążył przeziębić Raźnego Siwaka leżącego przy oknie. Po nim zaczął kichać Wojewódzki Urolog. Wreszcie doszło kichnięcie do mnie. Jedno, drugie. Ale się bronię.
Zaraz przyjdzie na obchód nasza lekarka, którą zrazu na „erce" wziąłem za Chinkę. Rysy. Warkocz. Cera. Oczy. Niechcący czytający dowiedziałem się, że Mandżurowie w połowie XVII wieku zajmując Chiny i obsadzając swą dynastię (Cin) przejęli od Chińczyków kulturę, ale narzucili im noszenie swoich strojów i warkoczy, które okazują się tradycją wcale nie chińską, a mandżurską. Ostatni zdetronizowany cesarz zdążył ściąć warkocz.

Raźny Siwak puszcza dużo gadań i muzyczek. Skoro tylko trafi się muzyka poważna, odruchowo wyłącza.
Była nasza Chinka. Powiedziała, że ją martwi mój smutnawy spokój. Ja na to
— nie jest mi smutno
— pan zawsze taki spokojny?
— tak i jeżeli to jest główne pani zmartwienie o mnie, to dobrze.
Oczywiście nie zawsze jestem spokojny, ale co jej miałem mówić?
Wyjaśniła mi, co z monitorem. Chodziło o sprawdzenie nieregularności uderzeń serca, jak są częste? Okazało się, że nieczęste, więc nie jest tak źle. Czasem jeszcze to posprawdzają. To mój drugi zawał. Muszą mnie tu dobrze mieć na oku.
Biedna Chinka była po wykładach, zmęczona. Urolog Wojewódzki bardzo podniecony jutrzejszym opuszczeniem szpitala zagadywał ją gęsto. Ona się przyznała, że na stojąco zasypia.
Po obchodzie weszła salowa, nie ta śpiewająca, a druga, która mówi, że jest salową, ale honor ma. Obślizguje podłogę mokrą ścierką, opowiada, moi sąsiedzi radzi mówią swoje. Coś o papierosach. — Pan pali? — ona pyta Raźnego Siwaka — to niech pan się nie przyznaje. Mnie chcieli wysłać do sanatorium, pytają „pani pali?", „palę", „to pani sanatorium nie dostanie".
Nareszcie wszyscy wyszli. Spokój.
Zgłosiła się nowa magister od gimnastyki (tamta na urlopie). Ale ponieważ miewam migoty serca, na razie ćwiczeń nie będzie. Po korytarzu też mam nie spacerować, oprócz przymusówek.
Na obiad biały barszcz, ziemniaki, gołąbek, sos pieczarkowy. Rzuciłem się na to. Właśnie o te smaki chodzi. Słodkiego teraz nie lubię.
Raźnemu Siwakowi zepsuł się telewizor. Przesadzają go do posiłków ze stolika na krzesło, potem znów na stolik, ale jak martwy totem!
Radio się nie popsuło. Nic a nic. Wichura. Słońce. Pohukiwanie drzew. Gibią się, plączą własną golizną. I na ścianie puszczają film z tego od razu.
Tuż nad tym oknem akwarium teatru: w oknie z firanką przesuwające się czepki, włosy i niecałe twarze pielęgniarek. Dla ucha dwu, trzy i czterogłosowe rodzaje motetów służbowych (z zabarwieniem osobistym).
Z korytarza stadne szczękanie talerzy, co jedne trochę ustaną, to drugie pobudzają i szczęk się rozindycza.
Nad wieczorem popadłem w znużenie z melancholijką. Serce mam

jednak zmęczone. Kiedy w końcu Raźny Siwak włączył telewizor — o dziwo! — nie zepsuty, wydał mi się przynajmniej na razie rozrywką. Ale na teleekranie dwaj panowie rozprawiają o nerkach. A ja mam dosyć organów wewnętrznych! Jako ciekawostek. Wreszcie zmiana: dziennik, to już lepsze.
Nie, nie! już po godzinie nie chcę telewizorka!
Godz. 10 wiecz. Przyszedł mnie zbadać lekarz dyżurny. Przy okazji skarżył się do Wojewódzkiego Urologa na kłopot z pacjentką, coś z nerkami. Urolog dawał rady, wreszcie obaj poszli oglądać zdjęcia rentgenologiczne. I tak to Urolog na 12 godzin przed opuszczeniem szpitala jeszcze raz się przydał.

8 marca!
Rano słabocha mnie oplątała z melancholią, a nawet splątała.
Południe. Lekarka Chinka pozwoliła według własnego rozsądku i zmęczenia korytarzować. Zostawiła gdzieś wczoraj aparat do mierzenia ciśnienia i coś z papierów. Nie dało się nigdzie odnaleźć.
Był jeszcze jeden obchód do mnie. Kto jak kto, ale lekarze są tu uroczy. Jakoś mnie pocieszyli, potłumaczyli. Przejechałem się piętro niżej wózkiem do rentgena, jedno zdjęcie zwykłe, jedno z trzymaniem papki w gębie bokiem.
Urolog Wojewódzki wyszedł stąd. Właśnie salowa, trzecia, prześcieła łóżko; ta śpiewa tak
„Kochany, mój miły
tak nie lubię tych twoich podróży"
i o poduszkach
„układać, układać"
bierze szczotkę ze ścierką
„Kochany, mój miły
tak nie lubię tych twoich podróży".
Jest drobniutka, podstarzała, w pewnej chwili
— co tam za hałas na korytarzu?
Raźny Siwak
— rozdają prezenty
— e
potem dodała
— wczoraj nam rozdali po dwie pary rajstop, jedne nasze, jedne niemieckie

„Kochany, mój miły
tak nie lubię tych twoich podróży".
Raźny Siwak układa się na łóżko, a ono wyskrzypuje kawałek mazurka. O, teraz się poprawił, przełożył, i zaskrzypiało z pół zwrotki wyraźnej melodii ludowej.
Ja wyciągając nogi zahaczam z klapaniem o moją pół-cmentarną tabliczkę (dzieje choroby).
Pozdrawiam. Czekam

Miron

[List 7]

Warszawa–Poreanimacja 9 marca 1983

KOCHANE PANIE EUMENIDY!
Dziś łóżko po Urologu Wojewódzkim było puste. Zabrakło też radia, które okazało się Urologa, nie Siwaka. Spokój duży. Telewizja rusza później. Ale już Raźny Siwak latał po automatach telefonicznych na schodach i chciał alarmować rodzinę o radio, skoro on tu — jak dziś zapadło — jeszcze ma być i w przyszłym tygodniu. Automaty nie chciały łączyć. Ale on zadzwonił z dyżurki. Tak że radio będzie. Ścierkował dziś podłogę młody, wysoki i silny salowy. Mówił:
— Nareszcie jutro mam wolne. Ja to się tu nudzę, bo co ja z tymi babami mam opowiadać? One tylko o ciuchach. W zeszłym roku miałem tu kolegę.
— A co pan dostał — pyta Raźny Siwak — na Święto Kobiet?
— Co ja dostałem? Nic. Mnie się tylko dostało po kieszeni. Jak było nasz dwóch, to wychodziło po 450 złotych na goździki, a jak ja jestem sam tu teraz król, to wydałem półtora tysiąca. Bo tu koleżankom. A zawieźć babci dwa goździki. Potem jednej bratowej do Miedzeszyna. Drugiej do Radości.
Raźny Siwak:
— Bo Darek z „erki" to się nie nadaje.
Salowy:
— Nie.
— Teraz tam jest i drugi.
— Ten drugi jeszcze gorszy ciapciak.
Parapsycholodzy telepaci jadą badać szóstym zmysłem Trójkąt Bermudzki. W tym kilku Polaków.

Radio już jest. Gra w miarę pół-cicho. I tak mam dużo cierpliwości, nie wiem skąd.
Wedle porozumienia z lekarką byłem dziś raz na spacerze całokorytarzowym z odsiadkami po drodze i drugi raz wieczorem pod palmą.
Brak mi wigoru, tego w środku też. Czytam coś. Uczytam dwie strony. W krowim tempie. Z krowim zainteresowaniem. Pól-zasypiam. Patrzę na ścianę. Myślę o ogórku kwaszonym. Nagle mi się coś przyśni i zaraz przebudzi mnie błysk otwieranych drzwi. Biorę książkę do ręki. Czytam. Znów czuję w sobie krowę. Zwalniam się, zwalniam — do zawieszenia w niewiadomym.

10 marca
Lepiej się czuję. Lekarka wpadła z dobrą wiadomością.
— Bardzo ładnie wypadła na zdjęciu sylwetka serca, to bardzo pocieszające.
Na korytarzu często spotykam starego pana Edwarda, który ze mną 2 dni leżał na „erce". Jego żona unieruchomiona w domu. Zajmują się nią i nim sąsiadki. Ta żona ma iść na operację. A p. Edward za tydzień pojedzie na Spartańską, tam mu wszyją w serce rozruszniki. Ma jeszcze chwilami w mowie resztki skutków lekkiego wylewu, który go nagle dopadł przy telewizorze. Ten drugi z „erki", gruby, „a czego tu się bać", chwali się, że już w przyszłym tygodniu wyjdzie.
Po obiedzie przywieźli na środkowe łóżko po Wojewódzkim Urologu pana, z którym leżałem 2 dni na gajówce. To dobrze, bo on jest spokojny. Teraz Raźny Siwak ma z kim pogadać. Spokojny pan w październiku leżał tu i przeszedł śmierć kliniczną, przywrócili go do życia elektrowstrząsami. Pytałem, co czuł. Nic. Traci się świadomość i tyle.

10 wiecz.
Wyszedłem na korytarz. Usiadłem w bocznej nawie na ławce, ale słychać od iluś godzin jęki starej kobiety z pewnego pokoju. „O Jeeezu". Pomyślałem, że nic tu nie poradzę, skoro lekarze nie mogą. Próbowałem jakoś wysilić się (czarodziejstwo?), ale mam na to jeszcze za słabe serce. Minął mnie młody lekarz dyżurny. Powiedział, że też nie może słuchać tych jęków. Dali jej jeden zastrzyk. Nie pomógł. Dali drugi. Pytam:
— Co jej jest?
— Nie wiemy, nie można się z nią porozumieć zupełnie, trzeba chyba sprowadzić psychiatrę.

11 marca

Lekarce Chince odnalazł się aparat do mierzenia ciśnienia. Pytała mnie rano teraz o niezbyt dobry humor. Ja jej na to, że rano zawsze tak. Ona skwapliwie przytaknęła.

— Ja też nie cierpię rannej pory. Najchętniej zaczynałabym pracę tak o szóstej wieczorem.

Orzekła, że prostują się u mnie komplikacje i niedługo może być mowa o ewentualnym terminie wyjścia.

Rano Raźny Siwak i sąsiad Spokojny pogadali sobie nieźle, zadowoleni, że mają z kim. U ludzi istnieje na ogół ogromna potrzeba mówienia. Puścili (dosyć cicho) telewizor, ale że było to o miłości staropolskiej, ilustrowane portretami, to zamknęli.

Wiatr znowu dobijał się do okien, całą noc. W pokoju chłodnawo. Ale ja już do tego przywykłem.

Byłem na korytarzu. Tamta wciąż jęczy, nie wiadomo, czy to fizyczne czy psychiczne. Polazłem do hallu z palmą, ale przeciągi jak na placu otwartym (a to plac zamknięty, ze schodami w dół). Balkon z drzwiami na oścież. Uciekłem. Korytarz znów zapełniony łóżkami z chorymi. Przeszkodą do spacerów jest spotykanie natychmiast pana Edwarda albo mijanie mojego sąsiada w zielonym szlafroku, Raźnego Siwaka. Wypiszą go we wtorek i tak go ponosi.

Odwiedziny pani profesor Eumenidy bardzo mi pomogły, bo poczułem się o wiele zdrowszy.

Przychodzi tu na noc pielęgniarz, szybki, gadatliwy. Spokojny mówi o nim do Raźnego Siwaka:

— To taki Moniuś, raz mówił „ja mam cienkie igły zagraniczne, tylko u mnie cienkie igły", jak zrobił jednemu zastrzyk, to tamten skoczył. To Moniuś.

Wyszedłem na korytarz. Usiadłem w bocznej nawie na kanapie. Przyszedł wysoki salowy. Mieszka w Falenicy. Ma gołębnik. Na dolnej kondygnacji matka trzyma kury, ojciec króle, na wyższej on ma swoich 40 gołębi. Nie traci na nich, bo za tyle, co im kupuje jeść, to sprzedaje niektóre. Prócz tego taka kombinacja: wypuszcza swoje gołębie w niebo, wtedy te gołębie odwiedzają gołębie jednego chłopa i część tamtych leci dalej. Jeden albo dwa siadają w gołębniku z gołębiami salowego. Za każdego salowy musi dostać od tamtego gołębiarza wykup.

Astmatyk z Miedzeszyna gawędzi z dwiema paniami, mieszkającymi jedna za drugą w korytarzu.

Spytałem o jęczącą. Dawno uspokojona, śpi. To coś neurologicznego. U przeciwnego końca korytarza z oknem na Al. Waszyngtona zaczyna się korytarz w prawo — wzdłuż okien. Polazłem nim. Korytarz skręca pod prostym kątem w lewo i okazuje się neurologią. Ma swoje schody. Wchodzi się w ul. obcych piżamowców.

12 marca

Poszedłem na spacer zakrętami korytarzów na neurologię. Z krańcowego okna widać stamtąd pojazdy jadące w poprzek następną wielką ulicą za Al. Waszyngtona. To Grochowska.

Dziś od rana puszczają nie za cicho to radio, to telewizję. Do tego wietrzą niekrótko. Na zmianę zatykam i odtykam uszy. Poszedłem posiedzieć i pospacerować do hallu. Tam wszystkie przeciągi skasowane, kaloryfery gorące. I nikogo. Wygrzałem się i nałykałem, ile mogłem, ciszy i luzu.

Wieczorem. Idzie idiotyczna komedia polska przez tele. Na korytarzu jęki z kilku stron.

Z moimi sąsiadami nie gadam. Tyle co kilka na dobę odezwań się technicznych. Nie chce mi się zupełnie z nimi gadać. Oni już do tego przywykli.

Łykam ileś na dobę pastylek naparstnicy. To ta, która kwitła wysoko ogromnymi głębokimi kielichami w ogrodzie Kici Koci. Różne kolory. Osy tam właziły, słońce świeciło. Deszcze padały. A naparstnice kwitły i kwitły.

Przedawkowanie wywołuje ból brzucha i mdłości. Już mnie to spotkało na początku. Teraz lekarka wyważa mi codziennie proporcje wedle objawów. Dziś mój brzuch trochę odczuwa ich zjadliwą ratowniczość.

Niedziela 13 marca

Czekam na gości, co przy moim nieużywaniu mowy w tutejszym pokoju zapowiada rozrywkę. A gości jak nie ma, tak nie ma. Koło moich sąsiadów siedzą ich goście. Korytarz roi się od gości. Dostawili łóżka. Przy każdej dostawce goście. Przy jednej kilkoro, a ona jęczy. Bo to same kobiety na korytarzu leżą. W bocznej nawie przy jednym chodzącym tzn. siedzącym szlafrokowcu z ośmioro gości w różnym wieku w różnych pozach, aż do kucek.

Słońce już mi wchodzi na łóżko — czas odwiedzin. Pamięta Pani (Pani Misiu), jak Pani w słońcu koło mojego łóżka siedziała.

Goście jednak byli.
Doniesiono mi (niestety) z miasta, że zalecane jest czytanie mojego *Zawału* jako terapii.
Moi sąsiedzi najedli się. Oglądają konkurs na lodzie, przewracają się z boku na bok i dogadują:
— O... wszystkiego nie pokażą... schyliła się... zdejm spódnicę... teraz to możesz wjechać na barierę...
Weszła pielęgniarka.
— Czy może tu przyjść taki dziadek na telewizję?
Raźny Siwak:
— Ależ oczywiście.
Dziadek już siedzi między łóżkami Siwaka i Spokojnego, okryty kocem przez pielęgniarkę komentuje:
— Przedtem to ruskie, ruskie, a teraz Anglicy.
Zaczęła się *Pszczółka Maja*, więc Dziadek poszedł.
Godz. 9 wiecz, teraz idzie ostatni odcinek sentymentalnie zrobionego *Martina Edena*. Sąsiedzi na pół patrzą, na pół zasypiają.

14 marca
Raźny Siwak jutro opuszcza szpital. Jeżeli ze mną dalej tak pójdzie, wyprowadzę się stąd we wtorek 22 marca albo we wtorek 29 marca (we wtorki wypisy). To, czy tydzień wcześniej czy później, zależy od tego, czy lekarka Chinka będzie mnie jeszcze potrzebowała i chciała obserwować. Czekam, kiedy teraz każą mi powoli wchodzić na schodek, na dwa, na trzy. Bo na półtorapiętrze jest telefon, a to w szpitalu rozrywka i ułatwiacz życia.
Popołudnie. Przyszła do Raźnego Siwaka. Zabieranie rzeczy. Telewizorka. Radio do jutra zostaje. A nie — radio też się zabiera.
Spokój.
Ciekawe — kto na to miejsce? z jaką akustyką?
Wpadła sprzątać dokładnie pokój ekipa ze studenckiej spółdzielni „Maniuś". Wyszedłem na spacer. Okazało się, że sprzątaczom spodobały się moje rozrywki lekturowe. Nie wiedziałem, że szpital wynajmuje „Maniusia".
Wieczorem odwiedził mnie Tadzio o zupełnie późnej godzinie. Siedzieliśmy godzinę w bocznej nawie korytarza na kanapie, nikt go nie gonił. Przez ten czas przywieźli liliputa, ale go zabrali na drugie piętro (sam szedł, stąd wiadomo, że liliput).

W moim pokoju Spokojny rozgadał się. O głodomorze. Raz na święta ludzie mieli w lodówce różne jedzenia. Głodomór zakradł się w nocy i wyjadł iluś (z ośmiu) osobom schab, parówki, szynki, kefir.
— I to wszystko zjadł na raz? — pyta Siwak.
— Na raz. Przecież nie schował, bo gdzie.
Potem opowieść, jak niedawno tu z reanimacji jedna uciekła. Mąż na nią czekał z taksówką. Na drugi dzień ją przywieźli.
Na korytarzu leży pani z małym radyjkiem na uchu i policzku.
Spółdzielnia „Maniuś" (ze sześcioro ich) posprzątała wszystkie pokoje, teraz myje korytarz.
Przywieźli pielęgniarkę z innego oddziału w stanie znarkomanienia. Dają jej kroplówki, związali ją. Jest nieprzytomna.
Dwie osoby połączone długimi rurami ze zbiornikami tlenu.
Spokojny rozbawił się i coś zaśpiewał.

15 marca
Raźny Siwak już miał wyjść za dwie godziny, kiedy okazało się, że ma dodatkowe uderzenia serca. Zostaje na co najmniej kilka dni. Odwołał żonę, która już miała przyjść z kwiatami.
Spokojny przytoczył opowieści o takich, co już byli ubrani na korytarzu, pogarszało im się nagle i zostawali. Jeden umarł nagle przy zakładaniu butów.
Jutro mam iść z lekarką na pierwszą próbę schodów.
Przyszła żona Siwaka. Naniosła mu różności na dalszy pobyt. Wróciło radio.
Wszystkiego Dobrego
i nawzajem

MIRON

Do 10-go roku życia mieszkałem z rodzicami, Nanką, Sabiną, mężem Nanki pijakiem i dziadkiem Walentym Białoszewskim razem — na Lesznie — w pokoju z kuchnią. Dziadek był majstrem stolarskim i miłośnikiem polskich książek. Na zrobionej przez niego etażerce stało ich dużo od dołu do góry. Stare wydania, większość z XIX wieku albo z przełomu. Po śmierci dziadka w 1938 roku w mieszkaniu na Lesznie mieszkała tylko Nanka z Michałem. W kuchni. Bo pokój wynajmowała sublokatorom. Etażerka z książkami dalej stała. Właścicielką ich była Nanka, ale mnie uważała za spadkobiercę. Mogłem sobie wziąć, co mi się chciało. Byłem skromny i nie przyzwyczajony do posiadania. Zabra-

lem tylko do domu pocztowego na plac Napoleona czterotomowego zielonego Mickiewicza. Ballady Mickiewicza deklamował zawsze wobec gości synek brata dziadka, o wiele młodszego od Walentego. Raz na placu Napoleona nocowała u nas ciocia Józia, z zawodu bieliźniarka. Kiedy jeszcze pół spałem w łóżku, ciocia Józia ubrana klęczała koło półki z książkami i mówiła pacierz. Pacierz się przedłużał. Zerknąłem z łóżka. Okazało się, że ciocia Józia — nadal na klęczkach — wertowała Mickiewicza, od razu go odnalazła w zasięgu ręki. To od cioci Józi znam melodię „Nie dbam, jaka spadnie kara". Ciocia Józia oświeceńszej części rodziny wyjaśniała np., że śmierć Barbary Radziwiłłówny namalował nie kto inny, jak Simmler. Z dziadkiem Białoszewskim śpiewali sobie walca z *Fausta*, bo kochali opery. Dziadek marzył, żeby zostać rzeźbiarzem. Został stolarzem. Ale używał sobie na meblach.

Dziadek czytał książki, które kupował. Słowackiego też. W okresie, kiedy ja się wziąłem za Słowackiego, dziadek w rozmowie o nim nagle stwierdził, że *Poema Dantyszka o piekle* jest słabsze od innych poematów. Nosiłem się z tomami Słowackiego z prywatnych czytelni. Raz w szkole na korytarzu przed popołudniową zbiórką (harcerską?) kolega złapał mi spod pachy tom, otworzył na byle stronie. Przeczytał na głos:

„żonka
pieczonka
koronka"

strasznie się śmiał. Odebrałem książkę, oburzony. Znalazłem się po drugiej stronie barykady — tak nagle — z taką wielkością. Mnie też z początku dziwiły te rymy, ale miałem do Słowackiego ogromne zaufanie. Raz jeszcze w życiu poczułem się po drugiej stronie barykady z Mickiewiczem. Odstawiałem w 300-osobowej sali w Puławach w 1960 r. samotnie fragmenty IV części *Dziadów*, Gustawa. Ze strony widowni nie mogłem odczuć żadnej reakcji. Aż się zląkłem — za siebie i Mickiewicza. W tamtych czasach, moich 15 lat i „mrzonki", „pieczonki" otworzyłem pewnego dnia na Lesznie u Nanki otomanę. W otomanie leżały stare fiszbiny, kawałki gorsetu, dżety, pukle włosów na pałąku, takim jak do słuchawek radiowych. Jeszcze się wtedy wspominało panny, które wypychały sobie za chude łydki gutaperkiem. Między gratami znalazłem białą książkę, broszurowo-miękką, ale sporą. Jej tytuł *Rymy Xiędza Baki*. Zajrzałem do środka. Bardzo mnie zaskoczyła. I zajęła. Przedziwne rymowanie. I tyle w tym o śmierci.

Kiedy czytałem później ze sporym, ale nie za wielkim zainteresowaniem

Trzech muszkieterów Dumasa i trafiłem na bohatera, który układał poemat z jednosylabówek, zdaje się na 400 wierszy, nie zaimponowało mi to. To sztukmistrzowskie, ale za komiczne. To nie ksiądz Baka.
W latach 1939–42 mieszkaliśmy znów u Nanki na Lesznie, bo Niemcy zajęli nasz gmach poczty na placu Napoleona. Znów zaglądałem do *Rymów Xiędza Baki* i dziwowałem się z życzliwością. Czytałem po kolei stare książki z etażerki dziadka. Książki wtedy przecież nie wychodziły. Czytałem jakiegoś polskiego autora scenę między wężem, Adamem i Ewą; artykuły Sienkiewicza o Zoli.
No i miałem rację. Wybuchło powstanie. Wszystko to z domem na Lesznie spaliło się. Tomy Mickiewicza na placu Napoleona albo Niemcy wyrzucili, albo też się spaliły. Gdybym jeszcze cokolwiek z tego miał na Chłodnej (1942–44), też by się spaliło.

Pisane w szpitalu 13 marca 1983 r.
dla Pani Profesor Marii Janion

Miron Białoszewski

[List 8]

Warszawa — szpital grochowski, 17 marca 1983 r.

Kochane Panie Eumenidy!
Wczoraj dostawili nam czwartego pana w poprzek, bo przez nie-wyjście Raźnego Siwaka zrobił się zator w przepuście po-reanimacyjnym. Pan Dostawiony cichy, nie wadzący nikomu. Korytarz ciągle przemeblowują. Przesuwają łóżka. Jedni chorzy wchłaniani są przez pokoje, zjawiają się na ich miejsce nowi. A jeszcze inni ubrani opuszczają korytarz z teczką, rodziną i dumą. W południe przywieźli babuleńkę, ułożyli ją blisko naszych drzwi. Spokojny wyszedł na korytarz, wrócił, mówi:
— Ta staruszka to patrzy w górę, ona do Bozi.
Wyszedłem sprawdzić. Tak, oczy w górę, jakaś tam kroplówka do ręki. Po południu wychodzę, a tu łóżko osłonięte dokładnie białymi parawanami. Zaglądam — nie widać nikogo. Ktoś przechodzi, mówi:
— Tam nikogo nie ma.
Ale ja potem zauważyłem wystające spod przykrycia siwe włosy.
Podobno po pewnym długawym czasie ktoś się zbuntował, że staruszka za długo tu leży. Ktoś inny oznajmił:
— I zabrali ją łapiduchy.

Dziś na jej miejscu leży nowa pani z kroplówką i śpi.
Ja miałem przymusowe ćwiczenia gimnastyczne z panią magister. W pokoju u panów sąsiadów — bo oni też ćwiczą. Nie dałem rady wszystkiemu, choć to na siedząco. Magister pocieszyła, że na drugi, trzeci raz będzie lepiej. Była w bardzo efektownym stroju i w ogóle efektowna p. Hania K. Kapelusz z dużym rondem. Aż sąsiedzi wyrazili od razu zadowolenie. Od p. Hani wiem, że p. Małgosia marnie się czuje. I to nie jest dobre. Pani prof. Misia jest ostatnim filarem zdrowia. I musi nim być.
Siwak zamyka automatycznie wszelką muzykę cokolwiek poważną. Raz natrafił na skrzypce, aż się zląkł:
— Ojojoj! — i zatrzasnął.
Spokojny mu przywtórował:
— Pitulenia...
Spokojny dostaje środki popędzające siusianie. Pije wielkie ilości. Ja też niemało (tutejsze i z domu) i ileś razy na dzień snuje zdania o jedzeniu i piciu.
— Szyneczka... woda z bąbelkami albo dobry biały barszczyk.
Obaj z Siwakiem co pewien czas patrzą w okno, co z samochodem (prywatnym), który stoi na ulicy, raz przykryty płachtą, raz odkryty, raz ten, raz inny. I stwierdzają, że tu mieszka nie najgorszy kombinator.
Wieczorem nie bardzo z sercem, od 3 dni zmęczenie (na leżąco też). To zmęczenie przeszło w uścisk z przebolewaniem. Dostałem dwie pastylki pod język. Powróciło do zmęczenia z lekkim ściskiem. Moja opiekunka, siostra Bożeny z PIW-u, w tej chwili odwiedziła mnie w szlafroku. Ataki astmy. Leży na moim oddziale nagle.
Lekarce Chince pożyczyłem *Zawał*, bo chciała.
W wychodku oparci o leżankę dwaj palacze (palarnia pod oknem) i salowa, oparta o parapet łokciami. Gadają, gadają.
Przed wychodkiem mieszkaniec korytarza, kwadratowy cieleśnie, narzeka, że nie ma się gdzie położyć. Na to ktoś:
— Połóż się i śpij.
Użeranie się dalsze. Tymczasem swobodnego dojścia do „kabin" nie ma (w dodatku jedna grozi zapchaniem).

18 marca
Z sercem uspokoiło się. Dobrze się spało po proszku nasennym. Rano w ustępie słyszałem rozmowę:

— Ale te siostrzyczki lubią pana, tak z panem ostrożnie wczoraj, jak pan rozrabiał.
— Szósta próba samobójstwa.
— Szósta?
— Szósta, poszedłem do domu kultury, psycholog za mną szła, mówi, że jestem naćpany, stan depresji.
— A z czego?
— W domu przykrości.
— A kto ich nie ma? Trzeba na życie patrzeć radośniej.
Wytrzymuję w szpitalu. Bo narzuciłem sobie, że muzyka rozrywkowa i gadanie półgłosem nie przeszkadza mi za bardzo. Przyzwyczaiłem się do całości. Ale to jest wciąż życie publiczne. Nie ma samotnego zakątka, nie można się nawet swobodnie umyć. Chyba że dostanę pozwolenie pod prysznic.
Niedaleko palmy stoi szafa biblioteczna. Miała urlop do wczoraj. Dziś nareszcie zastałem ją otwartą. Bibliotekarka na stołku przy stoliku pozwoliła grzebać. Wybrałem ze 3 książki i pewniejszy siebie wróciłem na łóżko. Teraz pewnie będzie gimnastyka, o ile zajdzie do nas pani magister: Gimnastyka na siedząco. W sąsiednim pokoju. Wczoraj bardzo mnie zmęczyła, ale wczoraj byłem gorszy.
Anula z Anina przywiozła mi też lekturę. Broszury parapsychologiczne. Jedna — przedruk przedwojennej książki polskiej o leczeniu mesmeryzmem.
Gimnastyka poszła dziś o wiele lepiej. Spokojny czuje się coraz lepiej. Podśpiewuje razem z radiem. Wczoraj posprzeczał się z piżamowcem, który z innego pokoju przyszedł do nas w odwiedziny do pana Dostawionego. Gość w piżamie o ośrodku w Aninie, że niedostępny. Spokojny zdenerwował się:
— Bzdury pan opowiadasz, bzdury, ja tam byłem.
I jeszcze pokłócili się o pewną profesor z Anina, czy ma 50 lat czy 70 i czy jest czy nie jest żoną dostojnika B.

Sobota 19 marca
Wkrótce po wyjściu Pani i Przemysława Brykalskiego przywieźli w okolice naszych drzwi jęczącego mężczyznę, podłączyli pod tlen. Ale on zaraz umarł. Już nowa pani leży na jego łóżku. To łóżko jest niedobre, bo niedawno przecież umarła na nim babuleńka. Ale nowa pani wygląda na osobę do życia.

Niedziela 20 marca
W drugiej połowie korytarza mieszkają rzędem na łóżkach cztery panie. Rozmawiają ze sobą, ożywiają się w nocy. Tak im się podoba ten sposób „leżenia", że nie chcą iść do pokojów, chociaż w pokojach są już wolne miejsca.
Już panią z niedobrego łóżka wzięli na salę, na jej miejscu leży uczepiony trzech kroplówek młodzieniec à la święty Wawrzyniec na ruszcie i nieprzytomnie woła:
— Szybko! Szybko!
Podobno to cukrzyk.
Dziś podszedł do mnie pan ze wspólnej gimnastyki i spytał, czy nie mam przy sobie którejś swojej książki. Miałem *Rozkurz* (dla kogoś z lekarzy), więc mu pożyczyłem.
Wczoraj na obchodzie młodziutki lekarz o wyglądzie maturzysty spojrzał na moją tablicę:
— O ile wiem z literatury, to już drugi zawał.
Więc trochę urosłem we własnym mniemaniu.
Lekarka Chinka — o czym chyba wspomniałem — czyta mój *Zawał*. Jeszcze nie wiem, co o nim myśli.

Poniedz. 21 marca
Okazało się, że cukrzyk miał już atak śpiączki. Zabrali go na reanimację. Spokojny oznajmił, że śniło mu się, że robaki mu chodziły po uszach, po oczach.
Radio gra. Raźny Siwak słucha jednocześnie opowieści Spokojnego i radia. Pan Dostawiony też słucha. Też się do nich nadaje. Tu ogromna większość się do siebie nadaje.
Byłem już na schodach, wysokim półpiętrze, i serce dobrze wypadło. Okazuje się, że zrobienie takiego pięterka dla serca to jest tyle, co przejść po równym 3 km. Chodzę na spacery korytarzowe, nieraz z p. Kaliną (siostrą Bożeny), która przechodzi tu całą przeciwastmatyczną kurację. Tego cukrzyka ratowali w nocy. Serce mu stanęło, ustał oddech. Ale lekarz dał mu 7 uderzeń elektrycz. w serce i ożywił. Teraz uratowany leży na „erce". Nic nie wiedział do tej pory, że ma cukrzycę.
Podobno wiosna, ale ja jej tu nie czuję. Tu jest niezmienny klimat korytarza i trochę w salce powiewu od okna nieokreślonej pory.
Serce mam od wczoraj wieczoru znów jakby zmęczone, ale to się będzie ciągnęło. Poza tym kaszel sercowy, zwłaszcza przy mówieniu.

22 marca
Trochę lepiej. Usiłowałem dzwonić do Pani (Misi) i do Małgosi. Ale południowa godzina niedobra do zastania.
Lekarka nakazała mi większy rozruch. Przymierzanie się do życia, które oni chcą jeszcze zaobserwować. Wyjdę — jeśli szczęśliwie pójdzie — koło przyszłej środy (31 marca). A Konstancin w połowie kwietnia. Dostałem pozwolenie na prysznic.
Pozdrowienia.
Do widzenia się

MIRON

Otworzyli kwaterę okna. Zimno. Radio się drze. Zaklejam uszy jak mogę.
„Kochaj bliźniego". O taką książkę dopytuje się jedna z lekarek. Jej córka to czyta, ale zakończenia brak. Ja wiem, jakie jest zakończenie „Kochaj bliźniego"*. Ale im nie powiem.

MIRON

* „— kurwa twoja mać!"

[List 9]

Warszawa, 25 marca 1983

Kochane P. P. Eumenidy!
Młody cukrzyk umarł jednak tamtej nocy.
W pokoju p. Kaliny, siostry Bożeny z PIW-u, leży 26-letnia histeryczka, która wciąż się wsłuchuje w swój organizm, każe sobie poprawiać poduszki, wzywa lekarza, a jak do niej przyszła matka, to się nagle poderwała, że nic jej nie jest. Ma dwoje dzieci. Nie chce jej się wracać do nich do domu.
W innym pokoju leżała z plastrem nad ustami do przytrzymywania rurki tlenowej stara pani. Okazało się, że to Polko-Amerykanka, b. bogata, późnym wieczorem nocnym była tam u niej rodzinka, m. in. kobieta w bogatym białym futrze. Zabrali ją do Otwocka.
Jedna z salowych, podobna do pół-króla Goździka i do pół-Baby Jagi w pokoju po bogaczce robiła awanturę innej starej, nie-bogaczce:
— Mówi pani, że pani nie nasrała, a co pani ma na szlafroku? A co się za panią ciągnie. Patrzcie ludzie, a ona mówi, że się nie zasrała.

26 marca
W nocy sąsiad Spokojny wziął się do jedzenia ogórków w słoju.
— Do rana mogę umrzeć, szkoda by ogórków. Właśnie śniło mi się, że umarłem.
Mój zawał chyba nie był mały. Zdaje się, że nawet spory. Tyle że dobrze się serce postarało. I lekarze są zadowoleni.

Niedziela 27 marca
Mija się w otwartych głębiach pokojów maski śpiących starców, jak maski pośmiertne, zapadłe w sobie, nieruchome.
Ta babka, której robiła o paskudzenie awanturę salowa, chodzi — bo blisko — do męskiego ustępu, kabiny często zajęte, wtedy ona siusia i wali kupy na posadzkę.

Poniedz. 28 marca
Śniło mi się, że ja i Pani schodziliśmy z 1-go piętra. Albo ode mnie z mieszkania, albo z piętra sklepu. Prosiłem, żeby Pani zeszła pierwsza, bo ja jeszcze mam coś (chyba) pozamykać. Kiedy zszedłem, nie było Pani już w sklepie na dole. Na ulicy ciemno, też Pani nie widzę. Niepokój. Rozglądam się. Ktoś idzie. To nie Pani. Wracam do sklepu. Główna ekspedientka trochę niezadowolona trzyma drzwi uchylone do zamknięcia. Mówi:
— Ta pani poszła.
Znów wychodzę na ulicę. Pani nie ma. Przystanek. Facet podchodzi do mnie, mówi coś o Polakach, przyciska mi rękę do włosów, cisnąc w dół, popycha na jezdnię. To samo robi z kimś drugim. I tyle.
Zbudziło mnie rozdawanie termometrów.
Tętno mam przyspieszone. Ale jutro — wyjście.
Zszedłem na EKG. Minął mnie wieziony w zielonym pokrowcu nieboszczyk. To dobry znak. Zawsze przy wyjściu ze szpitala spotykałem nieboszczyków. Przynosili mi pomyślność.
Salowy Zygmunt powiadomił nas, że są już przywiezieni dziadkowie na święta.
Tak, więc wtedy doktor mnie pocieszył, że to był mały zawał, żebym się nie przejmował. Tymczasem to był ciężki zawał. Nie będę już mógł wyjeżdżać w dalsze podróże, trudno.
Jeszcze dziś miałem gości. Jutro przewiozą mnie samochodem na Hożą.
Moi współlokatorzy czytają gazetę, śpią, puszczają radio, mówią

pół-żartem z pól-smakiem o jedzeniu — jajeczko, chrzan ze śmietaną, szyneczka, woda z bąbelkami.
Potem znów przerwa, wiercenie się, podsypianie. Potem podchodzi dwóch, a potem trzeci do okna i oglądają ulubiony samochód (czyjś), który tu przeważnie stoi naprzeciw. Komentują, debatują.
Anula przeczytała mi horoskop współżycia Chopina i George Sand. Oraz opowiedziała horoskop Polski. Punktem wyjścia był chrzest. Ich wykładowca, ich „pan" od astrologii musiał koniecznie wiedzieć godzinę chrztu Polski. Doszedł do wniosku, że musieli dojechać, odjechać, mieć czas na to. A więc chrzest Polski musiał być w południe. Inny pan w transie widział Ostatnią Wieczerzę. Chrystus miał włosy rude, aż czerwone, oczy szaroniebieskie, dosyć duży [nos? — przyp. red.], piękne ręce, jeden paznokieć małego palca bardzo długi. Piotr z brodą krótką, rozczochraną, nie bardzo czystą. Andrzej wymuskany. Jan z krótkimi włosami. Judasz ze wszystkich najprzystojniejszy.
Salowym rozdałem już pieniądze. Jutro dam kilka paczek zagranicznych siostrom. Kawę dla pani doktor musiano mi ukraść, bo po prostu jej nie ma. A była! Zamówiłem już wobec tego kwiaty.
Jutro minę się z telewizorkiem, który tu wraca na święta. Jestem już b. uodporniony na towarzystwo i radiotele.
Wiele pozdrowień
Do usłyszenia się (telef)

MIRON

Kawa znalazła się w szafce!

[List 10]

Anin 4 maja 1983 czyli ninie w Aninie

Kochane Panie Profesor Eumenidy!
Już jestem tydzień w tym sanatorium, które zwie się pawilonem G albo kliniką rehabilitacji.
Dowiedziałem się, że mam duże zmiany w płucach, nie gruźlicę, tylko jakieś rozedmowe. Więc mam w sobie nowy zestaw chorób. Ja jako całość fizyczna — dosyć szmelcowata. Jeszcze mnie na dodatek pobolewają ślady urologiczne.
W końcu przestałem się przejmować. Dziś zimno, to nie wychodzę. Ale tak to ruszam w świat z półtora kilometra. Nie za prędko, czasem

odpocząć. PIW-ianki były tu. Naniosły mi soków, jabłek. Anula z Anina, więc z obok, uczy w szpitalu (obok) angielskiego doktorów i docentów. I zagląda do mnie, podrzuca mi zieleniny, na które od zawału bardzo lecę, wciąż mając w pogardzie słodkości. Aż tak się zmieniłem!

Co prawda, gdybym się dorwał do prawdziwych ciastek, to bym od razu zjadł dziesięć. Więc lepiej nie tykać, nie wąchać.

Słowiki drą się tu od 1 maja. Dziś kukała kukułka. Kwitną gruszki, jabłonie, bzy, zaczynają kasztany.

Czytam. Słucham swoich taśm (przez słuchawki). Czytam książczydła, a to Ramuza, a to Forrestera, a to międzyplanetarno-kryminalne. Wstawać trzeba na ciśnienie i tętno o 7 rano. Nie jest źle. Ale ja nie mam w sobie radości życia. Najwięcej jeszcze czegoś tam dochrapuję się wieczorem w łóżku (z dobrego nastroju), ale wtedy od razu robi się dziesiąta, jedenasta, trzeba łykać prochy nasenne, bo tylko 7–8 godzin do spania.

Współlokator ma duże, olbrzymie zalety:

1) mało mówi

2) nie puszcza radia.

Jak tłumaczyłem przez telefon, nasz pawilon stoi na krańcu terenu sercowego, prawie w lesie. Zbudowany na wzór klasztorku. Kwadrat wirydarza w środku. Dokoła tego w kwadrat korytarz. Dokoła tego w kwadrat zewnętrzna drewniana galeria pod dachem z otwarciem na świat (drzew, traw). [Kwadratura koła] Do kuchni z korytarza wchodzi się z łomotem i potrząsem przez otwartą na dwie strony windę. Ta winda nie idzie na żadne piętro, tylko w dół, gdzie jest podziemne przejście do szpitala. Tędy jadą kotły i latają w zimie lekarze. A teraz może złodzieje. Bo przedwczoraj sekretarce z sekretariatu ukradli całą pensję i rentę jej matki, wczoraj okradli z pieniędzy w pokoju dwóch pacjentów. Dzisiaj ksiądz–pacjent z drugim pacjentem świeckim zbierali na pocieszenie dla sekretarki. Dałem 1000 zł, inni chyba też sporo. Jest nas tu wszystkich pacjentów dwadzieścioro. Cztery baby (w tym dwie b. grube). Reszta chłopy. Wejście do pawilonu ma drzwi podwójne, jedne kryte, jedne — te ode dworu — szklane. Zawsze ich przezroczystość myliła, że można przejść przez szkło.

Dziś wychodzę. Szkło przezroczystsze niż dotąd. Wyciągam ostrożnie palec. Palec przechodzi na wylot. Za palcem ja cały przechodzę na wylot. Szkło znikło. Nawet aluminiowe listwy naruszone, wychapane.

Za drzwiami drzewo. Na pniu drzewa od dołu do góry ciężkie ślady jakby po pionowym chodzeniu ciężkiego anioła. To pewnie on przeszedł pierwszy przez szybę, tłukąc ją bez śladu. A przedtem jeszcze może przy okazji ukradł tu i tam pieniądze.
Kiedy leżałem w szpitalu, włamali się do lewych i prawych sąsiadów za jednym zamachem. Popsuli zamki, nawet futryny. Zabrali jednym srebro, skarpetki i inne, drugim z filiżanek złoto. Mnie oszczędzili.

5 maja
Mój sąsiad posprzeczał się z pielęgniarką o słanie łóżka. Dowiedziałem się dzisiaj, że EKG wypadło dobrze. Że te rozedmowości to stara sprawa pogruźlicza, nie nowa zawałowa. Więc z tym żyło mi się nieźle. Tętno lubi mi się podnosić przy ruchu, ale tym — lekarka orzekła — nie trzeba się przejmować. Mam tu tętno nieco duże (do 100, 120, ale nieraz 88). I podobno to sprawa wyrównania leków.
Nie mogę prędko chodzić ani dźwigać, ani stać gdzieś dłużej (w ogonku). Trzeba z tym uważać do roku. Więc jest nadzieja, że później będę troszeczkę silniejszy na sercu, w sobie. W co trudnawo mi uwierzyć. Wiara tu przeczy nadziei. A racja: niewiara! Więc w porządku. A co z miłością? Pod wieczór mógłbym niekiedy kochać trochę tych i owych ludzi. Rano — nie tak mocno. Choć pamiętam, że często wracając rano do domu żal mi było tych zaharowanych i wstyd, że ja jestem wolny.
Teraz jeszcze zostaje nadzieja na przyszłość daleką, nieco po życiu. Co łączy się z wiarą (w siebie i odbiór). Bo mowa tu o pamięci, więc głównie o skutkach pisania. To też się łączy z miłością, bo czytelników na jakiś sposób przecież się kocha. Przynajmniej w czasie pisaniowo-czytaniowego kontaktu, który rozciąga się w czasie, i chodzi o to, żeby w jak najdłuższym czasie.
Tego, co później kiedyś po mnie — nie będę przeżywał. Ale przeżywam to trochę teraz. Jest to nieco analogiczne z przeżywaniem, mimo odległości. To tak wygląda z mojej strony. Czytelnika nie obchodzi (raczej), czy ja żyję, często o tym nie będzie wiedział. I to wtedy też mnie ożywi, czego nie będę czuł wtedy, ale mogę poodczuwać potencjalnie na zapas teraz, szczególnie przy pisaniu.

MIRON

DRZEWA — KWIECIEŃ — UWAGA

jeszcze w liściach nie są
już w omgiełkowaniach są

z daleka mijane ich konstrukcje
na nowo wkopują się
stają
kuszą
łapią
wykręty równowagi

Anin 2 V 1983

Wielkie pozdrowienia i uściski

MIRON

Anin 3 maja 1983

SERCOWISKO

tu sanatorium w lesie
sercowe

serce samo
serce z czymś
serca na naczyniach drzew czy ludzi
ludzie do okien
okna do drzew
serca skaczą po drzewach
słońce
wyjada niedopowiedzenie
życie się oblizuje

opary
serca
wiszą
od pnia do pnia

wsiąkają
w przewrotny labirynt
pękają

Anin 8 maja 83 r.

KAB — KICI KOCI
OPERA LEŚNA
(KICIA KOCIA, SYBILLA GROCHOWA oraz BŁOGOSŁAWIONA SIWULA Z WISZNU WOLI wynajmują mini-sanatorium-pustelnię)

KICIA KOCIA
Bardzo tu... bardzo...
SYBILLA GROCHOWA
Nie wynajmiemy docenta?
BŁOG. SIWULA
Bynajmniej! Samolecznictwo!
(tańczą) WE TRZY (dokoła sosny)
Samolecznictwo
to nie tylko wygodnictwo!
ZZA DRUGIEJ SOSNY
Ku-ku!
WSZYSTKIE TRZY
Torby! Pieniądze! Pierwsza kukułka!
(zza sosny wylatuje) STRESA
A ku-ku!
To ja
Rzuciłam wszystko!
Nie wierzę w nic!
ONE (do niej)
Dali-go stąd!!!
(i w tan)
Samolecznictwo
to antyszkodnictwo!
BŁOG. SIWULA
W drugą stronę!
WE TRZY (tan, śpiew)
opera leśna
(nagle migają nagusy)

nie musi być obleśna.
(migają nagusy)
ONE (stają)
Gdzie my trafiły?
Co my wynajęły
(Wśród nagusów) STRESA (nagle krzyczy)
Nudyści!
Ośrodek!
Sam środek!
Nie nago? Dali-go!!!

Anin 26 maja 1983 r.

CHOROBA

Nie wychylać się
dosłownie
nie rozruszać
dosłownie
mszczą się zużyte metafory
a dosłowności biologiczne
to potwory
ja
ich skrzyżowanie
pokrzyżowanie siebie sobie
czego się tak wypieram?
możliwości?
które się czaiły
jeszcze coś z czegoś wybieram
jeszcze się czają niemożliwości

[List 11]

Anin 13 maja 1983 r.

KOCHANE PANIE PROF. EUMENIDY!
Już mi zaczął brzydnąć piękny Anin, już mnie ogarniała od środka (tętno) i od okna melancholia, zagęszczała się (we mnie i wkoło mnie). Dużo mi się nieraz myśli o możliwościach psucia się i dobywania do

końca, o tarapatach obronnych, o utrzymywaniu i traceniu osobistej (fizjologiczno-bytowej) wolności, niezależności.
Podliczałem moje próby generalne zdychania (to najtrafniejsze słowo, od tracenia tchu). Wypadło ich dobrych kilka, choć nie miałem aż takich ambicji, do imponowania starczyłyby dwie.
A to było tak:
W czasie wojny przebywałem paskudną kurację i po pewnym zastrzyku na progu gabinetu lekarza myślałem, że cały pęknę, że tryśnie mi krew z głowy. Wepchali mnie na fotel, wbili zastrzyk prosto w serce, co mnie uratowało.
Po wojnie piliśmy ze Swenem Czachorowskim w Kobyłce groźne ilości ekstraktu kawowego; stare puszki z zastygłą na lawę nescą, wrzucało się do garnka, gotowało, spożywało. Jednej nocy w Kobyłce w łóżku dostałem arytmii serca, trzepotu, drgawek, ustanięć bicia, znów drgawek, aż serce nagle stanęło. Zerwałem się, serce nic, ja czuję, że padnę w apopleksji, krzyczę:
— Kropli!
Serce wciąż stoi. Mama Swena podleciała z sokiem świeżej waleriany, golnąłem, serce zaczęło bić.
Między gruźlicą a zawałem na pl. Dąbrowskiego budziło mnie o świcie krztuszenie się, tzn. zatkanie gardła i tchawicy, zrywałem się w kucki i do balkonu i tam w rzężeniu walczyłem o złapanie tchu. To było kilka razy.
W międzyczasie topiłem się, wciągany w jezioro przez nie umiejącego pływać.
Niedobra noc ze skróconym oddechem podczas ostatniego zawału, co i tak było najlżejsze.
Wczoraj miałem słaby dzień. Lekarka na wieczór dała mi pół pastylki na zwolnienie serca, a to zadziałało źle: gorąco w głowie, słabości, ciężki oddech. Lekarka i pielęgniarka zaczęły koło mnie skakać. Zastrzyki z eufiliny i czegoś tam, sorbonity. I siusianie — jako konieczność. Wzięły mnie (fotelem na kółkach) do gabinetu zabiegowego, tam na wysokim łóżku leżenie, badania, zastrzyki, EKG. EKG wychodziło dobre. Po prostu rozedmowe oskrzela nie zniosły zwolnionego rytmu serca. Przez kilka godzin zasypiałem na kilka sekund, łapałem krótkie, trudne oddechy, potem dłuższe, te mnie usypiały na moment, ocknięcie się i łapanie tchu i tak w kółko. Nagle o 3 godz. w nocy obróciłem się na prawy bok i zacząłem oddychać całkiem swobodnie. Poczułem się

właścicielem życia. I podejrzewam, że niebo chyba ma polegać na nieustającej pierwszej chwili szczęścia.
Teraz jest dzień, leżę znów na swoim łóżku, czuję się świetnie psychicznie i fizycznie, patrzę z wdzięcznością na drzewa (całą noc przeleżałem w gabinecie, bez tego widoku od świtu) i nabrałem chęci i siły na ten list. Nawet napisałem drugą wersję

DRZEWA — KWIECIEŃ — UWAGA

mijane
z daleka
w ledwie omgiełkowaniu
czegoś wypuszczanego
ukazują swoją konstrukcję
jako odkrycie

Ponieważ w nocy za przeproszeniem wysiusiałem 4 litry, dziś jestem załóżkowany, z kaczką u nogi łóżka. Pielęgniarki mi zmieniły piżamę, pościel i mówiły:
— Zaraz panu dostawimy przyjaciela!
— Co za przyjaciel?
— Zaraz dostawimy, zobaczy pan.
I zobaczyłem: podłużny stolik na jednej nodze, tu mi stawiają przynoszone jedzenie.
Docent przy badaniu mnie dziś powiedział:
— Pokazał pan chyba cały repertuar swoich możliwości.
Ptaki gwiżdżą, fujarkują, pi-pi-tiukają.
Mam dziś „żyć spokojnie", a tu na przekór dwie osoby już były, a jeszcze zajrzą dwie. Pielęgniarki regulują ruch, żeby nie za długo.
Czytam książkę Milewskiego *Ciemne sprawy dawnych warszawiaków* na zmianę z Panią de Sevigné. Właściwie nie wiem, dlaczego jeszcze raz wchodzę w zamieszanie XIV-Ludwikowe znanych mi z różnych już stron osób, dlaczego mam znów przeżywać ich intrygi, przypominać sobie, kto jest kto. Widocznie muszę.

Sobota 14 maja
Czytam kryminał, dzieje się w N. Jorku. Mam przyjemnostkę ustalać

mniej więcej — przy podanych ulicach — miejsce akcji. Nie przypuszczałem do niedawna (przed jazdą tam) tego rodzaju zabawy.
Dalej leżę. W niezbyt dobrym usposobieniu do życia.

Poniedziałek 16 maja
Większość leży. Mniejszość — siedzi (na łóżku). Kręcenie się po pokoju. Może mnie dziś wypuszczą na patio, to bliziutko. Chce mnie tam poprowadzić ksiądz. On też jest pacjentem. Polubiliśmy się, jest delikatny i inteligentny. Odwiedziła go Pani uczennica z Gdańska, jedna z tych, co uczestniczyły w moich gdańskich „Janionowskich" wieczorach autorskich. Poznała mnie przechodzącego i pozdrowiła przez księdza. Ksiądz jedzie za kilka dni na sercową operację do Monachium z lekarzem–pilotem. Codziennie tu wpada do mnie Anula, bardzo blisko mieszka i w Instytucie prowadzi kurs angielskiego dla doktorów i docentów. Tu dużo docentów. I hierarchiczności. Anula pomocna. Przynosi różne rozmaitości zieleninowe, jogurty. I pomocna towarzysko.
Wczoraj była Kicia Kocia, też mnie rozbawiła. Zaplanowałem przez telefon przed niedobrą nocą choroby, że jej odczytam najnowszy kabaret *Operę leśną*. Ale że w pierwszym dniu ozdrowieńczym obstąpiła mnie obojętność, niechęć, uporczywość niedobrych myśli, nie czytałem nic, ona mnie pocieszała. Dziś od rana lepiej się czuję na duchu, tak że mogłem wziąć długopis do ręki. W oknie mam wzmożony widok, bo jego druga połowa (pierwsza — zielone brzozy) do niedawna nie-zielona, goło-konstrukcyjna — dęby — zazieleniła się. Dzięki ostatnim upałom i przedostatnim deszczom.
Mój współlokator b. dobry. Był na przepustce. Za tydzień chyba się wyprowadzi do domu. Ja jeszcze chyba na troszkę więcej zostanę po mojej oskrzelowo-dusznościowej przygodzie. Nie wiem, kogo bym tu dostał następnego. Jedno pewne, że radia tu puszczać nie wolno.
Mój współlokator jest doc. dr inż. Tak podpatrzyłem na kopercie listu do niego. Czyta cały czas *Chrobrego* Gołubiewa — teraz już czwarty tom.
Kłaniam się i ściskam

MIRON

Wpadła lekarka, że wieczorne EKG wypadło b. dobrze.
Od jutra mam już chodzić na stołówkę i prowadzić życie pawilonowe.

[List 12]

Anin 20 maja 1983

Proszę Pań Eumenid!
Proszę Pani Profesor Misi!
To wtedy to był obrzęk płuc. Szybko minął. Nie powinien niby wrócić, ale jednak wrócić może. A wiemy, jak jest z tym, co nie powinno, a wraca. Czuję się średnio, trochę w górę, trochę w dół. Fizycznie. Psychicznie — nie tak źle. Choć jestem skazańcem, który ma nadzieję na odwleczenie wyroku. Jest zasadnicza różnica między moim życiem przed 2 zawałem i po. Jakbym stał po drugiej stronie. Oglądałem wczoraj reportaż z domu starców. Byłem z nimi po jednej stronie — tamtej.
Pani uczennica, która odwiedziła księdza–pacjenta Dolejewskiego, to pani Kwiryna Ziemba.
Mówił mi Tadzio Sobolewski o Pani referacie po filmie Herzoga (tak się pisze?) o karlach. Bardzo mnie ten film zaciekawił.
Dziś wyprowadza się do życia mój współlokator. Na początku był ponury, podejrzliwy wobec chorób i lekarzy. Teraz zadowolony. Może będę miał ze dwa dni przestoju w pustym pokoju. A potem — nie wiem — kogo mi los ześle. Nie chciałbym dostać zbyt wesołego pana. Jeden wesoły pan starszy lata tu żwawo po pawilonie. Inny — średniawostarszawy z siwą brodą niby najeżony, a jak powie, to od razu dowcip. Ja mam od dawna b. ograniczony limit na odbiór cudzych dowcipów. Chyba że to są bliscy. To zupełnie inna sprawa i inne zazębienia. Pobędę tu jeszcze do końca maja, o ile nic nie poplącze się na gorzej.
Powinno mi się chcieć wejść w pisanie, nawet w większe. Ale nie mam zahaczenia.
W przedpokoju pawilonu, koło kanapy i telefonu, wisi
RUCH CHORYCH (bardzo dobry tytuł do kryminału)
tu wykaz 20 nazwisk na 10 numerach pomieszczeń. Zresztą zwykle są luki właśnie z racji „ruchu".
Obok plan pawilonu (też świetny do kryminału)
pokoje chorych
wejście do patio przez „pokój pobytu dziennego"
dwie windy z podziemi na parter (pięter nie ma), jedna kuchenna, druga na bieliznę
gabinet psycholożki, a obok schody do podziemnych przejść, rozgałęzionych, prowadzących do głównego budynku.
W patio ławeczka, trzy wysokie dęby, które się tu dostały z poprzedniego

układu (nie było nas, był las). W kącie kwitną amarantowo trzy rododendrony. Na patio wychodzą okna gabinetów z dwóch stron korytarza, więc tym bardziej mogłoby się tu wydarzyć zamordowanie w majowy dzień na oknach wszystkich, ale żeby jednocześnie nikt nie zauważył. Dobra obecność księdza–pacjenta.

Nasz pawilon przedtem był zakaźny. Pozostały jeszcze po zakaźności nad wejściem świetlówki, czy jak to tam się zwie, zabijające zarazki, oraz przedpokój ze zlewem przed każdym pokojem. Po bogaczach–wybrańcach (zakaźnych) były jeszcze w zeszłym roku telewizory i telefony. Teraz nie ma. Zostały dwie łazienki o szaro-niebieskich kaflach z przedpokoikami szatniowymi. Pielęgniarki urzędują przy kontuarze na zakręcie korytarza.

Le roi est mort, vive le roi!

Nie będę miał przestoju. Nowy pacjent już czeka. Tamten jeszcze ma tu rzeczy. Ten już w tej chwili zjawił się z żoną i dzieckiem, dosyć młody, chudy, chyba po operacji, spokojny, zaciąga w mowie. Układają całą rodziną na łóżku i w szatni za łazienką swoje różności. Już do lodówki zaniósł wałówkę. Radia żadnego nie ma. Wyszli na korytarz. Stary pacjent współlokator chwali mnie, ja jego. Odjeżdża o 2 po południu, a jest dopiero godz. 12.

Już widzę, że nie grożą mi hałasy ani dowcipy.

— To nic sam pan nie pobędzie — ubolewa salowa, która weszła.

— Nic sam nie pobędę.

— Jeden odchodzi, drugi przychodzi, jak w tym młynie.

Lekarka z papierkami, która dopiero co odprawiła starego pacjenta, wpada, pyta:

— A gdzie ten nowy pan?

— Ano gdzieś z żoną i dzieckiem poszli czekać na wyjście starego pana.

Salowa opowiada mi o 22-letnim Jasiu, któremu trzy razy odklejała się sztuczna klapka na serce. Operowali obok w szpitalu, wracał tu, aż za trzecim razem nie wrócił, umarł, a było to z miesiąc temu. Ale podobno na sztuczne klapki źle robi wódka, kawa, a tu do niego z wódką, kawą przyjechały panienki i ucztowali w lesie.

Wczoraj oglądałem angielski serial o porywaniu na wyspę mew niewidomych bab, co — jak łatwo się domyślić — bardzo mnie zainteresowało. Dobrze, że będzie dalszy ciąg.

Mój stary współlokator (emerytowany doc. dr inż.) nie zdążył doczytać *B. Chrobrego* Gołubiewa, a żałuje, bo trudno to dostać.

Stary z nowym wymienili sobie choroby (jednaką operację), dolegliwości i polepszenie.
I zostałem z nowym. Wydaje mi się, że on w pewnej chwili powiedział „tamuj" (Lem pisze przez „tamój").
Ściskam
Pozdrawiam i wyzdrawiam

MIRON

[List 13]

Anin, sobota, 21 maja 1983 r.

Kochane Panie Profesor!
Leżę na łóżku. Siedzi za moim stolikiem sanatoryjny sąsiad, czyta. Profil w tę samą stronę co ja. Ja ocykam się z zamyślenia. Kątem oka dostrzegam go jako obecność. Ale przez chwilę prawie zapominam, kto to i jak wygląda. Odtwarzam sobie jego profil.
To notatka sprzed iluś dni, na którą się napatoczyłem.
Nowy sąsiad jest spod Łomży. Bardzo rano wstał, muszę przeto wpychać o świcie wkładki w uszy. On dużo chodzi (10 km dziennie u siebie — mówi). Niech chodzi. Teraz leży. Dostosował się do bardzo małej ilości mowy. Ja go o nic nie pytam, tylko raz na parę godzin odpowiadam jak najkrócej. Co prawda, nie aż tak jak Stalin w wywiadzie, to byłoby trochę nieładnie. Stalinowi wyszło ładnie, jak wiele rzeczy.
Sąsiad mówi „tamuj", ale rozwiązuje od wczoraj niemiecką krzyżówkę (nie ma nic wspólnego w wymowie ze Śląskiem czy poznańszczyzną, jest łomżyński całkiem). Na półce w toalecie postawił sobie wodę Coty'ego. Z lodówki wyniósł wałówę pod okno za-pokoju łazienki — bo w lodówce nieprzyjemnie czuć i to prawda. Toczą się między pacjentami narady co do wywietrzenia jej.
Już chodzę po powietrzu (po dworzu, po dworze). Niedaleczko na razie. Trzeba stopniowo.
Jadwiga nazwała moją ocenę siebie — znaną Pani (Paniom) z pierwszej części poprzedniego listu — depresją sytuacyjną. Że to tak fachowo się nazywa. Ja przed nimi napisałem dawno „sytuacja ma rację".
Psychologowie i psycholożki przebiegają nasze szpitalne tereny w tę i nazad z taśmami, papierami, zaaferowani, przejęci. Ich rada sprowadza się do — przyjąć sytuację, jaka jest.

Dla wielu osób ta filozofia i nazwomania jest jednakowoż pomocliwa, bardzo ją chwalą, lubią, od tego kwitną i się zajmują.
Do tego dodają sobie zresztą lekkie nawrócenie albo lekką niepewność, że „tam" nie wiadomo, czy nic nie ma. Poparte to jeszcze bywa medytacją, odmawianiem zaklęć, uprawianiem „metody Evelyn", wpadaniem w natchnienie literackie a nawet — jak sytuacja da — wydawnicze.
Obrzęku płuc na razie nie ma. Ksiądz–pacjent przyniósł mi dziś kawałek smażonego węgorza, dowiezionego z Suwałk. We wtorek jedzie z lekarzem–pilotem na operację do Monachium. Powiedział, że mi zwróci *Zawał*, pożyczony od Anuli z Anina. Puścił lawinę czytania *Zawału*. Bo nie tylko on, ale czytają lekarki, oddziałowa, pielęgniarki. Zostałem całkowicie uznany za szpitalnego pisarza, z honorami, z dogadzaniem.
— Może pan chce drugie śniadania i podwieczorki?
— Może czego panu brakuje?
Zmieniają mi pościele, serwety, piżamy, szlafroki, naprawiają niedomyki drzwi. Sam docent–bóg też mnie uznaje, wita dowcipami o zdrowiu i pisaniu, podobno on w ogóle lubi artystów.
Pielęgniarki o *Zawale*
— pisze pan o szarym życiu
— pisze pan na żywo, jak leci.
Sąsiad spod Łomży dobry, nie krępuje, co by było inaczej w razie żwawo-wrażliwego nadinteligenta. Nie dziwię się więc hrabinie, która na drodze podczas postoju w jeździe szczała bez krępacji przy stangrecie.

23 maja
Z pierwszym księdzem siedzi przy stole drugi ksiądz. Najpierw nie wiedziałem, że to ksiądz (pacjent); zdziwił mnie czarnym szlafrokiem, w którym jak w sutannie przyszedł na film o porywaniu niewidomych bab. Potem słyszałem dziwne rozmowy obydwu księży, a to o teatrze, a to o świecie. Wczoraj ksiądz drugi (już wiedziałem od sąsiada, że to ksiądz) opowiadał pierwszemu:
— Umierała wtedy, kiedy Jan XXIII, w dniu śmierci powiedziała, że idzie pokutować, bo miała dwa życia, zaczęła śpiewać pieśni, a na końcu prorocze piosenki.
Dzisiaj ten szum, ksiądz przy stole
— a ptaki śpiewają... na swoje nieszczęście... one czują, że...
Pouczony starym doświadczeniem wypytałem pielęgniarkę, co to za ksiądz.

— To ten, co byl aktorem, Kazimierz Orzechowski.
Doznał powołania 15 lat temu. Ksiądz pierwszy (Feliks Folejewski, nie Dolejewski, czyli ksiądz ef-ef) jutro jedzie stąd karetką szpitalną na samolot do Monachium na operację.
Anula z Anina zajęła się moim horoskopem (ona studiuje astrologię), podobno niesamowity, ze sprzecznościami, spełnieniami, trudami. Wychodzą też złe rzeczy. Powiedziała, że mi więcej powie. A w całości to po 15 latach. Tyle musi ten horoskop opracowywać.
Stonka napadła na Polskę. Tutaj też fruwa. W paski tułów, czerwone skrzydła.
Mój wiejski współmieszkaniec dobry, grzeczny. Dużo chodzi, a tak to studiuje tę samą książeczkę z niemieckimi krzyżówkami. Raz na ileś godzin coś z zamachem zakreśla. Mówi o sprawach choroby precyzyjnym językiem, w tym używa „tamuj" i „je" (jest) jak buforów.
Wczoraj wpadła zmęczona Kicia Kocia, obejrzała kwiaty (carskie korony od Anuli), zawołała:
— Co za wymyślność, co za rozmaitość, tyle milionów lat, żeby takie coś się wykluło na chwilę i opadło... no, zostawia nasiona, ale to niesamowite... ja się aż ich boję... świat sam dla siebie, gdzie spojrzeć, świat sam dla siebie, wszędzie jest pępek świata.
Popołudnie. Leżę w oknie z ptakami, dębami. Te dnie są takie olbrzymie. Ciepłe, miękkie. Jestem taki domajowiony, taki domajowiony.
Kupowałem w kwietniu na MDM-ie kwiaty, złote, pytam:
— A trwałe?
— Będą stały aż do znudzenia.
Aha! Mój horoskop mają przerabiać na kursach astrologicznych jako jeden z najciekawszych; jestem z tego dumny.
Człowiek ma w sobie różnego rodzaju dumy na śmiech, na dowcip, okazuje się, że mimo lekceważenia, odmachiwania ręką, to jest potrzebne. Trzeba mieć co odmachiwać od siebie, trzeba mieć czym pogardzać.
Pytałem lekarki, czy mogę pić mocniejszą herbatę: łyżeczkę pełną (nie płaską).
— Można... można...
A to mnie bardzo uczynnia i rozprzyjemnia.
Teraz w kuchni, do której jak zwykle wchodzi się łubudu! przez windę, parzyłem sobie herbatę. Czekając na zagotowanie wody miałem rozmowę całkiem filozoficzną z salową. Zaczęło się od chorób i stonki,

przeszło na mus śmierci, piękność i okrucieństwo natury, podobieństwo narodzin do śmierci. Salowa:
— Tak, to wszystko jest niedobre... niedobre...

Wtorek 24 maja
Zakropkowały mi się okulary, zakląłem
— cholera!
i gorzej i przyłapałem się na tym, że tu w Aninie oduczyłem się kląć przez krępację i zdechłość zapewne.
Wciąż pogoda jak w raju. No ale wiadomo, że dlatego Adam i Ewa musieli coś zwojować. Mnie na razie mdli od potasu i innych świństw. Chciałbym coś zwojować, ale nie mam pomysłów i siły.
Wczoraj oglądałem Szekspira w towarzystwie księdza Kazia Orzechowskiego, który ciekawie dogadywał:
— O, pierwsze ostrzeżenie losu.
— Ta niania to stara świnka.
Na zmianę z uwagami o korytarzach pawilonu:
— Czego te baby tak beczą? czego tak beczą?
Potem:
— Ja kiedyś grałem Romea.
— O, Mercuccio to ciekawsza postać od Romea, podobno dlatego Szekspir musiał go wcześniej zabić.
Ja pamiętam K. Orzechowskiego na ekranie na filmie wedle Iwaszkiewicza. Podobał mi się wtedy. Teraz jest w wieku, kiedy uroda przechodzi w karykaturę siebie. Ale w pewnym momencie spojrzałem mu z bliziutka w twarz, w oczy (za okularami), w brwi i nagle ujrzałem tego dawnego Kazia Orzechowskiego i owiał mnie na moment czar. Przedziwna jest sprawa tożsamości i zmienności w wyglądzie człowieka.
Ksiądz Felek (ef-ef) zasłabł jednak z wrażenia przed wyjazdem, dziś żegnał się ze mną, byliśmy obaj wzruszeni, przepisałem mu na drogę *Sercowisko*, a on mi zostawił program papieski na Polskę.
Papież na przepustki. To tak, jakby na kartki. No, skoro Mickiewicz na talony.
Mój *Zawał* czytają kolejno wszystkie pielęgniarki. Trafiło pod strzechy! Znów duma ze spełnienia.
Nasza strzecha dobra, nie przepuszcza upału. Czasem tylko w jednym swoim słabym punkcie przepuszcza deszcz i wtedy podstawia się tam od 4 do 7 naczyń z plastiku, różnej mdłości kolorów i kształtów.

Niania w *Rom. i Julii* opowiada nieprzyzwoity dowcip, niby kończy, a potem go jeszcze raz. To mi się podoba, bo niektórzy ludzie, tak zwani zwyczajniejsi, opowiadają dowcip jeden raz po drugim i jeszcze mają chęć na potrojenie.
I jest miejsce w czasie balu, kiedy do starego Kapuletta kuzyn mówi, że oni tak tańczyli 30 lat temu. Stary Kapuletti, że mniej, a tamten, że więcej, i to trwa. Tego fragmentu też chyba nigdy nie słyszałem.
Jeszcze o historii wyglądu. Ludwik H. znał panią (kalwinkę, jak i on sam) wysportowaną, młodą. Teraz — z racji paczek (mimo niewierzącości) — spotkali się pod okiem opatrzności kalwińskiej na Świerczewskiego (na Lesznie) po tylu czasach. Ona do niego
— Ludwik!
a on do niej, że zmieniona, gruba
ona, że
— trudno.
On o niej do mnie potem:
— Ani jednej zmarszczki do uszanowania.
Kwitną już dzikie bzy, akacje. Pod oknami kosili dziś koniczynę. Podobno zabierają się do kwitnięcia lipy. Natura bryknęła na zapas.
Nie wiem, czy pisałem o śnie–wizji księdza Felka, tego, co już jest w Monachium na operacji. Nie znał *Życia po życiu*. Opowiadał mi, że podczas ostatniego zawału leżał 3 dni nieprzytomny. Pamięta jeden sen czy wizję. Uczucie, jakby się wywracał podszewką na drugą stronę siebie, unosił pod sufit, potem była otwarta przestrzeń a za nią, nad nią wielka świetlista kula, ku której się zbliżał. Ale ta kula świecąca nie raziła go i odczuwał ją jako coś znanego.

26 maja, czwartek
Dobrze, że maj się kończy. Kilka lat temu śniło mi się, że umarłem coś 25 czy 27 maja, pogrzeb miał być na początku czerwca. I jak wspomniałem w liście szpitalnym — nakłada się to na numerek z szatni 1983 sprzed 20 lat. Data możliwej śmierci.
Wczoraj zapędziłem się w zrywaniu kwiatów, bo kosili za oknem łączkę. Naschylałem się strasznie dużo i prędko razy i potem zmęczenie serca. Późnym wieczorem niepokój sercowo-oddechowy, zdecydowałem się iść do kontuaru sióstr, no i obie z lekarką wbiły mi zastrzyk z euphyliny i furosemidu. Co od razu pomogło. Siusianie ze spaniem. Spanie z siusianiem. Tak że spania utłukłem ze 3–4 godziny, ale dobrze jest.

Dziś święto leżenia! Śniadanie do łóżka. Na obiad pójdę. Potem znów łóżko. Jeśli kto przyjdzie, będę leżał, mało mówił. Niech goście się ruszają, gadają. Na ogół wolą gadać niż słuchać.
Na osłonę potasową piję tzw. mleczko, nawet dobre w smaku, ale muszę odczekiwać po połyku i przepełzie proszku.
Mój sąsiad dobry, usłużny, cierpliwy.
Heca polega na tym, że człowiek musi się nagle oduczyć części siebie. A to trudne. Myli się. Podświadomość nie słucha, świadomość się krzywi. Od jedzenia twardych zielenin sztuczne zęby kaleczą mi dziąsła, płuczę azulanem, ale już go brak i już na recepty. Od potasu w płynie o smaku zajzajeru w brzuchu potem ruch jak w wężowisku. Więc dostaję potas ostatnio w ogromnych opłatkach. Kiedy dochodzi do żołądka, zaczyna boleć. Wtedy naciskam mocno palcami żołądek i przeciskam ten ból coraz niżej, on pomaga.
I taka to polka! — jak mówiła praczka na Powązkach, prała, prała, przestawała, opowiadała, konkludowała.
— I taka to polka
i dalej prała (może już to kiedy przytaczałem).
Czytam ostatnią powieść Lema *Wizja lokalna*. Ciekawe pomysły, ale strasznie zagęszczone dowcipami. I ciąży grzech długości. Po latach po raz drugi czytam *Zielone piekło* Maufrais, wdzieranie się w głąb Gujany w 1949 r. Dziennik znaleziony w dżungli daleko, daleko. Sam Maufrais nie znaleziony. Do tego słucham (słuchawkowo) bardzo starogreckiej liturgii. Wysoki tenor prawie mueziński na tle głosów:
„Ky — yrie elej — son
Ky — yrie elej — son"
w rytmie pół-skocznego bolera–majufesa. Ciekawostka: wymawiają
hagijos
nie żadne ajos.
Maufrais zapisuje na początku wyprawy „Bogowie lasów, wód, drzew, nieba i ziemi, pozwólcie przejść samotnemu wędrowcowi".
Nie pozwolili.
Tytuł starogreckiej liturgii „Panie, pamiętaj o nas wszystkich w Dzień Sądu Ostatecznego!"

27 maja
Ksiądz Kazio Orzechowski czaruje ludzi. Np. na moje „dzień dobry" przy jedzeniu odpowiada „dzień dobry panu Mironowi", wieczorem

odprawia msze, całuje pielęgniarki przy lekach, gości ma a gości. Rano go gnali w gimnastyce po krużgankach w jednym korowodzie z moim wiejskim krawcem (krawiec–rolnik). Powiedziałem lekarce:
— To jak w tańcu śmierci, wszyscy razem.
Ona coś chciała może innego w drzwiach już
ale ja
— wszystkie stany
przytaknęła
— wszystkie stany
i wyszła.
A sen miałem taki: korytarze, ludzie, pośrodku podwórko, rudy na rowerze, nagle wiatr zwiewa wszystko, groby, groby jadą jak na szynach. Okazuje się, że Nanka żyje, choć wiem, że 15 lat temu umarła. Choruje. Wołają
— mickiewiczowskie zapalenie gardła!
jednocześnie mi jej żal i chcę od niej z daleka.
Zjawia się Anula. Ja
— co oni chcą? raz umarli
Anula
— oni tak potrafią, mam pewne przypuszczenie...
ale tu wyszła, bo się spieszyła.
Towarzystwo kładzie się spać po korytarzach, patrzę: na jednym łóżku młodzieniec obok kogo? Nanki? Boję się sprawdzać, a muszę jej podetkać blisko czarny szal ażurowy. Nie, młodzieniec śpi z innym młodzieńcem. Chowam się do kabiny z okrągłym małym okienkiem. Czuję — nadchodzi Nanka. I tak mnie znajdzie. Wyłażę. Ona leży, a ja jej daję pieniądze
— masz dwa tysiące, cztery
ona (a już nie bardzo ona, czuję szwindel)
— to prywatnie, kurort...
zachowanie całkiem z nią sprzeczne
— masz 6 tysięcy, mało?
buntuję się
— to oszustwo! — odbieram 6 tysięcy, widzę że to facet z czworgiem niebieskich oczu w jednym ciągu, te oczy latają filuternie.
Pytam
— czy zawsze wierzysz w to, czy — poprawiam się — chcesz wierzyć, poprawiam się — chcesz żeby ci uwierzyli? udaje ci się?

Przytakuje.
Tu przebudzenie.

28 maja
Deszcz, cicha sobota, ludzie się któryś raz już wymieniają. Odjeżdża pani, która wykrzykiwała przy obiedzie
— dla mnie dieta kaloryczna! za dużo kartofli
— to niech pani część zostawi — na to salowa
dziś pielęgniarka mówi jej, że była miła, ta to przyjmuje
— cieszę się, że nie zostawiam po sobie nic złego.
Hasło dla siebie
„obejrzałeś kawał świata?
to się z niego wyprowadzaj!"
Docent wczoraj na obchodzie
— taką ma pan wydolność, jaką pan ma, więcej się nie da, musi pan bardzo uważać, nawet jak pan będzie łapał pchłę, to powoli.
Dwa płaty (w lewym i prawym płucu) nieczynne. Serca tylko część. No, dobra jest. Co się da, to się da.
Bardzo pozdrawiam

MIRON

Osoby nie wymienione z nazwiska, z kręgu Mirona Białoszewskiego:
— adresatki *Listów*, czyli „Kochane Panie Eumenidy", to prof. Maria Janion, nazywana rownież „Panią Misią", prof. Maria Żmigrodzka, nazywana „Panią Maryną", oraz dr Małgorzata Baranowska, nazywana „Panią Małgosią" lub „Małgosią";
— Kicia Kocia, która zamówiła *Tango*, to Halina Oberländer, malarka;
— Jadwiga — Jadwiga Stańczakowa, niewidoma poetka, zamieszkała na Hożej. Tam Miron Białoszewski został przewieziony po wypisaniu ze szpitala Grochowskiego, a także, po wyjściu ze szpitala w Aninie, tam umarł;
— pani Hania K. — dr Hanna Kirchner;
— Bożena z PIW-u — red. Bożena Szewczyk;
— Anula z Anina — Anna Żurowska, anglistka zamieszkała w Aninie;
— PIW-ianki — panie redaktor: Bożena Szewczyk i Marianna Sokołowska;
— pani Kalina — siostra Bożeny Szewczyk.

Tadeusz Sobolewski

Mirona Białoszewskiego „Listy do Eumenid"

Białoszewski nie chce się z nami rozstać. Ukazały się trzy jego pośmiertne książki: *Oho*, *Ameryka. Obmacywanie Europy*, *Konstancin*. Czeka na druk „epika domowa" — *Chamowo*. W 2010 roku, zgodnie z wolą poety, ma się ukazać jego tzw. tajny dziennik z lat 1975–1983. Tajny — tak go nazywał, bo operował w nim prawdziwymi nazwiskami. Ale poza tym tekst (którego współdysponentem jest niżej podpisany) niewiele różni się od tego, co w tym samym czasie Białoszewski pisał jawnie. U niego wszystko było dziennikiem i wszystko było literaturą. Zarówno w prozie, jak w wierszach Białoszewskiego zacierały się granice między materią rzeczywistości a nadaną jej formą. Spojenia były niewidoczne — jak w *Trzy po trzy* Fredry, jak w *Podróży sentymentalnej* Sterne'a.

Po blisko dziewięciu latach od śmierci Mirona Białoszewskiego prof. Maria Janion przekazuje do druku 13 listów, jakie otrzymała od poety w ostatnich miesiącach jego życia. Listy te, uzupełnione wierszami pisanymi w szpitalu na Grenadierów, a potem w szpitalu anińskim, są właściwie adresowane do trzech zaprzyjaźnionych osób: Marii Janion, Marii Żmigrodzkiej, Małgorzaty Baranowskiej. Białoszewski nazywał je żartobliwie „trzema Eumenidami" (bo „jak czegoś się uchwycą, to nie

zostawiają na nim suchej nitki"). „Przychodzą razem — relacjonował. — Przynoszą kwiaty. Robi się jak w dworku polskim". W dzienniku zapisuje w syntetyczny sposób niektóre z ich spotkań — wśród nich wieczór w Oborach w 1979 roku, kiedy to rozmowa zaczęła zataczać „coraz kosmiczniejsze kręgi". Kiedyś na Lizbońskiej w drzwiach Mirona zastałem kartkę powitalną, przeznaczoną dla Eumenid. Grubość liter namazanych długopisem i monumentalny krój pisma świadczyły, jak wiele dla niego znaczyły te spotkania. Musiał się czuć wyjątkowo dobrze rozumiany i doceniany, skoro im właśnie powierzył swój literacki testament — te listy.

— Niech pan wyda książkę–dom, pomieszanie wierszy i prozy; i w ogóle nie przejmować się formą — radziła Białoszewskiemu pod koniec lat siedemdziesiątych Maria Janion. — Niech to będzie książka „z wyjściem od siebie, od swojej osoby, oznaczonej w takim a takim czasie. Bo wtedy czytelnik zastanawia się: on wtedy to i to, a co ja wtedy?"

Ale na dobrą sprawę wszystko, co Białoszewski wydawał od czasu tomiku *Było i było* (1965), wszystkie jego „donosy rzeczywistości", „szumy, zlepy, ciągi", łącznie z późnymi wierszami, w których rzeczywistość bloków mieszkalnych łączyła się z rzeczywistością kosmiczną — było literaturą „z wyjściem od siebie", literaturą skróconego dystansu między autorem a czytelnikiem. Chodziło o taką literaturę, która byłaby samym przekazem, samym kontaktem — rodzajem listu do czytającego.

Listy do Eumenid są spełnieniem tak pojmowanej literatury. Wszelkie konwencje w nich się udosłowniają. Jest to rodzaj powieści w listach, która naprawdę „przeszła przez pocztę". Mowa w niej o rzeczach ostatecznych, ale okazuje się, że wszystkie tak zwane „rzeczy ostateczne" stają się pospolite, trywialne wobec ostateczności prawdziwej, która czeka poetę po napisaniu ostatniego zdania.

Z jednej strony te listy są pożegnaniem z życiem i z literaturą („mszczą się zużyte metafory" — pisze Białoszewski w swoim ostatnim wierszu). Z drugiej strony — sam fakt pisania jest dla niego jedynym ratunkiem, próbą zaskarbienia sobie zapasowej nieśmiertelności na wypadek, gdyby po tamtej stronie była tylko nicość. Czy cała jego twórczość nie wyrastała z eschatologicznego niepokoju? Czy nie była wyrazem solidarności z żyjącymi wobec zagrażającej nicości? Czy nie była zarazem próbą oswojenia nicości?

W programowym (co rzadkie u Białoszewskiego) tekście z tomu *Trzydzieści lat wierszy*, zatytułowanym *To mieszkanie potrafi być natchnione*,

autor kontempluje ikonę, na której „stare zielenie brązowe powiewają od trzystu lat". Poeta pyta wprost: „czym jest sztuka?". I próbuje na to pytanie odpowiedzieć. Jego uwagę przykuwa „zgięty łokieć anioła" na ikonie. Ikona jest ułamana; z „niecałego obrazu" — właśnie przez to, że niecały, fragmentaryczny — „coś woła". Woła do rymu. „Gest szukający łokcia anioła" okazuje się tym, co przetrwa i pokona czas. Prawda sztuki zawiera się w samym geście szukania. Sztuka jest „naszym pukaniem do siebie". A to „szukanie", „pukanie", „wołanie" — to nic innego, jak zamienne sposoby nazywania miłości. Ułamany anioł ożywa, przemawia do człowieka, który na niego patrzy. A ten człowiek — poeta — sam staje się obrazem, i jest przez innych widziany jako obraz. Autor upodabnia siebie w tym wierszu, w dyskretny sposób, do anioła z ikony („skrzydło okna / ja we wnęce"), posyłając migawkowy obraz samego siebie tym, którzy po latach z kolei w jego wierszach, jak on na ikonie, zechcą „szukać łokcia anioła". Taką przynajmniej ma nadzieję.
5 maja 1983 pisze do Eumenid:

Teraz jeszcze zostaje nadzieja na przyszłość daleką, nieco po życiu. Co łączy się z wiarą (w siebie i odbiór). Bo mowa tu o pamięci, więc głównie o skutkach pisania. To też łączy się z miłością, bo czytelników na jakiś sposób przecież się kocha. Przynajmniej w czasie pisaniowo-czytaniowego kontaktu, który rozciąga się w czasie, i chodzi o to, żeby w jak najdłuższym czasie.

Czy nie jest to p r o ś b a o nieśmiertelność? Akt pisania czy mówienia staje się dla Białoszewskiego jedynym źródłem cnót boskich: wiary, nadziei i miłości.

W moim nastrojo-ujęciu wszystkie te cnoty i nadzieje odpadają, nie są nic warte, bo wszystko jest nieważne, wszystko się rozsypuje. Nie zostaje w końcu z nas nic, bez różnic żadnych.

Nie ma tu miejsca na żadne złudzenia, bo n i e m a w y k u p u. W niesamowitym śnie z listu trzynastego Miron próbuje wykupić się od śmierci, która go kusi i mami, przyjmując postać ukochanej ciotki Nanki:

— masz sześć tysięcy, mało?
buntuję się
— to oszustwo!

Miron odbiera Nance pieniądze, a wtedy ona okazuje się „facetem z czworgiem niebieskich oczu", które „latają filuternie". Pada pytanie o wiarę, przebijające się przez senną malignę: „czy zawsze wierzysz w to,

czy... chcesz wierzyć... chcesz, żeby ci uwierzyli, udaje ci się?". To zawieszone w próżni pytanie zostaje zadane czterookiemu facetowi, który w pierwszym ujęciu jest śmiercią i grzechem, ale ma też w sobie coś ze wschodniego, groźnego bóstwa. W ogóle — z bóstwa. W tej postaci i jej przemianie, w pytaniu, które temu towarzyszy, pojawia się paradoksalna możliwość dobra. Podobna do tej, jaka czai się w słowie „eumenidy" — dobroczynne mścicielki.

Literatura Białoszewskiego rozkwitała w cieniu śmierci, w obliczu zła. Kłaniał się przed śmiercią, zaklinał zło. Bez buntu, jakby w obawie przed rozgniewaniem bóstwa. Tak jakby chronił się pomiędzy szczegóły życia, z lęku przed ostatecznościami. *Pamiętnik z powstania warszawskiego* był opisywaniem życia „na tle możliwości śmierci". Na tym polega urok tego pisarstwa: gdy czyta się po raz pierwszy *Pamiętnik*, gdy ja dwudziestotrzyletni czytałem go po raz pierwszy, z wypiekami, niemal jak powieść przygodową, głównym pragnieniem czytelnika jest: razem z bohaterem–narratorem uczestniczyć w apokalipsie Warszawy i bezpiecznie z niej wyjść. W listach do Eumenid opisy zawału serca, zdrowienia po zawale, znajdowania szans na przeżycie budzą nieodparte skojarzenia z opisami powstańczymi. Dzieje się to w sposób naturalny. Zawał jest drugą z kolei, równie ważną i grożącą ostatecznymi konsekwencjami przygodą życiową Mirona Białoszewskiego, i tak, w kategoriach przygody, jest przez niego traktowany. Są to, co prawda, zagrożenia różnej natury: jedno zewnętrzne, historyczne; drugie — wewnętrzne, fizjologiczne. Ale możliwe skutki dla człowieka są takie same. I szanse przetrwania — również. Białoszewski zastanawiał się kiedyś, czy jest możliwe, żeby zginął w powstaniu warszawskim, mimo że je przeżył? I odpowiadał sobie: owszem, mogę zginąć, jeżeli w przedśmiertnej malignie przyśni mi się, że zginę w powstaniu.

Kiedy w listach do Eumenid Białoszewski opisuje życie szpitalne, wykazując cudowną umiejętność urządzenia się, przystosowania i wykorzystania ograniczeń sytuacji, trudno nie wspomnieć *Pamiętnika z powstania*. Powrót rekonwalescenta do życia ma coś z euforii, że się przeżyło bombardowanie, a jeszcze — że można je opisać, co dowodzi prawdziwego triumfu nad losem. Gdy Miron zwiedza nocą korytarz szpitalny na Grenadierów, gdzie „mieszkają rzędem na łóżkach cztery panie", jest w tym opisie ta sama radość „życia na kupie", ta sama ukryta euforia, jak w scenach z piwnicznego życia na Starówce. Następuje też podobne zamącenie przestrzeni. W powstańczej Warszawie

przejście z jednej ulicy na drugą stawało się wyprawą, podobnie — sukcesem dla zawałowca jest dojście do „skrzyżowania z kanapą”, gdzie „mieszka astmatyk z Miedzeszyna”.
Różnica polega na tym, że tamta, historyczna sytuacja dawała szansę wyjścia — ta nie daje. Schwytany w pułapkę Mistrz Miron zostaje zmuszony do konfrontacji z ostatecznością, której uniknął w powstaniu. Lecz nim zada czterookiej bestii ze snu pytanie o wiarę stanowiącą jakieś wyjście, odprawia swoje nabożeństwo na cześć życia, które może „nic nie znaczy”, ale ma tę wyższość, że j e s t. I daje się opisać.
W sytuacji zawieszenia pomiędzy niebytem a światem, który wymyka się poecie z rąk — kryje się tragizm. Ale na tym wciąż zmniejszającym się obszarze potrafi jeszcze „poczuć się właścicielem życia”. Życie, na które patrzy, jest wciąż zajmujące, bogate, nieprzebrane. A on umie dać temu wyraz — do końca. Szkicowane przez niego szpitalne obrazki można porównać z barwnymi scenami rodzajowymi z placu targowego, które przedstawia swemu kuzynowi bohater ostatniego opowiadania E. T. A. Hoffmanna *Narożne okno*. W istocie, mamy do czynienia z podobną sytuacją: człowiek skazany, artysta, zwraca się ku rzeczywistości, napawa się widokiem życia, sam — unieruchomiony. Przyglądanie się obrazom „wiecznie zmiennego życia” wyzwala w bohaterze opowiadania Hoffmanna (którym jest on sam — umierający) „ostatnią iskrę dobrego humoru”, a zarazem prowadzi do nieuchronnego wniosku: „Było! Trzeba korzystać z chwili”. Nie znam w literaturze bardziej przejmujących świadectw, oddających łakome, a zarazem pełne goryczy czepianie się życia. Towarzyszy mu u Hoffmanna motyw tajemniczej nadziei: *et si male nunc, non olim sic erit!* (jeśli teraz źle, to nie zawsze tak będzie). Ta sama nadzieja, mimo wszelkich zaprzeczeń, obecna jest u Białoszewskiego.
Białoszewski opowiadał, że znalazł w jakiejś książce podróżniczej (jak wiadomo, rozczytywał się w takiej literaturze) opis śmierci papug, który go głęboko poruszył, wyrażał bowiem tragizm sytuacji ludzkiej: martwe papugi wiszą głowami w dół, ale szpony mają wciąż zaciśnięte wokół gałęzi.
W szpitalu, na miesiąc przed śmiercią, Miron czyta inny „dziennik znaleziony w dżungli”, Francuza Maufrais, opisujący wdzieranie się w głąb Gujany. Dziennik zaczyna się od apostrofy do bogów lasów i wód, nieba i ziemi, aby pozwolili przejść samotnemu wędrowcowi. „Nie pozwolili” — stwierdza Miron. I zaraz cytuje modlitwę, której

akurat słucha z taśmy („bardzo starogrecka liturgia"): „Panie, pamiętaj o nas wszystkich w dzień Sądu Ostatecznego" — tak jakby chciał zestawić ją z modlitwą podróżnika z Gujany. Ile w tym jego własnej wiary, a ile zwątpienia? Towarzysząc Białoszewskiemu w jego „wdzieraniu się w głąb Gujany", dochodzimy do momentu, gdzie wszelkie sztuczne konstrukcje ukazują swoją pustkę. Gdzie liczą się już nie zdania, myśli, idee, ale samo pisanie, będące formą kontaktu, formą miłości.

Pisze się list na dowód, że się żyje. Ale też na odwrót: żyje się, póki się pisze, póki się opowiada — jak Szeherezada. Ponieważ dla czytającego ten, kto opowiada, żyje w słowach, w samym akcie opowiadania. Białoszewski jest tego głęboko świadomy, gdy mówi, że „c z y t e l n i k a n i e o b c h o d z i , c z y j a ż y j ę". Dotyka w tym momencie mimochodem tajemnicy literatury. Poprzez pisanie chce doprowadzić się do stanu, czy choćby przeczucia stanu, kiedy jego samego nie będzie już obchodziło, czy żyje. I w ten sposób odnajduje przejście na tamtą stronę, odrywa się od samego siebie, chytrze chowa się w słowach. próbując „poodczuwać potencjalnie" to, „czego nie będzie czuł wtedy", gdy te listy będą czytane. W swoich dociekaniach prowadzi nas za sobą daleko „w głąb Gujany", najdalej, jak się da. Właśnie: jak się da. W tym potocznym zwrocie, użytym wobec sytuacji ostatecznej, jest coś z warszawskiej lekkomyślności i coś z warszawskiego heroizmu. Gdy okazało się, że nie ma odpowiedzi na żadne z pytań, jakie człowiek stawia w obliczu niewiadomego, Białoszewski pociesza siebie (i nas): „No, dobra jest. Co się da, to się da".

Jan Józef Lipski

Miron widziany przeze mnie

Lato roku 1949 zdawało się być pogodne: w pięknym, lipcowym słońcu otwartą właśnie Trasą W–Z, tunelem, nowym wiaduktem maszerowały masy młodzieży w jednolitych już mundurach organizacyjnych od roku zjednoczonego ZMP, skandując okolicznościowe hasła, tego roku głównie „Stalin — Bierut — Rokossowski", a z gigantofonów brzmiało właśnie przemówienie ostatniego z tej trójki, nowego marszałka Polski.

Kawiarnia z ogródkiem na wymarłym dziś placu Mariensztackim stała się na parę miesięcy letnim salonem, w którym spotkać można było *toute Varsovie*. Gdy siedziało się tam po południu, popijając orzeźwiające napoje i kawę, patrząc na świeżutkie, przedwczoraj otynkowane kamieniczki, mogło się przez parę chwil wydawać, że oto — po długiej drodze przez mękę — otwarły się drzwi Utopii i przeszedłszy przez nie znaleźliśmy się tu właśnie, na Mariensztacie. Było już po zjeździe szczecińskim, a co dla mnie osobiście też nie było bez znaczenia: po likwidacji „Nowin Literackich", gdzie debiutowałem i już trochę zdążyłem się zadomowić. Na pożegnanie Edward Csató powtórzył ponury, maciejowicki *bon mot* Kościuszki, nieraz co prawda podawany w wątpliwość przez historyków, ale tym razem wbijający się w pamięć na wiele lat. Ale tymczasem siedziałem zajadając lody w paroosobowym towarzystwie: z Ficowskim, Stillerem, może był jeszcze ktoś. Podeszło dwóch ludzi — młodych, ale

jednak z pewnością starszych ode mnie. Jurek i Robert znali ich, ja nie. Białoszewski i Czachorowski.

Znałem *Fioletowy gotyk* Mirona, a przede wszystkim jego piękny, choć przez autora wkrótce zapomniany i zdradzony poemat *Jerozolima*. Kto to Czachorowski — jeszcze nie wiedziałem.

To ich podejście do stolika chyba doraźnie nam się przydało, choć zresztą nie pamiętam tej pierwszej rozmowy. Ale my trzej — tak jak wtedy siedzieliśmy — nie byliśmy tak jak ci dwaj impregnowani na to wszystko, co niósł ze sobą ostatni numer „Kuźnicy" czy „Odrodzenia", a choćby nawet „Nowych Dróg", piszących o sprawach kultury. Miron i Swen żyli w zupełnie innym, swoim własnym świecie (czy raczej w swoich własnych światach). Wtedy jeszcze byli nie tylko dużo bliżej siebie, niż po paru latach — ale i ich twórczość dzieliło mniej niż później. Jak to bywa z wypadkami bardzo ścisłej młodzieńczej symbiozy, żaden filolog już nie dojdzie, który co zawdzięczał drugiemu. Może gdyby pozostały jakieś rękopisy... Ale myślę, że z tych najdawniejszych czasów ocalało ich bardzo niewiele. W tym środowisku obowiązywała pewna, prawie zliturgizowana obyczajowość, do której należało też palenie rękopisów z okresu już przezwyciężonego. Mówiło się o tym w tonie tajemnicy i grozy. To też „obowiązywało".

W tym środowisku... O Mironie, szczególnie „wczesnym", trudno pisać izolując go ze środowiska, choć to przecież poeta „osobny". Kto do tego środowiska należał? Uszereguję tych ludzi z mojej własnej perspektywy, choć wiem, że np. Hering był dla Mirona kimś nieporównanie ważniejszym niż Choiński, natomiast mój punkt widzenia musiał być inny.

Zacznę od Bogusia Choińskiego, któremu należy się ciepłe i odrobinę obszerniejsze wspomnienie niż innym, choćby dlatego, że został jakoś zepchnięty w niepamięć. Znałem go bardzo blisko i długo, ale nie wiem, jaki był jego prawdziwy życiorys, bo Boguś lubił mistyfikować. Czy to prawda, że ranny w głowę w roku 1945 nie zgodził się na operację czaszki, co powodowało nieustanne zagrożenie życia? Nie wiem... Boguś był, moim zdaniem, utalentowanym poetą. Opóźnienie debiutu po przełomie 1956 roku spowodowało katastrofę: gdyby jego tom ukazał się jednocześnie z *Obrotami rzeczy* — niewątpliwie nie przyćmiłby ich blasku, ale Boguś pozostałby poetą liczącym się w panoramie pokolenia. Nie każdy zdaje sobie sprawę, co to za pokolenie. Wyliczę ich alfabetycznie: Baczyński, Białoszewski, Czachorowski, Ficowski, Gajcy, Herbert, Karpowicz, Różewicz, Szymborska, Wirpsza. W rezultacie

„spóźniony" tomik Choińskiego został odrzucony przez wydawcę, a autor „złamał pióro", jak to się dawniej pisało. Zostało po nim niewiele: trochę piosenek (m. in. o kochasiu, który poszedł w siną dal, tekst pisany z Jankiem Gałkowskim), świetna przeróbka *Króla Ubu* Jarry'ego dla „Stodoły" (też z Gałkowskim), której inscenizacja (Biczyckiego) była jednym z największych wydarzeń teatralnych okresu popaździernikowego, mimo że był to zespół amatorski. Mniej udany był ich spektakl o Chagallu, też w „Stodole". Jeszcze parę miniatur wystawionych w Teatrzyku na Tarczyńskiej i parę felietonów w prasie młodzieżowej czasów stalinowskich, w których Boguś przemycał, Bóg wie jakim cudem, poetyckie purnonsensowe motywy. Umarł przedwcześnie, prawie 10 lat temu.

Jan Gałkowski, przyjaciel Jurka Ficowskiego z konspiracji akowskiej i Pawiaka, później współautor (z Choińskim) *Króla Ubu* i licznych piosenek, autor tekstów wielu innych.

Jerzy Ficowski, zawsze luźniej z tym środowiskiem związany, jakby się trochę od niego dystansował — ale i on tu powinien być wymieniony.

Lech Emfazy (tak!) Stefański, tłumacz Ronsarda, malarz, autor jednej powieści dla dzieci, w końcu parapsycholog czy też psychotronik. On wraz z Choińskim — i przede wszystkim z Białoszewskim — tworzyli repertuar Teatrzyku na Tarczyńskiej.

Stanisław Prószyński, kompozytor, znany głównie z muzyki dla młodych odbiorców, dla teatrów lalek, któremu Teatrzyk na Tarczyńskiej zawdzięczał interesującą „oprawę muzyczną", a właściwie coś znacznie więcej; kolekcjoner pozytywek i tym podobnych grających mechanizmów. Po którymś z wieczorów na Tarczyńskiej pojechaliśmy gromadą — był tam i Miron, który kolekcję już znał — z winem do niego na Mokotów. Jedyny raz oglądałem i, co ważniejsze, osłuchiwałem jego kolekcję. Pozostało mi niezwykłe wspomnienie i oczarowanie.

Ludwik Hering, chyba najbliższy z przyjaciół Mirona, w każdym razie chyba ten z przyjaciół, któremu Miron (poza odległymi latami przyjaźni ze Swenem) szczególnie dużo zawdzięczał jako artysta. Hering — „Lu" z próz Mirona — nie stworzył w swym życiu wiele, należąc do ludzi, którym jakaś niezrozumiała bariera psychiczna uniemożliwia stworzenie dzieła adekwatnego do ich wewnętrzych możliwości. Ciekawy, subtelny interpretator, pełen inwencji; z Mironem rozumieli się zawsze świetnie, na zasadzie jakiegoś duchowego rezonansu.

Córka Heringa, Ludmiła Murawska, plastyczka, obdarzona czymś

więcej niż talentem aktorskim, bo osobowością aktorską, mimo że „amatorka". Umiała narzucać poczucie konieczności swej gry, gdy „przedstawiała" sobą, wcielała się w cudze teksty, i dla wielu pewnie istnieje do dziś wyłącznie jako współtwórczyni „Teatru Osobnego" Mirona — do tego stopnia, że można by pytać, czy miała wówczas swoje „osobne" życie.

Leszek Soliński, wieloletni współlokator Mirona, malarz, którego znam od dawna, ale czy dobrze? W każdym razie niewiele miałbym o nim do powiedzenia.

Inni pojawili się później, w dwóch falach: najpierw fala z okresu Teatrzyku na Tarczyńskiej, a później z czasów mieszkań Mirona na placu Dąbrowskiego i ulicy Lizbońskiej.

Prehistoria tego środowiska — to lata okupacji, a więc wszystko tonie w mroku. Jest mało znana, mimo że Miron i Swen organizowali wtedy imprezy literacko-artystyczne, a w pamiętnikach i opracowaniach historycznych niemało już pisało się o podziemnym życiu kulturalnym w Warszawie. Ale ten jego wycinek jakoś uchodzi uwadze. Znałem tylko jednego człowieka, który na własne oczy widział te wieczory, a co więcej, przechował ich programy (dwa? a może tylko jeden?). Był to mój przyjaciel–polonista, późniejszy edytor *Dzienników* Żeromskiego i autor monografii biograficznej o młodym Żeromskim, Jerzy Kądziela. Sądzę, że przechowały się w archiwum domowym, nad którym po śmierci ojca sprawują pieczę jego synowie.

Z tego okresu pochodziły też niektóre znajomości Mirona i Swena, już zamierające gdy ich poznałem (np. Irena Prudilówna, pierwsza żona Jerzego Grygolunasa, też w swoim czasie pisząca wiersze, niektóre niezłe).

Tak mniej więcej przedstawiało się to środowisko. Mówiło się tam prawie wyłącznie o sztuce i poezji — i poezją oraz sztuką się żyło. Ale w przypadku Mirona było to coś trochę innego. O sztuce, zarówno przez małe, jak wielkie „S", mówił raczej mało, natomiast zawsze fascynowały go postaci ludzi, ich mówienie, zachowania się słowne i pozasłowne w różnych sytuacjach, interakcje między nimi zachodzące, happeningi reżyserowane przez przypadek, ten cały swoisty teatr *dell'arte* codzienności (ale nie „peryferyjności", jak chce Sandauer; może dla niego to „peryferyjność", ale na pewno nie dla Mirona).

Spotykaliśmy się to po kawiarniach (rzadziej), to w mieszkaniach: u Mirona na Poznańskiej, gdy już drogi Mirona i Swena rozeszły się; w Kobyłce (gdzie kiedyś razem mieszkali), u Swena.

Kobyłka — to cały rozdział historii środowiska. Wspólne sprawy, lektury, perypatetyczne dyskusje, rozmowy przy bardzo mocnej herbacie lub rzadziej kawie. Piszcząca bieda, właściwie nędza — i uczty, gdy wpadły jakieś pieniądze. Alkoholu w Kobyłce pijało się niedużo — i to raczej wino (bywało często, że owocowe, bo tańsze) niż wódkę. A jadło się różnie: od niczego — do takich dziwactw kulinarnych (to mi zapadło w pamięć!), jak winogrona na kanapce z tatarem. A rozmowy... Był to czas dna socrealizmu. Uczestnicy sympozjów w Kobyłce nie tylko nie doznali żadnych pokus, by się do niego dołączyć, ale, prawdę mówiąc, nie bardzo nawet zauważali, co się wokół nich w czasopismach i wydawnictwach dzieje. To nie liczyło się, nie istniało. Zupełne ignorowanie rzeczywistości, włącznie z honorariami, stypendiami itp., dostępnymi raczej dla tych, którzy mieli mniej pogardliwy stosunek do owej ponurej zabawy. Po prostu Miron, Swen, Boguś i inni nie publikowali. To znaczy prawie nie publikowali — bo Miron np. pracował pewien czas jako dziennikarz w „Expressie". Pisał tam jakieś reporterskie drobiazgi i warto by dziś temu się przyjrzeć. Ale wtedy nie mówiło się też i o tym. To, że trzeba piórem zarabiać, choćby przy tym nie prostytuując się, uchodziło za okoliczność wstydliwą. W sprawach sztuki, poezji, pisania w całym tego słowa znaczeniu — obowiązywał bezwzględny nonkonformizm.
Kobyłkę znałem trochę jeszcze z Mironem, ale głównie już bez Mirona. Natomiast pojawił się tam w pewnym momencie Sandauer. Spieraliśmy się o Miłosza (Sandauer twierdził, że *Dziecię Europy* to swego rodzaju fantastyka, gdyż istota nowej wiary polega wyłącznie na cynicznym kamuflażu postaw), rozważaliśmy wspólnie, czyby w pracowni graficznej ASP nie udało się wydrukować bez cenzury szkicu Sandauera o treści i formie. Mój Boże!...
Ale już wówczas Sandauer osobno spotykał się z Mironem (znał go dłużej, to on drukował kiedyś *Fioletowy gotyk* w „Odrodzeniu") — a osobno ze Swenem. Przyjaźń między Mironem i Swenem minęła już, pozostała nawet jakby pewna niechęć. Interesowali się zresztą swymi kolejami i później. Kiedy Swen był ciężko chory po straszliwym pobiciu przez pewnego literata, swojego kolegę, Miron serdecznie dopytywał się o jego zdrowie. Ale to już niczego naprawić nie mogło.
Gdy zaczął się Teatr na Tarczyńskiej — już dawno chodzili zupełnie różnymi drogami. Ale właściwie również Swen miał swój udział w tym teatrzyku. O ile pamiętam, to on zaszczepił w środowisku ideę inscenizacji poetyckich miniatur. Ale realizowali ją już inni: Miron, Boguś,

Lech Emfazy. Kiedyś, gdzieś około 1951 roku, zastanawialiśmy się ze Swenem, czyby nie wystartować z takim teatrzykiem w mieszkaniu mych rodziców, ale pomysł był za wczesny. Nie było to jeszcze ani możliwe, ani bezpieczne.

Indywidualność artystyczna Mirona, a nawet krócej: indywidualność Mirona — przyćmiewała współtowarzyszy i zdominowała pamięć o tym ewenemencie. Niemniej jednak teatrzyk był dziełem zbiorowym, co nie przeszkadza, że każdy z jego twórców był twórcą indywidualnym. Zresztą tak się składa, że może najmniej tyczy to właśnie Mirona, który z wielką lojalnością podkreślał rolę inspiracyjną Heringa. Ale zarazem to właśnie Miron przyczynił się do tego, że nazwiska Choińskiego i Stefańskiego znikły ze zbiorowej pamięci o tym teatrzyku. Miron, który przede wszystkim ukształtował wyobrażenia, a nawet wiedzę o Teatrze na Tarczyńskiej, z właściwym poetom egotyzmem widział tylko swój Teatr Osobny, a nie rzeczywistość taką, jaka naprawdę była. W tej rzeczywistości — choć nie w świadomości Mirona — Choiński i Stefański istnieją na podobnych prawach jak on, mimo że ani talentem, ani osobowościami artystycznymi mu nie dorównywali. Recenzowałem kiedyś w „Twórczości" na gorąco cały ich kilkuspektaklowy program. To prawda, że Miron tam się wyróżniał, ale i u niego nie wszystko było bezwzględnym arcydziełem. Moim zdaniem, sąsiedztwo utworów Choińskiego i Stefańskiego nie przynosiło mu wstydu.

Ale poeci prawie zawsze wolą „osobność" od kolektywności, choćby aż tak federacyjnej, jak to było na Tarczyńskiej. Wspólnota artystyczna dolegała Mironowi od początku, chociaż była przede wszystkim sąsiedztwem (podczas gdy rzeczywista wspólnota z Heringiem nie dokuczała mu). Wcześnie więc dążył do „wyosobnienia" się. Po pewnym czasie udało mu się tego dokonać.

Miron, przy całym swym egotyzmie poety, był uroczym, miłym partnerem spotkań towarzyskich i rozmów. Otwarty na ludzi, rozmówców, zarówno przypadkowych, jak i przyjaciół — bardzo uważnie słuchał tego, co mówią, myślał o tym, należał bowiem do twórców, dla których sztuka rodzi się, po części przynajmniej, z owego intymnego przeważnie zetknięcia się słów i interakcji międzyosobowych, stanowiącego elementarną podbudowę wszelkiego życia zbiorowego. Sztuka Mirona jest bowiem w tym sensie sztuką w znacznym stopniu „społeczną", jeśli tak określić można jej zakorzenienie w obyczaju (przede wszystkim językowym) i w odstępstwach od niego, w konkretnym czasie wraz z jego

realiami, w konkretnym środowisku, dającym się opisać np. przez wyliczenie tworzących je osób. A że w ten sposób powstawały dzieła oryginalne, awangardowe — to już tajemnica Osoby i Sztuki.

Taka konstytucja osobowości twórczej jest jednak — jak wspomniałem w poprzednim ustępie — niezwykle korzystna dla tych, którzy odczuwają potrzebę obcowania z artystą klasy Mirona. A Miron potrafił być nie tylko uważnym słuchaczem i obserwatorem, przetwarzającym nieustannie to, co widział i słyszał, na teatr słów, ale i współczującym człowiekiem. Pytanie, czy jego sztuka byłaby w ogóle taka, jaka jest, bez pewnej dozy współczującej emocjonalności. Toteż zawsze otaczało go ewoluujące przez lata środowisko ludzi zafascynowanych i poetą, i kto wie, czy nie bardziej jeszcze — człowiekiem, osobą.

O ile lata 1949–1955 były okresem moich nie bardzo częstych (ze Swenem i Bogusiem spotykałem się znacznie częściej), lecz jednak systematycznych spotkań z Mironem — to Teatr na Tarczyńskiej wchłonął mnie na pewien czas. Nie w tym sensie, bym coś tam swojego dodał (chociaż być może, że z nieustannych dyskusji także coś i dla twórców Teatru wynikło) — ale po prostu wówczas właśnie to najbardziej mnie wciągało i chciałem tam być.

A przez Tarczyńską przewalały się tłumy: od przedpaździernikowo buntującej się młodzieży studenckiej i artystycznej, przez pisarzy, malarzy, aktorów, humanistów o różnych zainteresowaniach — aż po Sokorskiego (wymieniam go, bo bądź co bądź był przecież w tym właśnie czasie ministrem Kultury i Sztuki). Mikrowidownia uwidocznia lepiej niż wielkie sale teatralne to, co jest socjologią teatru; nie tylko z powodu kameralności, intymności kontaktu — ale po prostu widać wtedy, jak scena i widownia wzajemnie grają wobec siebie. Miron miał w tej sprawie ogromne wyczucie i intuicję, sądzę, że większą niż jego partnerzy. Nie uzależniał zresztą swojej sztuki w żadnej mierze od reakcji publiczności, jakakolwiek by była: znakomita czy byle jaka. Pamiętam wieczór z Eichlerówną w roli głównej na widowni. Na tym spektaklu nie teoretycznie, ale faktycznie widownia była drugim wymiarem teatru.

Gdy Miron przeprowadził się później do „Hybryd" na Mokotowską — to już nie było to, chociaż *Osmędeusze* to spektakl, który zapadał w pamięć. Tu notabene Miron najbardziej zbliżał się do tradycji ekspresjonizmu, co budziło we mnie dodatkowe zainteresowanie. Ale to już jakby inny teatr i inna atmosfera. (W tym czasie przybył Mironowi

nowy przyjaciel, choć na krótko, bo Jan Lebenstein wyjechał wkrótce do Paryża.) A więc nie odczuwałem już tej potrzeby przychodzenia tam co dzień lub prawie co dzień. I później Teatr Osobny, w nowym mieszkaniu Mirona przy placu Dąbrowskiego, już tej atmosfery nie odnowił. Czuło się to również w wymiarze sztuki: teatr Mirona stał się w pewnym stopniu hieratyczny, a warsztat, który na Tarczyńskiej odbierało się prawie jak żywiołowo, z poczuciem humoru — choćby makabrycznego — tworzoną improwizację (mimo że nic w tym nie było z *comedia dell'arte*) tu stawał się liturgią u ołtarza Sztuki. Nikt nie musi przekonywać mnie do wartości artystycznych tego teatru, ale wolałem Tarczyńską.

Ze środowiskiem Teatrzyku na Tarczyńskiej wiąże się pewien drobny epizod, który byłby zabawny, gdyby nie ponura sceneria wydarzenia. W pewnym momencie — było to po uprowadzeniu, a jak się później okazało i po zamordowaniu Bogdana Piaseckiego — zaczęto przesłuchiwać grono twórców z Tarczyńskiej. Przyczyną była asocjacja detektywistyczna: któreś z kolei wezwanie do złożenia okupu ukryte było w pudełku od zapałek, a programy Teatru na Tarczyńskiej (nie wszystkie) też wkładane były do pudełek po zapałkach, oklejanych kolorowym papierem (jedno z takich pudełek przechowuję do dziś). Potem okazało się, że Choiński miał kiedyś bagnet włoski podobny do tego, jakim zabito biednego chłopca. Doszły jeszcze do tego anegdoty ilustrujące makabryczny aspekt poczucia humoru części przynajmniej tego środowiska. No, ale w końcu sprawa wygasła. Miron średnio to znosił.

Przyszło wreszcie do wydania debiutanckiego tomiku Mirona, *Obrotów rzeczy*. Jego nazwisko miało już w tym czasie duży rozgłos. Jednym z elementów tego rozgłosu była pamiętna kolumna pięciu debiutów w „Życiu Literackim", co oczywiście wprowadzało w błąd, bo dwaj naprawdę wielcy poeci, Herbert i Białoszewski, tylko w cudzysłowie mogli być nazwani „debiutantami": obaj startowali jeszcze przed zjazdem szczecińskim, chociaż później zamilkli. Zbyszek jeszcze przez pewien czas miał oparcie w „Tygodniku Powszechnym", Miron — żadnego. Obaj należeli też do innego pokolenia literackiego niż trzej pozostali. A i rangi już wówczas nie były te same. Opiekę nad wydaniem zbioru wierszy wziął w swe ręce Sandauer. Niezależnie od tego, co sądzi się o nim jako o człowieku i krytyku (bo i jako krytyk, pilnujący od dawna, by posiadać zezwolenie na odstrzał, budzi rozliczne wątpliwości) — trze-

ba powiedzieć, że to on miał najczęściej rację przy ustalaniu pozytywnej hierarchii zjawisk i nazwisk literackich. W „Kuźnicy" pokładano się ze śmiechu, gdy Sandauer, jeszcze w latach czterdziestych, wyliczył trzy największe nazwiska okresu międzywojennego: Gombrowicz, Schulz, Witkiewicz... Oczywiście, wiedział to nie tylko on. Błoński, Flaszen, Puzyna — wówczas studenci — też zdawali sobie z tego sprawę, a i w niektórych kręgach młodzieży warszawskiej, w tym między innymi dla mnie, była to hierarchia oczywista. No i również tym razem Sandauer był jednym z pierwszych, którzy zauważyli rangę Mirona, a miał tak wysoką pozycję w życiu literackim, że jego patronat torował drogę. W rezultacie, jak wiemy, wyboru z twórczości Mirona dokonał Sandauer, a nie sam autor, jak to przeważnie bywa. Była to trochę dziwna próba stworzenia w Polsce instytucji ideowo-artystycznego agenta literackiego, będącego zarazem czymś w rodzaju mecenasa, a nawet suwerena. I wyszły *Obroty rzeczy*. Sandauer zrezygnował z pierwotnego tytułu: *Słowa dodawane do rzeczy*, który uczyniłem nagłówkiem swej recenzji z tomiku Mirona, drukowanej w „Twórczości" — gdyż tytuł ten dobrze, jak sądzę, wskazuje dominantę zbioru.

Jak ogromy był to sukces — świadczy między innymi prawie natychmiastowe drugie wydanie, co rzadko zdarza się tomikom poezji, nie mówiąc już o licznych entuzjastycznych recenzjach. Prawie od razu *Obroty rzeczy* weszły do nieoficjalnego kanonu współczesnej klasyki.

Co prawda nie wszyscy tak tomik ów przyjęli i sam miałem okazję użerać się między innymi o Mirona z Żółkiewskim, ale to naprawdę nie ma znaczenia, bo ten znakomity socjolog literatury był głuchy jak pień na poezję.

Można powiedzieć, że utorowanie drogi Mironowi było niewątpliwą zasługą Sandauera, szczególnie w sytuacji niekompetencji ówczesnych administratorów życia kulturalnego i wciąż z trudem przezwyciężanych przesądów ubiegłego okresu. Ale towarzyszył temu, niestety, koncept pseudostrategiczny, który przyniósł więcej strat niż korzyści. Sandauer z miną Napoleona zapowiadał uderzenie centralne, masywne — Mironem. A gdy zostałaby przełamana linia oporu, wtedy dopiero nastąpić miało drugie uderzenie. W tym celu hamował ukazanie się tomiku Czachorowskiego, którego wówczas jeszcze cenił. Jak mi się zdaje, przyczynił się też do odrzucenia tomiku Choińskiego, czego jednak nie mogę być zupełnie pewny. Oczywiście, taka strategia oparta była na swego rodzaju mitomanii, jej kontekst stanowiły jednak realia

wynikające z wpływu na decyzje wydawnicze. Łączyło się to nie tylko z krzywdą osobistą Czachorowskiego i Choińskiego, na co można by nie zwracać uwagi, gdyż tworzenie hierarchii artystycznej i kanonów epoki nie może mieć charakteru charytatywnego, lecz musi wynikać ze zgodnych z sumieniem ocen krytyki — ale, jak sądzę, było dużą stratą właśnie dla poezji. Ktokolwiek rozumie, jak subtelnym instrumentem jest poeta, ten wie, że zainscenizowanie niekorzystnych warunków startu (co Czachorowski zauważał i bardzo przeżywał) może przynieść trudne do przewidzenia skutki i deformacje.

Ale Miron nie odegrał roli w tworzeniu tej „strategii", choć może i orientował się w niej. Niemniej jednak sytuacja ta ostatecznie pogrzebała nawet ślady starej przyjaźni.

Po intensywnym okresie Teatru na Tarczyńskiej, „Hybryd" i wreszcie Teatru Osobnego na placu Dąbrowskiego (pamiętajmy, że w pierwszym i trzecim przypadku chodzi o normalne, warszawskie ciasne mieszkanka) — rzadziej już widywałem Mirona. Na pewien — krótki — czas utraciłem też kontakt z jego poezją, co wynikało niewątpliwie z tego, że od początku miałem do niej stosunek zbyt „ontologiczny", a za mało „lingwistyczny". Zresztą nie będę tu rozwijał tego wątku. Na plac Dąbrowskiego zachodziłem rzadko, na Lizbońskiej bywałem częściej. Czasami pośredniczyłem w tamtych latach między Mironem a polonistami, na przykład gdy Maria Renata Mayenowa tworzyła w IBL archiwum nagrań autorecytacji poetów lub gdy pisząca pracę magisterską o Mironie — i uwielbiająca jego twórczość — Agnieszka Kostrzembska szukała osobistego z nim kontaktu. Z tego ostatniego spotkania wynikła przyjaźń, trwająca już do końca życia Mirona. Pamiętam go prowadzącego pod rękę Agnieszkę jako pannę młodą do ślubu przez ulice Warszawy, gdy zamówiona taksówka nawaliła (był jej świadkiem). W ostatnim okresie naszej przyjaźni znowu częściej do Mirona wpadałem, już na Lizbońską. Spotykało się tam nowe, ale dobrze mi już znane osoby: Agnieszkę, Sobolewskich, Malinę Gamzyk, Grację Kerényi, gdy bawiła w Warszawie — i innych. Na Lizbońskiej Miron nie czuł się „swojo". Pod tym względem jeszcze nieźle było na placu Dąbrowskiego. Jego twórczość, tak trudna do rodzajowo-gatunkowego sklasyfikowania, ma wyraźny (i ważny!) aspekt kroniki osobistej. Okres Lizbońskiej nie wypada tam najgorzej, ale jedak Miron trochę na siłę chciał wcielić rzeczywistość wieżowca, w którym mieszkał, w swój świat wewnętrzny. Akurat tu niezbyt mu można wierzyć.

W tych latach często słuchaliśmy razem muzyki. Łączyło nas uwielbienie przede wszystkim dla Händla. Miron miał bardzo dużą płytotekę, wydawał na nią pieniądze nawet wtedy, gdy ich jeszcze nigdy nie miewał. Dziś już pewnie nikt nie odtworzy jej zawartości, a szkoda.

W roku 1975 Miron zaskoczył mnie jak nigdy. Warto tu powiedzieć, że trudno było znaleźć w kręgu mych przyjaciół i znajomych drugiego aż tak pozbawionego wszelkich zainteresowań politycznych człowieka. Nie zajmował się tym zupełnie, ignorował tę sferę rzeczywistości w sposób aż absurdalny i nie chciał nic na te tematy wiedzieć. Ale w końcu roku, gdy po Warszawie krążyły listy w sprawie zmian w Konstytucji, wpadłem i do niego, wiedząc z góry, że wzruszy ramionami i zmieni temat. Miron przeczytał uważnie i powiedział zdziwiony: „A czy takiego tekstu można nie podpisać?" — i sięgnął po długopis. Była to któraś z list dodatkowych. Nie zauważyłem, aby została gdzieś opublikowana, ale może przeoczyłem. Jeśli nie była ogłoszona — gdzie jej szukać? Chyba w archiwum po Jerzym Andrzejewskim.

Miron dużo chorował w swym życiu. Prowadził tak zwany, nie bez racji, „niezdrowy tryb życia". Bez przerwy leżał na tapczanie czy po prostu w łóżku, choć nie musiał. Żył nocami, sypiał dniami. Dużo używek. Miał nawet krótki okres, gdy pijał (i przedtem, i potem nie lubił i nie pijał alkoholu, najwyżej trochę wina). Było to w czasie, gdy mieszkał jeszcze na placu Dąbrowskiego, więc mało mam na ten temat do powiedzenia, bo rzadko wówczas widywaliśmy się. Potem przyszła gruźlica, z trudem zaleczona, i w końcu choroba serca. Jak wiemy — pierwszemu zawałowi zawdzięczamy temat jednej z jego książek, trzeci zaś przyniósł mu śmierć. Chciałem Mirona odwiedzić w „moim" szpitalu, w Instytucie Kardiologii w Aninie, lekarz nie pozwolił mi jednak na to uważając, że w jego stanie wszelkie, nawet lekkie i pozytywne wzruszenia mogą być groźne. Wkrótce potem Miron wypisał się na własne żądanie, co zdziwiło mnie. Na zawsze wypisał się.

Myślę, że nie spotykaliśmy się ani za często, ani za rzadko — z wyjątkiem tych właśnie okresów w jego życiu, w których może bym się mu przydał, to znaczy gdy był chory na gruźlicę, a później na chorobę wieńcową. No, ale w tym drugim okresie sam miałem różne kłopoty...

Dwie ojczyzny, dwa patriotyzmy

Antysemityzm ONR „Falangi"

Szkice o poezji, dramacie i prozie

Wspomnienia o przyjaciołach:
Białoszewskim, Słonimskim, Wolskim, Lipińskim

W KSIĄŻCE

Jana Józefa Lipskiego

TUNIKA NESSOSA

SZKICE O LITERATURZE I O NACJONALIZMIE

Jan Józef Lipski (1926–1991), krytyk i historyk literatury, erudyta, encyklopedysta, miłośnik filozoficznego neopozytywizmu, publicysta polityczny, żołnierz AK, jedna z legendarnych postaci opozycji demokratycznej i niepodległościowej w powojennej Polsce, współzałożyciel KOR, działacz Solidarności, przywódca odrodzonej PPS, senator Rzeczypospolitej... Wieloraka aktywność polityczna i obywatelska Lipskiego przysłoniła w społecznym odbiorze jego dorobek badawczy i pisarski: dwa tomy potężnej monografii *Twórczość Jana Kasprowicza* (1967, 1975; tom trzeci pozostał na zawsze w zamierzeniach autora), *Szkice o poezji* (Paryż 1987), dwuczęściową antologię felietonu prasowego *Warszawscy „Pustelnicy" i „Bywalscy"* (1973), książkę wspomnieniowo-dokumentalną *KOR* (Londyn 1983) oraz długi szereg rozpraw, szkiców, przyczynków i recenzji. *Tunika Nessosa* daje wgląd w różne dziedziny jego zainteresowań i umiejętności — jako krytyka literackiego, badacza doktryn społecznych, biografa.

NAKŁADEM WYDAWNICTWA «PEN»

Pożegnania

Jan Józef

Wiara w człowieka, w jego rozum, w skuteczność perswazji, w możliwość ugody społecznej zawsze wydawała mi się fundamentem życia i myśli Jana Józefa Lipskiego. Był politykiem–moralistą i z uporem godnym szacunku i podziwu usiłował te dwie sprzeczne w swej istocie role społeczne ze sobą łączyć. Nie wątpię, że gdyby musiał wybierać, wybrałby gest moralisty.

Człowiek — miarą rzeczy najwyższą. Jego prawo do życia pełnego i godnego wpisane jest w naturę świata. Obrona tego prawa jest obowiązkiem powszechnym. Te były zasady pierwsze. Wszystko inne — to już tylko konsekwencja.

Postawa Jana Józefa — tak się przedstawiał przyjaciołom przez telefon, tak też, używając tego podwójnego imienia, mówiliśmy o nim między sobą — nacechowana była solidarnością z człowiekiem poddanym naciskom dyskryminacji społecznej, politycznej, religijnej. Był więc, co za tym idzie, szczególnie uczulony na wszelkie ideologie zakażone wirusem dominacji — na rasizm, nacjonalizm we wszystkich odmianach, totalizm w wydaniu rodzimym (analizował go w swych pracach o ONR-ze), narodowosocjalistycznym czy komunistycznym. Reagował natychmiast i zdecydowanie, zwłaszcza na antysemityzm, którego cienie, chwilami gęstniejące, snuły się dokoła w naszym życiu społecznym i politycznym. W każdym ustroju byłby w opozycji, po stronie słabszych, w centrum usiłowań naprawy świata. A przyszło mu żyć i działać w kraju zniewolonym i w latach najtrudniejszych.

Odkąd pamięcią sięgnę — a poznałem Jana Józefa w roku 1951, gdy Instytut Badań Literackich, jeszcze bez dodatku „PAN", mieścił się

przy ul. Śniadeckich, w gmachu Towarzystwa Naukowego Warszawskiego — był on dla mnie wzorem postawy niezłomnej. Spotykałem go na instytutowych zebraniach, jego bezpośredniość i bezpretensjonalność przełamały niemal natychmiast wszelki dystans między początkującym i niepewnym siebie adeptem polonistycznych wtajemniczeń, jakim wówczas byłem, a starszym i dojrzalszym kolegą, już świadomym swej drogi naukowej i życiowej. W tamtych latach Janek miał z Instytutem częste kontakty, a gdy w roku 1961 podjął w nim pracę etatową, gdy w 1975 znaleźliśmy się w jednej pracowni (młodopolskiej) — nasze stosunki i współpraca zacieśniły się. Przez cały czas, również z jego własnych relacji, śledzić mogłem bieg jego gry z politycznymi kontrolerami naszego życia społecznego i, groźniejszej, ze Służbą Bezpieczeństwa. Żeby przypomnieć ważniejsze etapy tych walk, wystarczy przytoczyć znane hasła wywoławcze. Kierownictwo działu kulturalnego w „Po prostu" (luty–październik 1957). Klub Krzywego Koła (1956–1962; 1957–1958 jego prezesura). W 1960 pamiętny odczyt o ONR-Falandze w sali Związku Literatów Polskich, pokazujący pokrewieństwa ideologiczne Falangi z komunizmem i personalne z „Pax"-em (w następstwie utrata pracy w PIW-ie, „z przyczyn dla mnie niezrozumiałych" — jak z prowokacyjną naiwnością określił to sam delikwent w swym życiorysie, złożonym w IBL PAN). „List 34" (1964), autorstwa Antoniego Słonimskiego, ale z wybitnym udziałem organizacyjnym Jana Józefa — pierwszy zorganizowany protest środowisk twórczych w Polsce przeciw sytuacji kulturalnej i jedno z pierwszych aresztowań Lipskiego w jej rezultacie. Im dotkliwiej spadały represje na opozycję polityczną, z tym większą determinacją działał Janek. Opozycyjna aktywność w Związku Literatów Polskich i poza nim. Współudział w licznych akcjach protestacyjnych. KOR (1976) — współorganizacja Komitetu, czynny i jakże imponujący w nim udział, związane z tym represje, inwigilacje, zatrzymania, rewizje, grzywny, wymyślne szykany bezpieki. Wstrzymana na sześć lat habilitacja (przeprowadzona przed Radą Naukową IBL PAN w roku 1975, zatwierdzona w trybie rewizyjnym dopiero w tzw. okresie „Solidarności", w maju 1981 roku). Wreszcie stan wojenny i długi ciąg ciężkich, więziennych dni. W poniedziałek, 14 grudnia 1981 roku, widziałem Jana Józefa na korytarzu Pałacu Staszica. Nie było czasu na rozmowę, machnęliśmy sobie ręką z daleka. Tego samego dnia był już w oblężonym „Ursusie", w dwa dni później na Mokotowie. Nastąpiło więzienie, proces, dramatyczne (i skuteczne) próby obrońcy, mec. Jana Olszewskiego, uzyskania specjalnej ochrony zdrowia dla podsądnego (Janek był już ciężko chory, od stycznia 1978 roku miał wszczepioną w Londynie homogenną zastawkę serca), zwolnienie na kontrolę lekarską w londyńskiej Corfton Clinic i powrót na wieść o procesie członków KOR-u, dobrowolny

powrót do wspólnego więziennego losu z przyjaciółmi. Amnestia z roku 1983 umorzyła sprawę Lipskiego, nie przywróciła go jednak do pracy w Instytucie. Przez półtora roku Jan Józef utrzymywał się z niczego, wspierany skromnymi, ale stałymi subsydiami podziemnej „Solidarności" instytutowej. Aż w roku 1985, po nieudanych próbach odzyskania etatu, zdecydował się przejść na rentę. W rezultacie rozluźnił stosunki z Instytutem, a u progu III Rzeczypospolitej, gdy powstały warunki do legalnej pracy politycznej, oddał się całkowicie działalności w odrodzonej — za jego między innymi staraniem — Polskiej Partii Socjalistycznej.

Uważał się za neopozytywistę. Rozsądnie wytyczał pole badawcze. Z imponującą (czasem nawet nużącą) precyzją określał pojęcia, które wprowadzał do swego instrumentarium metodologicznego, jego teksty pełne są zastrzeżeń, ograniczeń i uściśleń. Starał się o maksymalną dokumentację swoich twierdzeń, o klarowność wykładu. Jego myśleniu naukowemu patronowały tradycje Tadeusza Kotarbińskiego, jednego z mistrzów i nauczyciela. W pracach Lipskiego czuło się spokój i opanowanie, autor jakże był daleki od typu badaczy nawiedzonych. Cechowała go niezwykła uczciwość intelektualna. Widać ją było zarówno w stosunku badacza do przedmiotu badań, w starannym rozgraniczaniu pewności od prawdopodobieństwa, prawdopodobieństwa od możliwości — jak i w skrupulatnym notowaniu autorstwa wszelkich zapożyczonych myśli i koncepcji. Lipski wolny był od naukowych uprzedzeń, ważna była dla niego treść wypowiedzi, nie osoba jej autora. Sądził, że słuszny sąd wyjść może spod pióra badacza początkującego, przygodnego dziennikarza, nawet człowieka na zaufanie nie zasługującego — weryfikacji bowiem podlega sama wypowiedź. Autorytety lubił kontrolować. Jego prace pełne są przypisów oddających sprawiedliwość wszystkim, od których zaczerpnął cokolwiek, nawet jeśli to była jedynie sugestia interpretacyjna zgłoszona w rozmowie przy kawie.

Zainteresowania historycznoliterackie Lipskiego koncentrowały się na okresie Młodej Polski i dwudziestolecia międzywojennego — choć sięgały i w epoki wcześniejsze, a w wariancie krytycznoliterackim obejmowały literaturę najnowszą. Duża, nie wydana praca o ekspresjonizmie, napisana wspólnie z Mirosławą Puchalską; dwa tomy nie dokończonej monografii *Twórczość Jana Kasprowicza* (1967 i 1975); szereg studiów poświęconych temuż poecie; wstępy i przypisy do dzieł Władysława Sabowskiego, Gabrieli Zapolskiej, Tadeusza Micińskiego; studia o Władysławie Sebyle i Tytusie Czyżewskim, o Słonimskim i prozie międzywojennej — to tylko główne dowody tych zainteresowań. Towarzyszyły im prace wydawnicze. To właśnie Jan Józef tuż po roku 1956, gdy tylko zelżała atmosfera polityczna i złagodniały zakazy, przywrócił polskiemu

czytelnikowi Kasprowicza w kilku różnych wydaniach — m. in. w czterotomowych *Dziełach wybranych* (1958). Wespół z żoną, Marią, wydał w świetnie obmyślonej i pełnej wyrafinowanego dowcipu edycji wybór z *Nowych Aten* księdza Benedykta Chmielowskiego. Szeroką chronologicznie, bo sto dwadzieścia lat obejmującą panoramę felietonu warszawskiego przygotował w dwutomowym dziele *Warszawscy „Pustelnicy" i „Bywalscy"* (1973).

Był jednym z rzadkich historyków literatury, którzy wysoko cenią materiałowe zaplecze badań. Można z nim było rozmawiać długo i interesująco o problemach bibliografii, pseudonimografii, dokumentacji historycznoliterackiej. Mówił o tym ze znawstwem. Zresztą erudycja jego ogarniała dziwne i najmniej oczekiwane obszary. Znał się na genealogii, masonerii, na onomastyce i winach. Miał znakomitą pamięć i imponujące oczytanie. Jedną z jego namiętności była lektura indeksów nazwisk. Zawsze miał uwagi i poprawki, warto było podsunąć mu maszynopis przed drukiem i robiliśmy tak niejednokrotnie. Była w tym chyba niewinna słabość do erudycyjnego popisu, jakże dla nas pożyteczna. O jego kartotekach krążyły legendy. Latami całymi, z zadziwiającą systematycznością, wypisywał dane z nekrologów „Życia Warszawy", tworząc wielką kartotekę biograficzną. Udostępniał ją z radością, w kierowanych do niej pytaniach widząc potwierdzenie sensu tej pracy. Korzystałem z niej nieraz, można tam było znaleść znakomite kąski i zaskakujące niespodzianki również z epok dawniejszych. Zbierał też pseudonimy i kryptonimy. Obszerny ich zbiór przekazał Instytutowi Badań Literackich PAN, gdzie został wykorzystany przy opracowywaniu monumentalnego *Słownika pseudonimów pisarzy polskich*. Chętnie służył swymi materiałami, swą wiedzą i pomocą — zawsze życzliwy i bezinteresowny.

Ale przy swych zainteresowaniach historycznych nieprzerwanie tkwił w nurcie współczesności. Śledził na bieżąco literaturę najnowszą, zawsze świetnie zorientowany w nazwiskach, tytułach i koteriach, meandrach polityki kulturalnej i w środowiskowej plotce. Należał do najwybitniejszych krytyków literackich, za swą domenę uważał zwłaszcza poezję. Współpracował z wieloma czasopismami, najdłużej i najowocniej z „Twórczością". Przychylnym piórem towarzyszył niejednemu debiutowi poetyckiemu. Kilkakrotnie odzywał się też jako publicysta — i były to z reguły wypowiedzi ważkie, dotyczące najistotniejszych problemów życia narodu. (Przypomnijmy tu wielokrotnie wydawany w podziemiu szkic *Dwie ojczyzny — dwa patriotyzmy. Uwagi o megalomanii narodowej i ksenofobii Polaków*, 1981). Przez swą aktualność i zaangażowanie polityczne publicystyczny rozmach miały jego prace historyczne: *Ideologia Katolickiego Państwa Narodu Polskiego. Ideologia ONR-Falangi* (1959, nie wydana) i świetna dokumentacyjnie, podstawowa monografia

KOR (1983) — praca w równej mierze o najnowszej historii Polski, jak i o grupie ludzi, którzy zmienili obraz jej sceny politycznej — wreszcie o samym Janie Józefie Lipskim, o pięciu latach jego najintensywniejszej działalności i walki.

Janek był w zasadzie optymistą. Jego przyjaźń tym optymizmem zarażała, dodawała otuchy w chwilach zwątpienia, zagrzewała wśród stygnącej aury politycznej, przywracała sens pojęciom nadużywanym publicznie i zdegenerowanym przez mechanizmy nowomowy. Jego spokój, pogoda i rozsądek pomagały nam przez lata. Miał doskonałe poczucie humoru, które dochodziło do głosu nie tylko przy koleżeńskiej kawie, ale niejednokrotnie i w druku. Wyznajmy tu, że w antologii felietonu warszawskiego, w której zamieścił blisko sto sylwetek przedrukowywanych felietonistów, jego wprowadzające teksty są najlepszymi felietonami zbioru. Obdarzony był znakomitymi talentami towarzyskimi. Słynne były jego przyjęcia imieninowe, na których bywała cała opozycyjna Warszawa i których tradycję przerwał dopiero wtedy, gdy uwięziono jego przyjaciół z KOR-u. Był czas, gdy w Instytucie Badań Literackich trzeba było wypełniać dość rozbudowane sprawozdania kwartalne, obejmujące prace prowadzone „w planie" i „poza planem", a także funkcje społeczne, polityczne, naukowe i rozmaite inne. W jednym z takich sprawozdań Janek, zafrasowany brakiem odpowiednich osiągnięć pasujących do kwestionariusza, napisał: „Pełniłem istotne funkcje integracyjno-towarzyskie w środowisku polonistycznym". Była to konstatacja prawdziwa i zasługa niezaprzeczona.

W kwietniu 1991 roku Jan Józef pojechał do Londynu na kolejną kontrolę wszczepionej zastawki serca. Okazało się, iż po trzynastu latach konieczna jest jej wymiana. Przeprowadzono operację i 1 lipca Janek wrócił do domu. Wraz z nowym przeszczepem przywiózł źródło infekcji i gorączkę. Po tygodniowym pobycie w Instytucie Kardiologii w Aninie przewieziono go, już z ostrą dysfunkcją zastawki, sanitarnym samolotem do Krakowa. Tu natychmiast operowano ponownie. Nie udało się jednak powstrzymać zakażenia osłabionego organizmu. Janek gasł powoli, przez dwa miesiące trawiony wysoką gorączką, z czasem tracąc wzrok. Wiadomości o stanie jego zdrowia, dostarczane przez przyjaciół, obiegały Instytut natychmiast. Zdawaliśmy sobie sprawę, że Janek odchodzi również od nas, niepowstrzymanie i bezpowrotnie. Na sześć dni przed zgonem utracił przytomność. Zmarł 10 września 1991 roku.

Był jednym z najwybitniejszych humanistów Polski powojennej. Swoje powołanie humanistyczne rozumiał szerzej, niż służba nauce: uważał je za obowiązek życia. I temu powołaniu pozostał wierny do końca.

Roman Loth

Treść

Anna Nasiłowska Pole (do)wolności 1

Szkice

Michał Głowiński Poezja i rytuał. Wiersze na sześćdziesiąte urodziny Bolesława Bieruta . . . 5

Stefan Chwin „Wallenrodowie" w Sierpniu 27

Maria Prussak Świat pod kontrolą 39

Polemiki

Wacław Lewandowski Przyczynki do biografii Józefa Mackiewicza prośbami i pytaniami do Włodzimierza Boleckiego, autora *Ptasznika z Wilna*, przeplatane 51

Włodzimierz Bolecki Odpowiedź 98

Andrzej Paczkowski Jeszcze o języku antytotalitarnym . . 72

Jerzy Smulski O starzeniu się tekstów literaturoznawczych. Uwagi polemiczne 62

Wojciech Tomasik Białoszewskiego sztuka-dla-iblu. Glosa pokonferencyjna 79

Archiwalia

Miron Białoszewski Listy do Eumenid 83

Tadeusz Sobolewski Mirona Białoszewskiego *Listy do Eumenid* 137

Świadectwa

Jan Józef Lipski Miron widziany przeze mnie 143

Pożegnania

Roman Loth Jan Józef 155

Warunki prenumeraty:
Roczna prenumerata krajowa: **60 000 zł** (6 numerów)
Roczna prenumerata zagraniczna:
— kraje postkomunistyczne: **120 000 zł** (pocztą zwykłą)
— inne kraje świata: **36 USD** (pocztą lotniczą).
Cena pojedynczego egzemplarza — **6 USD**.
Wpłaty prosimy kierować na konto: Instytut Badań Literackich PAN, „Teksty Drugie", PBK XIII O Warszawa, nr 370044-3489, z podaniem dokładnego adresu nadawcy.
Istnieje także możliwość opłacenia prenumeraty dolarowej czekiem, który prosimy kierować na adres redakcji.

Warunki subskrypcji biblioteki tekstów:
Subskrypcja krajowa
— tytuły roku 1990: **48 000 zł**
— tytuły roku 1991: **68 000 zł**
Subskrypcja zagraniczna (poczta lotniczą): **24 USD** za rocznik
Wpłaty prosimy kierować na konto: Wydawnictwo PEN PKO IX O Warszawa, nr 1599-309725-136, z podaniem dokładnego adresu nadawcy.

Bieżące numery do nabycia w księgarniach OR PAN

Warszawa	Pałac Kultury i Nauki
Lublin	ul. Marii Curie-Skłodowskiej 5
Poznań	ul. Mielżyńskiego 27/29
Wrocław	ul. Plac Wolności 7
Katowice	ul. Bankowa 11
Białystok	ul. Nowotki 13
Kraków	ul. Św. Marka 22

oraz m. in. w księgarniach:

Warszawa	Księgarnia im. B. Prusa, Krakowskie Przedmieście 7
	Księgarnia Reprint-Res Publica, Krakowskie Przedmieście 71
Kraków	Księgarnia Naukowa, ul. Podwale 6
	Księgarnia Znak, ul. Sławkowska 1
Wrocław	Księgarnia Ossolineum, Rynek 6
Toruń	Księgarnia Indeks, ul. Kościuszki 9
Lublin	Księgarnia Ossolineum, ul. Królewska 11
Szczecin	Księgarnia Scriptum, ul. Mazurska 26

„Teksty Drugie" są kontynuacją dwumiesięcznika **„Teksty"** wydawanego w latach 1972–1981 i zawieszonego w stanie wojennym.

Wydawnictwo Polska Encyklopedia Niezależna PEN
Drukowano w Drukarni Narodowej w Krakowie, zam. 13/92

W NAJBLIŻSZYCH NUMERACH

Arne Bodin
Doktor Żiwago i idea Sofii
Clare Cavanagh
Anty-Kristeva
Marta Zielińska
Warszawskie miary czasu
Zofia Mitosek
Mickiewicz w oczach Francuzów
Miłosz — Gombrowicz
Korespondencja
Alyson Jo Parker
(Bez)płciowość robotów
Zofia Stefanowska
Stereotyp Żyda u Mickiewicza
Anna Barańczakowa
Lekcja polskiego
Victor Erlich
Młodość w szeregach Bundu
Eugenia Prokop
O Żydzie wiecznym tułaczu Aleksandra Wata

ISSN 0567-0633